

ZBIORY OŚRODKA KARTA

Andrzej Paczkowski

**5**  
1980

**RES  
PUBLICA**

## **SPIS TREŚCI**

<b>LATA SIEDEMDZIESIĄTE. POLITYKA</b> .....	<b>1</b>
<b>O KRASIŃSKIM (FRAGMENTY) - Aleksander Wat</b> .....	<b>21</b>
<b>MORALIŚCI W ŚWIECIE POLITYKI</b> .....	<b>34</b>
<b>NA MARGINESIE MYŚLI LESZKA KOŁAKOWSKIEGO -</b> <b>- Józef Tischner</b> .....	<b>43</b>
<b>"MIAZGA" PO DZIESIĘCIU LATACH</b> .....	<b>54</b>
<b>WSPOMNIENIA - Józef Czapski</b> .....	<b>60</b>
<b>STANOWISKA: NOWE OBLCZE WARSZAWY</b> .....	<b>72</b>
<b>TEMATY: Czytanie Miłosza: Suwerenność głosu</b> .....	<b>87</b>
<b>Przeciw nicości</b> .....	<b>101</b>
<b>NOTY O KSIĄŻKACH</b> .....	<b>107</b>

## **I DOBRE NOWINY I ZŁE ZNAKI**

Skończyły się lata siedemdziesiąte. Dekada zagadkowa, obfitująca w raptowne zwroty polityki światowej, nagle wybuchające konflikty i równie niespodziewane sukcesy pokojowych misji. Jak gdyby wszystkie ekstremizmy dwudziestego wieku skumulowały się na przestrzeni jednego dziesiątka lat, by raz jeszcze, w formie niekiedy złowieszczej, kiedy indziej znów starszej, nieporadnej, sklerotycznej, ukazać światu swoje możliwości. I jak gdyby w trakcie tego spektaklu ocknął się znużony duch cywilizacji europejskiej, odżyły stare jej ideały, nadzieje i wiary, by stawić tamę rozpadowi i destrukcji, totalizmowi, przemocy i wojnie. I zebrać siły żywotne, ponownie sformułować zapomniane credo.

### **WOJNA I POKÓJ**

Dekada rozpoczęła się pod znakiem protestu amerykańskiego społeczeństwa przeciw wojnie w Wietnamie i zarazem poufnych negocjacji pokojowych Kissingera i Le Duc Tho. Porozumienie o zaprzestaniu wojny zawarto oficjalnie w styczniu 1973, ale USA poczęły wycofywać wojska z Wietnamu już w 1971 r. Mimo to wynik rokowań stanowił dla świata zaskoczenie. Trudno było dać wiarę w rychłe zakończenie wojny przez USA, skoro ambasador Rogers zapowiedział je w chwili wyjątkowego nasilenia walk /1972/, skoro na domiar zaraz potem nastąpiły wielkie ofensywy - wpierw wzmożone bezlitośne bombardowanie Wietnamu Północnego, a wkrótce potem odwrotnie: ofensywa Wietnamu Północnego przeciwko Południowemu i wojskom USA /1972/.

Traktat pokojowy wielu uważało za zdradę Wietnamu Południowego a koncepcję "wietnamizacji" konfliktu za marny i rozpaczliwy pretekst do wycofania się Stanów Zjednoczonych. Rozwiązanie to nim przyniosło chwały dyplomacji amerykańskiej. Indy azjatyckie dostrzegły w nim, i słusznie, "gest Filata" - oto zostały rzucone na pastwę losu, pozabawione, jak Wietnam Południowy, ochrony i wsparcia przed zaborczymi zakusami komunizmu. Lewica Zachodu, podówczas nadająca w znacznym stopniu ton opinii publicznej świata przeżywała jednak triumf, a amerykańskie społeczeństwo wreszcie odetchnęło. Przeważał więc pogląd, że w sytuacji, w której każde

2  
rozwiązanie było m. in. wrano wyjścia nienajgorzej. Świat przywi-  
toż zater traktat pokojowy - lga i nadzieja. Była to pierwsza  
Debra Nowina lat siedemdziesiątych. U schyłku dekady, w 1979,  
sterzył się cud prawdziwy, jeszcze bardziej - zdawało się - nie-  
oczekiwany, jeszcze bardziej nieprawdopodobny. Po trzydziestu  
latach stanu wojny Begin i Sadat podpisali traktat pokojowy w  
imieniu Izraela i Egiptu, nad rokowaniami czuwał prezydent Car-  
ter i bez jego inicjatywy, a przede wszystkim odwagi, stanowczości  
i autorytetu przywódców Egiptu i Izraela misja ta nie mogłaby  
się powieść.

Te dyplomatyczne misje i pokojowe wysiłki usmierzyły najgroź-  
niej rozjątrzone konflikty w dwóch podówczas najbardziej newral-  
gicznych miejscach globu, doprowadziły do zakończenia wojen co-  
raz bardziej angażujących dwa przeciwne bloki, oraz bardziej  
niebezpiecznych. Lecz terytoria dotknięte przez te wojny nadal  
spowija cień i próżno szukać kolejnej dobrej wieści czy prędkiej  
nadziei. W 1975 wojska Wietnamu Północnego wkroczyły do Sajgonu,  
zajęcia b o a t p e o p l e, które obieży świat u schyłku  
dekady tworzą uzupełniający wizję Goyi cykl, który można by ob-  
darzyć mianem "Nieszczęście układu pokojowego". Nie ma analogicz-  
nych f i a d e o t w z Bliźniwego Wschodu, lecz i tam to, co dla świata  
było i jest nadal zawiązkiem pokoju, lada dzień może zostać str-  
wione przez pożogę, rozbudzić siły przeciwne. Traktat pokojowy  
zawarty w Białym Domu przez Sadata i Beginą usztywnił przecież  
stanowisko państw arabskich, rozjątrzył Palestyńczyków, zdener-  
wował Rosjan, doprowadził do izolacji Egiptu w świecie arabskim.

#### KBWE

Dobre Nowiny lat siedemdziesiątych  
mniej budzą rozterek i wątpliwości  
w Europie, gdzie rozwiązania poko-  
jowe znajdują lepsze uzupełnienie

w kulturze i obyczajowości społeczeństw. Dlatego spektakularne  
i nieoczekiwane sukcesy rokowań mogą być tu poczytywane za znak,  
iż wreszcie sprzęgły się umiłowanie pokoju i równowagi w stosun-  
kach międzynarodowych z rozsąkiem mężów stanu i ich kalkulacja-  
mi geopolitycznymi; przywiązanie do wolności z inicjatywami rzą-  
dów. Na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, któ-  
ra odbyła się w Helsinkach w lipcu 1975 i w której uczestniczyli  
przestawiciele 33 państw Europy oraz USA i Kanady /ośmiu pierw-  
szych sekretarzy partii komunistycznych, sześciu prezydentów,  
osiemnastu szefów rządów, trzech ministrów spraw zagranicznych/,



wytyczono, przynajmniej formalnie, kierunek dążeń europejskiej polityki. Normami kontynentu, i to oficjalnie, stały się wolność i pokój, rozwój cywilizacyjny i dobrobyt, granice bezpieczne i otwarte, swoboda kultury, ideałów i pragnień. Nadzieje zapewne przedwczesne, jak ukazała kolejna Konferencja tych samych państw w Belgradzie w 1978, kiedy to w praktyce nie udało się osiągnąć konsensusu - nazbyt wiele wątpliwości zdałyby bowiem wzbudzić ZSR i KBL-e co do swej gotowości do autentycznej realizacji swobód obywatelskich.

A przecież KBWE uświadamia, bardziej niż jakiegokolwiek inne wydarzenie, jak silnie w porównaniu do lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy to ustalał się i pogłębiał podział Europy, jak silnie nawet w porównaniu do lat sześćdziesiątych - okresu, kiedy to wciąż jeszcze normą była przynależność do "bloku" a nie do Europy, spotęgowały się dążenia integracyjne, pragnienie nieskrepowanej współpracy gospodarczej i bezpieczeństwa. Realizacja takich zamierzeń nie jest możliwa bez zbliżenia duchowego, wspólnych demokratycznych ideałów, przez wszystkie układające się strony respektowanych norm i zasad. Jednak, mimo że brak poszanowania wolności w krajach Europy Środkowej i Wschodniej zaciążył poważnie na wynikach Konferencji Belgradzkiej, jest chyba oczywiste, że Europa doby KBWE mniej ma wspólnego z wizją po orwellowsku podzielonego świata i manierami polityki okresu zimnej wojny, niż gotowi to byli przyznać najbardziej zgorzkniali i najbardziej zarazem przenikliwi znawcy polityki Kremla wtedy, w pierwszej połowie dekady, gdy odbywały się przygotowawcze spotkania w Helsinkach.

#### TRIUMFY DEMOKRACJI

Potęgnięjący duch demokracji, mimo, że ciągle tłumiony na Wschodzie tej coraz bardziej wspólnej i bliższej Europy, dał o sobie znać w minionej dekadzie z siłą nieoczekiwaną i w równie niespodziewany sposób. Oto upadły kolejno najstarsze /a zarazem ostatnie/ dyktatury zachodnio-europejskie: w Portugalii runął po 45 latach reżim salazarowski /1974/, w Hiszpanii, po 36 latach, skończyła się dyktatura generała Franco /1975/, a w obu tych krajach rozpoczął się lub rozwinął proces demokratyzacji. Przedtem jeszcze, w 1973, ustąpiła junta greckich pułkowników, a wydarzenie to stało się dla krajów europejskich, zwłaszcza wschodnio-europejskich, zwiast-

tunem po raz pierwszy urzeczywistnionej nadziei na ewolucyjną i pokojową liberalizację despotycznych systemów, na samodzielną demokratyzację.

Ruchy demokratyczne, działające w krajach Europy Wschodniej i Środkowej, a także w ZSRR, obdarzane czasem mianem "ruchów niezależnych", kiedy indziej dysydenckich czy opozycyjnych to również novum lat siedemdziesiątych. Pojawienie się ich, szybki rozwój a także prężność i rozmach /Polska, ostatnio Węgry i NRD/, w połowie dekady Czechosłowacja i ZSRR/ dowodnie przekonują o ranżę, jaką zdobyła sobie problematyka swobód demokratycznych, zwłaszcza praw człowieka i obywatela. A także, jak poważnie w porównaniu do czasów nieco odleglejszych, rozwinęły się skłonności liberalne, antyetatystyczne, szukające spełnienia w przedsięwzięciach i inicjatywach podejmowanych wbrew i niezależnie od ośrodków państwowych i dyktatu władzy. Klimat ideowy tych ruchów kształtują ideały wspólnotowe, nastawienie antyrepresyjne i wolnościowe. Stronią one od zamkniętych doktryn i utopii, na ogół oenią realizm i umiar. I choć cechują się swoistą apolitycznością, to usilnie akcentują przeciw pewne idee generalne, te, na które składa się protest przeciw przemocy i zniewoleniu, postulat swobód politycznych i narodowej niezawisłości, hasło obrony praw człowieka i poszanowanie zasad pluralizmu. Wszystko to pozwala widzieć w tych ruchach przedłużenie, często nieświadome, zachodnio-europejskiej tradycji politycznej, wzbierający nurt demokracji.

Choć ruchy te kształtują swoje formy organizacyjne i hasła w nawiązaniu do starych demokratycznych zasad, to przeciw w objawach istotnych - stylu życia i aspiracjach - także nawiązują, i także bezwiednie, raczej do dziedzictwa zachodnich ruchów kontrkulturowych. Bowiem nawet, gdy, tak jak ich zachodni rówieśnicy, wkraczają z impetem na arenę życia politycznego, to najbliższym ich ideałem nadal przeciw pozostaje nie tyle rule of law i parlament, co "autogestion", falanster, wspólnota życia. Myśl ideologiczną budują więc hasła "ruchu społecznego" /w przeciwstawieniu do politycznego/, "podmiotowości" i "niezależności", "współdziałania" i "solidarności", także silny wątek moralistyki społecznej.

## WIDMA TOTALITARNEJ UTOPII

Podczas gdy rozstrząsanie "drogi hiszpańskiej" wlewa otuchę w serca wschodnio-europejskich opozycjonistów, to na innym kontynencie to samo określenie nasuwa odmienne skojarzenia. Można bowiem atudniować sukcesy pokojowych starań, mówić o postępie liberalizacji, odnotowywać ożywienie ideałów demokratycznych i ograniczanie prerogatyw despotycznej władzy, ale przecież w minionej dekadzie nie zaszczydzono światu także zjawisk zgoła przeciwnych, Oto w Chile w 1973 obalono lewicowe, marksizujące rządy prezydenta Allende, władzę przejęła wojskowa junta, nastąpił terror. "Demokrację totalitarną przedkładamy nad przedstawicielską" - obwieścił Pinochet i dziś, z perspektywy siedmiu lat jego rządów widać wyraźnie, że droga do demokratyzacji może być bardzo długa.

Na proces analogiczny, zakończony jednak, i to w kierunku nie do przewidzenia, przez prawidłowości wynikające z żelaznych praw "sowietyzacji" wskazuje "model czeski". Przypomnijmy: "normalizacja" przybrała na tempie właśnie u zarania minionej dekady. Na początku 1970 Dubczek został mianowany ambasadorem w Ankarze, sygnatariuszy "Manifestu 2000 słów" i uczestników praskiej włcsny dopiero usuwano z partii, przywracano centralne planowanie, Csernik był premierem CSRS, a procesach politycznych nie było jeszcze mowy. U schyłku lat siedemdziesiątych natomiast zapadły wyroki więzienia na przywódców Karty 77 /1979/ - zwolenników demokracji, obrońców praw człowieka /w tym cztery i pół lat więzienia dla człowieka o niepospolitym talencie pisarskim i przenikliwej inteligencji, Vaclava Havela/, kwiat inteligencji obu na siłę "normalizowanych" narodów znalazł się na emigracji lub pod kontrolą policji. Urówniłowka, nijakość i cenzura w życiu kulturalnym i umysłowym, rozpad życia społecznego, stłumienie wszelkich inicjatyw obywatelskich - taki jest obraz CSRS w roku 1979.

Widma totalitarnych utopii pojawiły się w minionej dekadzie we wszystkich punktach globu. Oto Czerwoni Khmerowie objęli władzę w Kambodży /1975/ i przystąpili pod wodzą Pol Pota do realizacji wizjonerskich rojeń o państwie doskonałego komunizmu. Eksperyment Pol Pota kosztował dwa miliony istnień ludzkich, jedną czwartą ludności dawnej Kambodży. Oriar zapewne byłoby więcej, lecz w 1979, u schyłku dekady, reżim upadł /zgnieciony przez zwycięski Wietnam/, pozostawiając kraj w zgłiszczach i ruinie. Świat natomiast, mimo nowych okrucieństw i trupów, odetchnął z ulgą, napawając się otuchą, że jednak, mimo wszystko, tyć może kończy

się przecież, i to nieodwołalnie, era konsekwentnych totalitaryzmów. Nadzieję taką potwierdza choćby przykład Chin, gdzie mniej więcej od śmierci Mao Tse Tunga /1976/ system zaczął podlegać wyraźnej ewolucji. Zmiany te rysują się jednak niekoniecznie w kierunku liberalnym. Nadal jest to niewątpliwie kraj totalitarny, kraj terroru i zadekretowanego kolektywizmu.

### BIESY DEMOKRACJI

W Europie natomiast odwrotnie. Jeśli coś buzuje, tli się lub rozpala - to ogień piekielny, jakby z wizji Boscha. Trzeba bowiem uzupełnić

obraz postępującego ducha europejskiej demokracji o inne kontury, mniej światliste, ba, wręcz przyemolone - siarką, prochem, dynamitem. Terroryzm, zły duch lat siedemdziesiątych, ogarnął najbardziej cywilizowane kraje świata, jakby dla umysłowania słabości demokracji właśnie, rozlicznych jej niebezpieczeństw.

Zła wiara i szaleństwo dekadentckiego goszyzmu w Europie potwierdzające diagnozy o skarkłowacaniu aspiracji ludzkich, wyjąłowaniu ducha, zmaleniu człowieka, na Środkowym Wschodzie znalazło swoje tajemnicze, orientalne lecz przecież jakoś symetryczne odzwierciedlenie w wierze równie maksymalistycznej i równie pochopnie szukającej spełnienia w formach politycznych. Fanatyzm religijny i kompleks narodowej podrzędności wprzęgnięte w służbę państwa; terror policji i trybunałów rewolucyjnych uświęcony cytatami z Koranu; średniowieczne, obskuranckie praktyki przywracane na fali antyoksydentalistycznego zaślepienia; nietolerancja, mściwość i nienawiść podniesione do rangi doktryny państwowej - oto proklamowana przez Chomeiniego Islamska Republika Iranu anno domini 1979.

Jeśli śmierć Schleyera z rąk zachodnio-niemieckiej "Frakcji Czerwonej Armii", mścicieli grupy Baader-Meinhof /1977/, a jeszcze bardziej śmierć Aldo Moro z rąk włoskich "Czerwonych Brygad" /1978/ poraziła najszerszy ogół strąśliwym przeoczuciem, jak wielkie zagrożenie dla ładu życia stanowi rozszałają, niemiarkująco się żądnyimi względami, bies terroryzmu, to zajęcie ambasady USA w Teheranie przez irańskich studentów i uwięzienie pracowników amerykańskiej służby dyplomatycznej /szyłek 1979/ - stały się widomym ostrzeżeniem, że normy i zasady międzynarodowe a wraz z nimi cały ustalony porządek świata i cywilizacji zawisł tylko od tego, czy bies ten zdoła zaważnąć polityką państwową, znaleźć patronat rządów.

Interwencja ZSRR w Afganistanie /25 grudnia 1979/ - ostatni,



ponury akord zamykającej się właśnie dekady - uzmysłowiła ze wzmocnioną siłą, jak niepewny jest stan równowagi sił politycznych w skali globu, jak bezsilna jest demokracja a ideały jej - niemocne i jak poważne zagrożenie wciąż stanowi dla świata pokutujący w różnych jego miejscach i ciągle na nowo się odradzający duch ekstremizmu politycznego.

Zesłanie Andrieja Sacharowa do miasta Gorki urosło do rangi symbolu. Nie pomogły protesty świata. Na łamach gazet witających pierwszy rok lat osiemdziesiątych pojawiły się nagłówki mówiące o nagle zmartwychwstałym widmie zimnej wojny. Pochopnie.

## II. D É T E N T E: STRATEGIA POLITYCZNA I SZANSE DEMOKRACJI

W minionym dziesięcioleciu nie tylko zmagaly się ze sobą ideały demokracji z pokusami totalitaryzmu, dążenie do pokojowego budowania wspólnego ładu europejskiej demokracji, do umacniania ducha politycznego liberalizmu z ekstremistycznymi mocami rozkładu i zniszczenia, ucisku i przemocy, chaosu i wojny. Lata te wytyczyły także nową oś w politycznych dziejach. Skończyła się Era Czerwonej Kurtyny, nastała Epoka D é t e n t e a wraz z nią nowe prawa światowej polityki.

Wraz z początkiem dekady zapanował pomiędzy państwami Wschodu i Zachodu ruch na skalę nieznaną w powojennej historii. Najwyżsi przedstawiciele

### DYPLOMACI NA WALIZKACH

rządów wybierali się w dalekie podróże, nawiązywano i pogłębiano kontakty międzypaństwowe, wizyty przeplatały się z rewizytami, a premierzy rządów i ministrowie spraw zagranicznych, także prezydenci siedzieli ustawicznie na walizkach.

Ten nowy styl światowej polityki, styl d é t e n t e rozpoczął się od wielkiej sensacji. Oto Nixon, ówczesny prezydent USA, zjawił się w Pekinie a zaraz potem w Moskwie i Warszawie, jakby dla zaznaczenia, że Stany Zjednoczone nie zamierzają wykorzystywać sojuszu z Chinami przeciwko ZSRR. Były to pierwsze w historii wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych w tych krajach, a wizyta w ChRL została uznana za największą sensację polityczną od czasu zakończenia II wojny światowej. W 1973 USA zawarły z Kubą pierwsze wzajemne porozumienie a w 1977 nastąpiło otwarcie misji dyplomatycznych Kuby i USA w stolicach obu państw. W 1972

Moskwa nawiązała kontakty z Madrytem, w 1974 stosunki dyplomatyczne z Portugalią, zaś Stany Zjednoczone z NRD.

Willy Brandt, socjaldemokratyczny kanclerz w latach 1969-1974, najwybitniejszy i najbardziej zdecydowany architekt tej niejasno, zwłaszcza podówczas, na początku dekady, rysującej się nowej polityki, doprowadził, w ramach swej *O s t p o l i t i k*, do zawarcia przez RFN układów z ZSRR i PRL /1970-1972/, nawiązania stosunków z Węgrami i Bułgarią, wznowienia z Czechosłowacją, pogłębienia z Rumunią /1970-1973/, oraz do zbliżenia z NRD /układ o podstawach wzajemnych stosunków podpisano w 1973/.

W 1971 ZSRR zdecydował się na ustępstwa w sprawie związków Berlina Zachodniego z RFN, a debaty Wielkiej Czwórki /Anglia, USA, Francja, ZSRR/ w sprawie statusu Berlina Zachodniego, osiągnące się przez rok 1971, zostały uwieńczone podpisaniem porozumienia. Wydarzenie to zostało uznane za przełomowe w stosunkach Wschód-Zachód. Największym jednak ewenementem dekady, świetnie ukazującym tempo i skalę procesu przełamywania izolacji, było wejście Chin na arenę międzynarodową.

Oprócz tych wizyt "pierwszych", "pierwszych" kontaktów i układów, które - aczkolwiek znacznie ich było różne a niekiedy wręcz dla świata niewspółmierne - najlepiej jednak uświadniają, jak energicznie starano się w minionej dekadzie podważyć dzielące bariery, zamazać następstwa wojny, panował także nieustanny ruch pomiędzy różnymi krajami, mocarstwami i kontynentami, ustawiczne *v a - e t - v i e n t* między Zachodem i Wschodem.

Wszystkie te polityczne wojaże i misje musiały spowodować zasadnicze zmiany w światowej polityce. Pierwsza rzecz to zmiana klimatu w stosunkach Wschód-Zachód, oddalenie pokusy izolacjonizmu i odwetu, a także zapomnień przeszłości i separatystycznej, eskalującej napięcia i wojaż na nowo podsycającej konflikty, polityki dwóch przeciwnych światów. Zamiast zaś dawnej aury - zasypywanie przepaści i tworzenie misternej sieci relacji i układów, która omotała dwa odrębne bloki więzią obopólnych zobowiązań i układów, norm i zasad, i tak je siadając, szybko je zespala, jednoczy i wiąże.

POD ZNAKIEM  
D É T E N T E

Bowiem ta nowa polityka, polityka lat siedemdziesiątych nie ograniczała się przecież do "shuttle diplomacy" - błyskawicznych podróży,

widowiskowych wizyt, spotkań jak w menuście. W ślad za politycz-

myli kontaktami zbył długoletnia umowy między państwowe. Bieżące do podtrzymania a nawet pogłębienia ledwo zadziwiających stosunków bynajmniej nie przybrało charakter twardej orientacji, ba, wręcz się przekształciło w nadrzędny kurs polityki międzynarodowej wywierający wpływ na przebieg wydarzeń zarówno w skali poszczególnych państw, jak w skali świata.

W roku 1970 w wyniku wydarzeń grudniowych w Polsce odsunięto od władzy Gomułkę i jego ekipę, a zatem gabinet, który zainicjował rokowania z RFN. Tym niemniej Cyrankiewicz, który zaledwie dwa tygodnie przed wypadkami podpisał układ z Brandtem został przewodniczącym Rady Państwa i choć tylko na krótko, to przecież dlatego, by dać do zrozumienia, że nowy gabinet zamierza kontynuować politykę zbliżenia z RFN. Było tak w latach 70 i dziś uchodzi to za oczywistość. Wtedy jednak, na samym początku dekady, większą rolę wywierał się raczej kurs proniemiecki niż serwanie układów. Przeciwnie najgłośniejsza "braterska" krytyka spotkała władze za podjęcie rozmów z Bonn. Tym niemniej w dwa lata później już "znormalizowane" władze państwowe CSRS rozpoczęły handlowe pertraktacje z RFN, tym razem z błogosławieństwem ZSRR. W krajach socjalistycznych dążeń do zbliżenia z Zachodem okazały się silniejsze od drobnych perturbacji politycznych w skali jednego państwa, silniejsze nawet od naturalnej, wydawałoby się, skłonności "normalizowanego" kraju do zasklepienia, izolacji i piętnowania "odwetowców zachodniemieckich".

Analogicznych przykładów dostarcza Zachód. W RFN O s t p e - l i t i k okazała się twardeza od rządów Brandta i następnego gabinetu Schmidta i Scheela w pierwszym swym exposé /1974/ podtrzymała kierunek polityki zagranicznej wytknięty z początkiem lat siedemdziesiątych, mimo że wschodnia orientacja nadal bulwersowała społeczeństwo Republiki Federalnej, a w 1972 o mało nie kosztowała Brandta utraty urzędu kanclerza.

Podobnie w USA, Kissinger, autor polityki zbliżenia z Chinami i otwarcia na Wschód przetrwał dymisję Nixona /1974/, a jego doktryna równowagi sił i "zmiękania" Wschodu ideałami dobrobytu i nadzieją spokoju i bezpieczeństwa została podchwycona przez prezydenta Forda /1974-1976/. Carter nawet, aczkolwiek moralnie potępienie antydemokratycznych praktyk socjalizmu było istotnym składnikiem jego koncepcji "misji" Stanów Zjednoczonych - a więc ideową sprężyną jego polityki - pilnie wystrzegał się wołty w stosun-

Wzrost we Wschodzie i kontent wschodni miał się wiązać w jakoby coraz to bardziej ludzką formę. Nie wybrali się strażeni w szybką i niespodziewaną, jakoby tam zamierzano europeizację socjalistyczną... go Wschodu przez działania d e t e a t e. Wiary tej nie zdołają zachwiać wyniki ani Gorkowa i Sinshurga /1976/, ani na szkodków działających w Kenji i Szechenstowacji grup kontrolujących realizację postanowień Konferencji Helsińskiej, ani nawet na Szczepankiego, skazanego synonizacji i ostentacyjnie za zapiegnięcie na przesadzanie, że prezydent własnym autorytetem zarządził niepraktowanie okartowania /1978/.

W latach siedemdziesiątych polityka konsekwentnego zbliżenia Wschodu i Zachodu przeszła bez zważania przez próby znaczenie powadniejsze. Nie udało jej przeciwstawić zarządzić zarządzenie przez Sadata przywrócenie z Kenją /1971-1972/ i jego przemerykaniła wolta, secesyjnie smielające sytuację w najbardziej strategicznym miejscu globu. Również rozjęzaczają Stany Zjednoczone i podjęcie "separatystycznego" pokoju na Bliskim Wschodzie - wielka klęska Kenji - nie spowodowały odwrócenia kursa europejskiej polityki, a także przemerykaniście nastawienie Chiu, ich zbliżenie z Japonią /1976/ i pogłębiający się konflikt z ZSRR, bezkolwiek konfiguracja ta, wraz z rektymulowaniem się Chiu na arenie międzynarodowej, może mieć decydujący wpływ na losy świata i już teraz zaistniała akcja się. Dopiero interwencja Kenji w Afganistanie rozwinęła składowa Zachodu, wskazana Stanów Zjednoczonych, co do istnienia Kenji i dobroczynnych, zgodzących agresywności Wschodu skutków d e t e a t e. Wiek był silny, przebudzenie niepotrzebne, losy wtedy znacznie z całą oczywistością wyszły na jaw, jak przeszedł jest silna interwencja zachodnich państw Zachodu z krajami socjalistycznymi.

### ROZJA, INTERESY I SZLACHTNE GWIEWY

Główny ekansulasty - oto najważniejszy z wektorów polityki światowej lat siedemdziesiątych. Po paru dekrych dziesiętlatkach lat wojen ideologicznych, walk o dominację czytało polityczną, wstrząsów wywołanych przez konflikty społeczne i światopoglądowe - ten nawrót problematyki gospodarczej, wypełnienie sceny międzynarodowej przez dramat pieniądza, surowców i handlu - jest zaskakujący i nieospodzielony. Jakby świat cofnął się nagłe o całą epokę.

Znaczące bezrobocie i obniżenie tempa rozwoju gospodarczego,



inflacja i dewaluacja dolara amerykańskiego, utworzyłyby nadmiar płynnej gotówki na międzynarodowym rynku finansowym mający swe źródła w salwie "nieproduktywnych" potrodolarów - wszystkie te plagi, które spadły na gospodarkę Zachodu wraz z kryzysem lat siedemdziesiątych sprawiły, że Wschód szukał w jego oczach nastrakajności.

Współpraca z blokiem państw socjalistycznych pomaga Zachodowi potterzywać całkiem nowe produktyjne, zapewne pełniejsze sześcianienie a przede wszystkim wyżyć się nadmiarowi słońca i chęci części płynnego kapitału. /Suma bezużytecznych eurodolarów oszacowana jest obecnie na 500 do 600 miliardów/. Wschód - to także sukces. Zachód zaś dla Wschodu to możliwość uwolnienia technologii, podroperowania - na kredyt - stanu gospodarki, a w chwilach kryzysowych dokarmienia ludności i zaklajstrowania najwiękzych działań w celachym, nieoprawnym systemie. Obie zatem strony wstają przed sobą wdziały i rzeki, wabiąc się to, jak Wschód, szczeną lokaty kapitału, możliwością inwestycji, gwarancją stabilności wolażu politycznego /a więc szpaczalności najbardziej długoterminowych petyczek/, to - jak Zachód - możliwościami wdzienienia się w nieograniczone kredyty, towarami, techniką, przemyśle.

Są to perspektywy dla obu stron, pograżonych po uszy we własnych kłopotach tak smagających, że Polaka mimo fatalnego stanu swojej gospodarki, ogólnie szanowanego świata, wciąż jakieś zrykaje od Zachodu niezbytne kredyty i to olbrzymie: w roku 1975 2,6 miliardów dolarów, w 1976 3,3 miliardy a w roku 1977, mimo alarmującego deficytu dewizowego, dalsze 2,3 miliardy dolarów.

Te wzajemne interesy i silne związki ekonomiczne, które układały się w latach recessji lat siedemdziesiątych - oto niedoceniana strona polityki d'e t'e s, rekująca jej trwałość i nieodwracalność nawet w chwili szoków tak mocnych jak afgański.

Przez to właśnie wtedy, na samych schyłku dekady, okazało się, że szczena, Zachód może obrzasać się na politykę Reaji, ciskać na nią gromy i słowa najwzwichszego potępienia, lecz to szlachetnie gniowy nie są w stanie naruszyć podstaw skomplikowanej gry interesów /interesów szczena nie tylko gospodarczych/ między Wschodem i Zachodem. Ostatycznie decydują postawy krajów n: jasilnolej zaangażowanych w współpracę ze Wschodem, takich jak Niemcy i Francja, które skutecznie studzą moralne sąpały i furie polityków szczena, nawet najbardziej skrytyk do podjęcia repre-

syjnych, enterejantymnych kroków, czy to gospodarczej "Solidarnej  
laty" - Margaret Thatcher, czy to wytrwałego z równowagi Cartera.

### KRYZYS ENERGETYCZNY I NOWE KONFLIKTY

Dotyczy to jednak tylko Europy i jej  
relacji z Rosją i Stanami Zjednoczo-  
nymi. Ten sam czynnik, który spowodował  
wzrost ustabilizowanie stosunków na tej  
połkni globu, czynnik ekonomiczny, wpłynął na przeformułowanie  
sasad polityki światowej w kierunku sgoża odmiennym.

Wraz z przewlekłym konfliktem na Bliskim Wschodzie i zastępo-  
waniem przez tantsjane kraje "broni naftowej", najbardziej uprze-  
systemione państwa świata stanęły w obliczu energetycznej katastro-  
fity. Rozpoczęła teżony snad Zatoki Peruckiej przekształcały się  
w najbardziej strategiczny rejon świata. Rozpoczęła się walka o  
wpływ tam, gdzie tryska ropa.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Rosja, wykorzystując  
militarno-polityczny paraliż USA spowodowany wejściem wietnamską i  
afersy Watergate jawnie przeciwstawiała teorię równowagi sżk nową  
strategię, strategię "wojny podjazdowej", nieustającą próbę sżk,  
przebijającą postać krótkich sżk i a nagła wybuchających kon-  
fliktów w okolicach Bliskiego Wschodu a także tam, gdzie w myśl  
dalekosiężnych planów strategicznych liczone się z szansą na-  
władającego obszarami bogatymi w surowce. Rozgorzała walka o nową  
afery wpływów. Rosja uosoniła się w Etiopii, wsparła Jaman Po-  
łudniowy przeciwko Równocznem /1978-1979/, a także, choć bezsuk-  
cesnie, pragnęła wyciągnąć jakieś korzyści z konfliktu Somali  
z Etiopią /1977-1978/. W wyniku tych rozgrywek doszło do inter-  
wencji Kubańczyków w Ggadenie /1978/ - prowincji Etiopii, do  
której prawa rościł sobie Somali. W ramach długofalowych działań  
zamiarujących do destabilizacji Afryki Południowej i roztoczenia  
tam swoich wpływów KSSR wdał się w konflikty wewnętrzne Angoli  
i - przy pomocy Kubańczyków - podparł ją sobie /1976/,  
a sżychał, że również usiłował wywrzeć wpływ na przebieg wojny  
domowej w Zairze, sżwachesa w prowincji Szaba /1977/, domowej  
Katandso, sżychanej z bogactw naturalnych.

Rosja jednak, wdając się w te na polu kolonialne wojny i za-  
targi wyszczesające narody afrykańskie, zmierzała przeciw tył-  
ko na spoję antydemokratyczną modłę do realizacji celów, które  
z końca dekady, przynajmniej retorycznie, sfermułowały również,  
Stany Zjednoczone. W roku 1979 Carter otwarcie sżwiadczył, że  
Stany Zjednoczone uznają te same snad Zatoki Peruckiej na obszar,

s. która USA czują się związane "tytułami interesami" a więc rozszerzyć amerykańską sferę wpływów na ziemi nieobjęte dotychczas przez parasol ochrony USA. Koncepcja równowagi sił a zwłaszcza jej podstawa - zasada nienuklearności ustalonej i sankcjonowanej politycznej mapy świata - legła w gruzach.

Lesz to skoncentrowanie się działań politycznych wokół Bliskiego Wschodu było tylko fragmentem szerszej reorientacji niędnarodowej polityki.

### POLITYKA ROSJI --"MASKA EUROPEJSKA"

Rozja wraz z trwałymi, jak się zdaje, ustabilizowaniem stosunków w Europie, ograniczyła się w tej części świata do prób pogłębienia integracji ekonomicznej krajów EWG, amierzając do umocnienia umieszczenia tych państw od ZSRR. W tym samym celu podjęta także w drugiej połowie lat siedemdziesiątych próby pogłębienia integracji ideologicznej KDL-ów. Jednak, choć proces instytucjonalnej sawietyzacji posunął się daleko, to działania ideologiczne były pozbawione dynamiki i widnie odczuwał je brak ducha ofensywności. Poprzestano raczej na konsekwentnym kursie antyliberalnym, a prób odzyskania marksizmu jakby zrezygnowano. Kraje socjalistyczne Europy przestały bowiem stanowić dla Rosji przedmiot głównego jej zainteresowania. Świat pogodził się z ich przynależnością do bloku wschodniego, a doktryna Breżniewa legła u podstaw porażek helsińskich. Natomiaś wzrosły poważnie radzieckie koszty dominacji: kraje te, na ogół pogrążone w kryzysie, z budzącą się epozycją i coraz poważniejszymi kłopotami wewnętrznymi, zaczęły wymagać coraz grantowniejszych i większych inwestycji politycznych - zreformowania zasad panowania Rosji i krajowych systemów władzy, takie zarządzania zmianą podstaw życia publicznego i gospodarszego. Inwestycje te wazakże mogą się wydawać Rosji niezbyt opłacalne, akoro i tak na razie nie ma jest w stanie uwolnić KDL-i spod jej panowania a najbardziej się lęka skutków próby umiastycznienia sklerotycznego reżimu. Toteż oświadczenie Breżniewa o gotowości wycofania z ERD 20 000 żołnierzów radzieckich i 1000 czołgów /1979/ mogło być podyktowane chęcią podkreślenia, i to demonstracyjnego, rezygnacji ZSRR z dalszych ambicji w Europie - oczywiście pod warunkiem utrzymania politycznego i ideologicznego status quo.

Zainteresowanie Rosji szeroko się ku innym rejonom świata. Interwencja w Afganistanie, która zaraz potem nastąpiła, potwierdza tę hipotezę.



Zawasy Dalekiego Wschodu, szczególnie pogranicza będą odąd przy-  
krawędź uwagi Rosji, własną jej energią i ogólnikową działalnością na  
wschodzie z krajami Azji Południowo-Wschodniej i Afryki, w Europie  
zafarżać będzie spokój.

Ze pomocnej ręki wojny nie będzie, świadczyć może zapewne  
niezadowolone wystąpienie Gierka, który właśnie w chwili, gdy  
opinia świata odjęta była porokowym strachem przed widmem otwar-  
tego konfliktu Wschód-Zachód, zaproponował swędzenie w Warszawie  
ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i rozbroje-  
nia.

Polityka Rosji, która szczególnie się kształtowała w latach siedem-  
dziesiątych, a ze schyłkiem dekady wyszła na jasność, ma zatem  
dwa oblicza. Z jednej strony polega ona na kontynuowaniu podjętej  
przed czterdziestoma laty, konsekwentnej i przewidywanej w spo-  
sób bezwzględny walki o nowe rejony wpływów /w latach siedemdziesią-  
tych Rosja podporządkowała sobie cały Wietnam, Kambodżę, Laos,  
Afganistan, Indonezję, Etiopię, Jemen Południowy/, a także na marcie  
antyliberalnym i antydemokratycznym.

Wyrażnikiem się przeciw w tej polityce strona druga - twór lat  
siedemdziesiątych. Jest to "marka europejska", marka, która  
kształtuje rysy tej polityki, nadając jej z lekka "defensywny",  
czy też częściowo skądosiwy charakter. Dopiero dzięki d e m o k r a-  
t e Rosja może obecnie uzyskać swobodę manewru w dalszych rejonach  
świata, koncentrować się na próbach konsekwentnego okrzepienia  
Chin i umocnienia się w Afryce i Południowo-Wschodniej Azji.  
Zrawda zatem, że d e m o k r a t e jest dla Rosji odskocznią dla  
agresywnej polityki, agresywność ta wszakże skierowana jest już  
ku innym niż Europa rejonom świata.

#### POLITYKA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

#### KLUCZE I RZECZYWISTOŚĆ

Polityka Stanów Zjednoczonych była  
natomiaszt w latach siedemdziesiątych  
nerwowa, chwytliwa, mało wykrystalizowa-  
na i widome przedstawiała pod wpływem  
czeka wywołanego przez dwie wielkie kompromitacje - wojnę  
wietnamską i aferę Watergate /1973-1975/. Próżną strąkającą się  
z tych porażek była Carterowska koncepcja misji Stanów Zjednoczo-  
nych - misji demokratyzacji świata i zgodzenia jego obywateli  
politycznych. Klęka wietnamska natomiaszt została po części przy-  
najmniej obrócona, dzięki równoległym do rokowań pokojowych sta-  
nawianiem Kissingera, w kierunku - "otwarcie chińskiego". Manewr wypro-  
wadzenia Chin na arenę międzynarodową nie mógłby się przeciwieć wład



bez redukcji sił USA w Wietnamie, gdyż obecność ich powołanie ją-  
trzyła nastroje na Dalekim Wschodzie. Stanem Zjednoczonym powie-  
dło się na domiar wprowadzenie Chin na scenę światowej polityki od  
razu w konfiguracji antyrosyjskiej i w sojuszu z Japonią. Sukcesem  
kolejną z równie wielkim było pokojowe umocnienie wpływów i auto-  
rytetu amerykańskiej USA na Bliskim Wschodzie. Zarówno jednak kon-  
cepcja misji amerykańskiej lat siedemdziesiątych, jak lekcja wiet-  
namska, a przede wszystkim pragnienie uniknięcia otwartej konfro-  
ntacji z Rosją wydają się powstrzymywać Stany Zjednoczone przed  
polityką raptownej eskalacji napięć w stosunkach Wschód-Zachód.  
Zwłaszcza, że lekcja irańska - a mianowicie nagły i niespodziewa-  
ny przypływ nastrojów antyamarykańskich w państwie, które stano-  
wicie przecież bastion Stanów Zjednoczonych w tym rejonie świata,  
uczy, jak jest zmienny i niestabilny tutejszy układ sił, jak wie-  
le zatem uwagi, energii i zabiegów dyplomatycznych muszą na po-  
święcić Stany Zjednoczone.

#### EUROPA ZACHODNIA

- INTEGRACJA, NEZALEŻNOŚĆ,

UMIAR

Wobec dawnego układu sił świato-  
wych, dyktowanego przez lata  
w latach sześćdziesiątych niemal wyłącznie  
przez dwa supermocarstwa, USA i ZSRR,  
oraz odgrywane na coraz większą skalę samodzielną rolę w poli-  
tyce światowej przez państwa Europy Zachodniej to także wynik  
przemian lat siedemdziesiątych, jakby zapowiedź późniejszego  
triumfu de Gaulle'a.

Państwa Europy Zachodniej kontynuują kierunek ku zjednoczeniu  
ideologicznemu pod hasłami demokracji /czego wyrazem najskraw-  
szym i najwymowniejszym jest zwołanie Zgromadzenia Europejskiego  
w 1979/. Pod względem gospodarczym natomiast przeżywają chwilowy  
okres dezintegracji, gdyż po wyszczerzeniu wzmocnianiu Wspólnoty Euro-  
pejskiej w pierwszej połowie dekady przez przystąpienie do EPC  
Wielkiej Brytanii, Irlandii i Danii /1973/, latniejse obecnie para-  
paktowa "rozmycia", a to ze względu na projektowane przyłączenie  
państw gospodarczo "peryferyjnych", takich jak Turcja /także Gre-  
cja, 1977/ oraz po prostu jako skutek naturalnej ilości członków  
/planowany sukces Hiszpanii i Portugalii/, chociaż jest to tenden-  
cja zgodna z ideami wspólnoty europejskiej, ideami, które są  
przebieg stopniowo realizowane.

Oba te czynniki - duch demokracji i liberalizmu oraz problema-  
tyka gospodarcza - są równi przemawiają za spokojem, wstrzegając  
w Europie pragnienie uniknięcia większych wtrząsów i zakłóceń

politycznych. Opowiedzenia się za stabilizacją stosunków ze Wschodem wynika jednak przede wszystkim ze strachu przed wojną, z obawy przed przekształceniem Europy w poligon walki supermocarstw, a woli uniknięcia konfliktu, który pociągnąłby za sobą ryzyko osiągnięcia do arsenala strategicznej broni jądrowej.

**D é t e n t e** zatem, **d é t e n t e** mimo wszystko i dążenie do zagwarantowania poczucia bezpieczeństwa w obliczu zagrożenia największego - otwartego konfliktu mocarstw - to najważniejsze i najtrwalsze semy polityki międzynarodowej lat siedemdziesiątych, wytyczające zakres jej zmian, reorientacji i przeformułowań. Początek rozmów rozbrojeniowych miał miejsce w 1970 roku, w 1972, podczas pobytu Nixona w Moskwie podpisano układ o ograniczeniu zbrojeń strategicznych /SALT/, jakby czyniąc zarówno z tego podpisania, jak i z tej wizyty pierwszy symboliczny akt nowej polityki. W 1979, po sześciu latach pertraktacji, mimo wszystkie napięcia i perturbacje, podpisano, choć dotąd go nie ratyfikowano, kolejny taki układ o ograniczeniu zbrojeń przez USA i ZSRR /SALT II/. Równowaga strachu - oto najsolidniejsza podstawa "normalizacji" stosunków Rosji z Europą Zachodnią i Stanami Zjednoczonymi, najtrwalsza podstawa **d é t e n t e**.

## QUÉ TENTE I DEMOKRACJA

**D é t e n t e**, która stała się podstawą światowej strategii obu supermocarstw a także państw Europy Zachodniej, oddziałuje również, i to w sposób istotny, na losy demokracji. Lecz tylko pośrednio.

W państwach Zachodu polityka odprężenia wiąże się nieuchronnie z wariantem znaczenia opinii publicznej. W latach siedemdziesiątych opinia publiczna doprowadziła do dymisji Nixona, wycofania się USA z Wietnamu a są to przecież tylko najbardziej spektakularne przejawy jej coraz to bardziej przemożnego wpływu na politykę państwową. Opinia publiczna Zachodu zyskała też w minionej dekadzie możliwość wywierania presji na dyplomację międzynarodową. Pod naciskiem tej opinii zachodnie rządy, mimo, że tak niechętnie i opieszałe uciekają się do stosowania sankcji gospodarczych wobec Wschodu, osiągnęły przecież, i to niejednokrotnie, do takich restrykcyj. W 1975 USA zerwały rokowania handlowe z Czechosłowacją a w 1978, w okresie wyjątkowego nasilenia represji politycznych w ZSRR, odwołały udział swojej delegacji w miesięcznej komisji rosyjsko-amerykańskiej do spraw współpracy naukowej. Przy okazji umów gospodarczych amerykańsko-rosyjskich doszło do

ubatrzenia emigracji żydów radzieckich, zaś z prawa obecnie na ogół składowane zasady łagodzenia rodzin. Te interwencje w Afganistanie Stany Zjednoczone serwały z Rosją umową na dostawy zboża.

Reżymowanie się groźby takiego "szantażu" i wykorzystywanie przez Zachód niezłomości "ukarania" Kremia za jego agresywne bądź despotyczne postępowanie to wielkie zwycięstwo zachodniej opinii publicznej. /Jeszcze w 1974, tuż po wydaleniu Solženicyna, Kissinger zapowiedział do Kongresu USA o niestosowaniu restrykcji gospodarczym wobec ZSRR i przyznaniu Rosji klauzuli najwyższego uprzywilejowania/. Wskazywanie Nablę dla Sacharowa /1974/, Amnesty International /1977/ i Brandta /1977/, także dla Kissingera i Le Duc The /1973/ oraz Sadata i Begina /1978/ ukazują wokół jakich dążeń mobilizuje się opinia Zachodu i że najbardziej leżą jej na sercu sprawy odprężenia międzynarodowego i demokracji. Zaś los Kuzniecowa, skazanego w Rosji w 1971 na karę śmierci za próbę porwania samolotu, a w wyniku protestów świata uwolnionego i osadzonego w więzieniu z dożywotnim wyrokiem, dziś natomiast przebywającego na Zachodzie, najbardziej przekonuje, jak silnie zachodnia opinia publiczna zaczęła oddziaływać na delę ludzi w despotycznych reżimach.

Wpływ d e m o k r a t e na demokratyzację Wschodu jest również niewątpliwy, choć bywa, że wciąż źle rozumiany. D e m o k r a t e powoduje złagodzenie obyczajów politycznych w państwach socjalizmu, oddziaływanie na tamtejsze wzorce życia i "cywilizacji" w krajach. Najważniejszy z tych dobroczynnych skutków d e m o k r a t e, bez wątpienia, ustatkowanie się norm bardziej ludzkiej polityki na Wschodzie.

Przedewszystkim jednak d e m o k r a t e, podobnie jak na Zachodzie, wpływa na pobudzenie życia publicznego. Umocnienie polityki Wschodu od reakcji opinii publicznej Zachodu spowodowało zełżenie kursu w krajach socjalistycznych, rezygnację z najbardziej surowych represji. Ten sam czynnik uniemożliwia strumienie budzących się inicjatyw obywatelskich w tych krajach. Powstanie i działalność polskiego Komitetu Obrony Robotników /1976/ a także inne przedsięwzięcia opozycyjne w KDR-ach nie byłyby możliwe bez ochronnego parawanu d e m o k r a t e. D e m o k r a t e nie ma jednak samodzielnego wpływu na demokratyzację tych społeczeństw. Stwarza jedynie ramy i warunki dla pobudzenia inicjatyw obywatelskich. Nadzieja na demokratyzację nie powinna być zatem wiązana z oczekiwaniem, iż od "męskiej" postawy Zachodu, jego gotowości do res-



trykacji wobec Kremla i nieugiętej presji ekonomicznej, politycznego szantażu, zależy los społeczeństw Wschodu.

"Wykarzać" Rosję przez zerwanie stosunków ze Wschodem to jakby karać tamtejsze społeczeństwa, pogarszając ich dolę. Świat nie dysponuje obecnie takimi sankcjami, powinien więc dążyć, by agresywność polityki Rosji stała się w miarę możliwości jak najkosztowniejsza, lecz by płacić musiał za nią Kreml, a nie zniewolone przez kraj i społeczeństwa. Natomiast zerwanie **d ó t e n t e**, niezależnie od tego, że jest mało możliwe w świetle realiów polityki międzynarodowej - stopnia uwikłania wzajemnych interesów Wschodu i Zachodu, tak ekonomicznych, jak geopolitycznych i strategicznych - byłoby nieszczęściem dla społeczeństw Wschodu. Każdą rządzących państw demokracji ludowej pozbawiłoby całkowicie tej możliwości - nawet marginalnej - swobodnego manewru i szansy uniezależnienia się choćby odrobinkę tylko od Kremla, które zarysowały się dzięki koniunkturze politycznej lat siedemdziesiątych - koniunkturze społecznej właśnie przez **d ó t e n t e**. Wykorzystał tę koniunkturę dla demokratyzacji Wschodu to zatem nie tyle ograniczać się do mnożenia gróźb o szantaż ekonomiczny, nie tyle postulować zastosowania wobec Wschodu "kordonu sanitarnego" z perspektywą - nierealną na szczęście ale jakże zgubną - ponownego wtrącenia Wschodu za bariery izolacji, odtworzenia, tym razem w trosce o przyszłość demokracji, Żelaznej Kurtyny. Ramy, jakie stwarza **d ó t e n t e** winny być przede wszystkim wykorzystane na jak najrychlejszą mobilizację opinii publicznej krajów Wschodu i kształtowania przez nią bardziej niezależnej polityki państwowej. A także na to, by presyjowa myśl polityczną i spróbować rozwijać własną politykę. Presja Zachodu - niedość to powtarzać - stwarza im temu korzystne warunki, warunki niezbędne i konieczne. Są to przecież tylko warunki dla rozwinięcia własnej polityki. Tej Zachód za nas nie poprowadzi. Zgoda więc, że obecne ekipy SDU-ów nabyte są serwilistyczne, aby w pełni wykorzystał te okoliczności, zgoda, że postawa Zachodu pozostawia wiele do życzenia a opinia publiczna Wschodu wciąż jest pociągana widmem terrorku i lekcją przeszłości. Lecz szanse demokracji sprządy się z szansami **d ó t e n t e** a poprzez nią, i tylko poprzez nią, z szansą pobudzenia życia publicznego w krajach Wschodu i ukształtowania własnej polityki.

Jeśli więc najbardziej pouczającym doświadczeniem krajów Wschodu w minionym dekadzie było przekonanie się, że nie najgłębsze



nawet rady polityczne, lecz praktyczne tworzenie ruchów społecznych i odroczenie moralnych sił okazują się najskuteczniejsze w podważaniu podstaw totalitarnych systemów, to doświadczeniem zazwyczajającej się właśnie dekady będzie być może droga odwrotna - praktyczna lekcja przechodzenia ze stadium moralistyki politycznej i ruchów społecznych do polityki, tym razem, miejmy nadzieję, demokratycznej. Lekcja zatem politycznego dykantowania marginesu swobody powstałego w krajach socjalistycznych w latach siedemdziesiątych.

#### A POZA TYM...

A poza tym działy się za światem w dekadzie minionej rzeczy najprzeróżniejsze. W Argentynie doszło do zdemokratyzowania systemu politycz-

nego przez wojsko, rozpisano wybory, Peron objął władzę, potem umarł /1974/, znów nastąpiła dyktatura. W Irlandii przez całą szes detonowały bomby. Nie ustawały zamachy terrorystyczne organizowane przez zdeterminowanych do ostateczności Palestyńczyków. Raz po raz porywano samoloty. W Indiach Indira Gandhi przejechała drogę od władzy do więzienia i z powrotem do uszczęścia premiera, w Nikaragui Sandiniści porwali się na reżim generała Somczy /1979/. Pojawił się i rozwiął eurokomunizm, legł w sgoni gószysm, powiało tradycją i zachowawczością. W Wielkiej Brytanii doszli do władzy konserwatyści, Włochy przez całą dekadę trawił niustający kryzys gabinetowy.

Lata siedemdziesiąte to -także, w przeciwieństwie do okresu poprzedniego, czas mierznych polityków i szarych osobowości. Wybijali się bezprzeznacznie Brandt i Sadat, miał wyrazną koncepcję polityczną Kissinger, lecz wraz ze śmiercią Mao /1976/, generała Franco /1975/, a prezydentem de Gaulle'a /1970/, wraz z chorobą TATO, skończyła się w polityce epoka potężnych osobowości. Ekstrawagancje Idi Amina Dada i Bokassy, także Chomeńskiego, ubarwiły co prawda nieco życie polityczne, zalowając je przy okazji kawią, jednak zbiurokratyzowana i zdemokratyzowana polityka wielkich mocarstw i Europy zapoczątkowała erę figur podzędnych i nikłych. Że nie nie zapowiada zmiany, zdają się potwierdzać kandydatury na prezydenta Stanów Zjednoczonych wystawione do najbliższymi wyborów, a także obsone garnitury świata, w których wybijają się lekko i to nie władcom, czy pocią, czy charakterem, tylko Margaret Thatcher i Indira Gandhi. Lata siedemdziesiąte były więc ciekawe głównie ze względu na tę smutną wolności i demokratycznej wiary,

która pojawiła się nad statym Kontynentem, rozprzestrzeniła na Wschodzie i Stanach Zjednoczonych, owianej Rosję, spowitą Polskę. A także ze względu na zmianę motywacji politycznych, ich uduchowienie. Odeisnął się przecież w sercu świata nowy Papiś, Sełżenicya wstrząsnął sumieniami. Iacz ta zmiany duchowe i duchowość nowa to temat odrębny.

## J KRASIŃSKIM (FRAGMENTY)

Od wydawcy:

Aleksander Wat zainteresował się bliżej Krasińskim, jak sam wyznaje, w okresie własnych rozterek ideowych w latach 1937-38 /por. "Mój Wiek", II, 85/. Powrócił do tego tematu na początku lat sześćdziesiątych. W papierach, pozostałych po Wasie znajduje się spory blok maszynopisów i szkiców /ok. 150 kartek/ do planowanej książki o Krasińskim.

Teksty te, nie opracowane przez Autora, mają różny charakter: od w miarę sfinalizowanych szkiców, przez luźne fragmenty, po notatki z lektur i skrótowe, odręczne notatki, w części nieczytelne.

Najbardziej czytelne są następujące teksty: cztery szkice na marginesie książki "Zygmunt Krasiński. The Romantic Universalist" /pod red. W. Lednickiego/, szkice na marginesie "Listów do ojca" Krasińskiego /w oprac. St. Pigonia/, oraz dwa szkice, które tu publikujemy.

Tekst "Krasiński znova żywy" nawiązuje do rocznicowej książki zbiorowej "Krasiński żywy" /Londyn, 1959/. Wyjaśnia to początek tekstu, przekreślony ręką Autora: "Nie zamierzam tu pisać recenzji tej wybornej książki. Nie mam kompetencji do recenzowania historyków literatury. Ale Krasiński, przerastając historię literatury polskiej w sposób w dużej mierze dotychczas nieprześcigniony, należy do ogólnej historii idei w Europie."

Tytuł drugiego tekstu, rozprawy o "Nie-Boskiej Komedii" pochodzi od wydawcy.

Przygotowanie tekstów Wata o Krasińskim do druku nastąpiło liczne trudności, ponieważ maszynopisy są niepoprawione, reja się od błędów maszynowych, a w dodatku są dosłownie napisane ręką Autora. Wat nie zatrzymywał się, nie skreślał, pisał po prostu następną wersję słowa, zdania czy całego ustępu. Chcąc zrehabilitować domniemany estetyczny wygląd tekstu wydawca musiał eliminować powtórzenia, usgadniać sztyk



i formę gramatyczną. Odnotowanie wszystkich zmian tekstu wymagałoby komentarzy, o objętości znacznie przekraczającej sam tekst Wata.

Brzące zmniejszyć do minimum ilość przypisów, wydawca zresztą gnwał z obywatelskich objaśnień rzeczowych i językowych. Spośród licznych swotów i zdań obcych tłumaczy tylko te, które mogą nastroczać wątpliwości z powodu spójności /"s parasson"/ lub rzadkiej formy gramatycznej. Ponadto sprostowano kilka pomyłek rzeczowych Wata.

Papiery pamiętne Aleksandra Wata, z których szerzej o to publikowane tu po raz pierwszy teksty, są własnością Pani Oli Watowej w Paryżu.

## KRASIŃSKI ZNOWU ŻYWY

1. Nikt grantowaliej niż K.R. Popper /"The Poverty of Historicism"/ nie wykazał, że przyszłość historii nie da się przewidzieć. Wiele lat przed nim Krydzek Nietzsche obruszył się przeciw historycyzmowi, w nim upatrując przyczyny skazania wyśli, chociaż przez parodoks aż naite częsty ojcem nowoczesnego historycyzmu był uwielbiony przez Adge Machiavelli, który z rozważań nad Tytusem Liwincem tyleż co nad współczesnymi mu wypadkami wywniósł wzór determinizmu politycznego, podobnie zresztą, chociaż inaczej niż Vico, którego unyął Nietzschego tyle sandziogozą. Przed nim historycyzm był kroniką luźnych wypadków wiązanych transcendentnie teologią, teodyceą czy mitologicznym uogólnieniem, albo pedantycznym zbiorem wypadków, instytucji, osób i ich działań, i jeżeli zdobywał się na uogólnienia, to były one teologiczną teodyceą /historią zła i przeciwyciążania go przez opatrzonść/. Francja tkwiła jeszcze w epoce naiwnej inagerte owidiansowej, cały jej racjonalizm był opódniczym przeżywaniem na nowe idee włoskiego odrodzenia, był na ogół dopowiadaniem jego libertynizmu i ukrytego ateizmu do skrajności ino-sarskiej przeciw Bogu w imię człowieka wyswolonego z więzów. Pedagogia Rousseau była opódniona i naiwna wobec Herdera, współczesnego mu od-Krywoy Vico. I słusznie /zakwalifik/ Ballanche, który - jak to Kleinsz wykrył - wpłynął na Krasinickiego, że gdyby znalazł ciemnego profesora neapolitańskiego, miałby podstawy do swojego contrast social, do obrazu dzielnego człowieka, do ewej egzaltacji. Entre parentheses moral z tego taki, że prime przedowanie w ekonomii, w sile państwowej i ogólnej kulturze nie zawaze idzie w parze z produkującą wyśli: ciemno i śmieszne

próżnobarzyniejskie państwa Niemiec Herdera, Fransa von Baedera, Novallisa, Goethego, Kanta i Hamanna wyprzedzały Francję encyklopedystów /o parę stuleci myślą polityczną i historyczną wybiegały naprzód/; secondo, że jednak moc państwa, centralne uwytnowanie kraju, historyczne przodownictwo jest niezbędne, stąd rezalka i wpływ Puszkina i znudzony, żywiliwy uśmiech, którym świat obcy kwituje nawet Mickiewicza, mimo jego katedry w Collège de France i w Genewie i powiązań intelektualnych z największymi - i tertio, co z powyższego wynika, asynchroniczna wykreasy myśli w obrębie ogólnej kultury europejskiej są zawodne, każda kultura partykularna ma swoje własne, inaczej ułożone w czasie.

2. Ale pomimo, że Popper ma rację niewątpliwą, ukazując fantastyczność pojęcia konieczności czy nawet statystycznego prawdopodobieństwa w historii, a więc podstawową niemożność naukowego przewidywania, pomimo że na naszych oczach przewidywania sędów opatrznościowych w realizacji obróciły się w swoje niemal symetryczne przeciwieństwo /i to nie tylko w przebiegu rewolucji bolszewickiej, ale i w przebiegu ostatniej wojny/ - pomimo to wszystko obecnie chyba z większą siłą niż kiedykolwiek w historii nowożytnej istnieje imperatyw szukania korzeni zła dzisiejszego w przeszłości. Mnogość idei, ich wzajemne przepłyty przekroczy ludzką zdolność rozumienia bez pośrednika. Żeby móc myśleć naszymi się odwołać do czasów i stanów wcześniejszych, szalej poplątanych - do dziecięstwa obecnie panujących stesunków.

Ale historycyzm, szwalczany od Nietzschego po Poppera, jest heglowski avant la lettre: zakłada, że historia ludzka jest realizowaniem się Boga. Nietzschowska śmierć Boga tym się różni od XVIII-wiecznego libertynizmu, że idzie dalej, przecząc nie tylko Bogu, ale i historii, którą tamci uobstwiiali.

Tak myśl, jak depuszczająk światlejsi marksiści, jest aż nazbyt częste w przeciwnieństwie logicznym /a nie dialektycznym/ do Podkoza, /.../ a ponieważ wszyscy odosuwamy malaise wobec bieżących czasów, więc utekania się z teodycją. Unde malum? Skąd złe, jak się złe wkradke w czynny nasze i naszych ejoów.

3. Tak sowytyzacja, żeby w związku z Krasidaki mówić o problematyce historii dziś najważniejszej, szuka genealogii komunizmu tam, gdzie komuniości ją wskazują - u Marksa starego czy młodego, ponieważ w rzeczy samej marksizm był pierwszym bodźcem ich myśli i działań. Co roku ukazują się setki tomów i tysiące rozpraw, dociekających, w czym ostepił od lekcji mistrza Marksa Lenin, Stalin, Chruszczow czy Mao. I odwrotnie, w jakiej mierze przestrzeganie doktryny marksizmu, względnie marksizm-leninizmu krapuje działalnosc praktyczną tych przywódców politycznych. Postępowanie absurdalne, chociażby z tego względu, że ewsem - [bada]

rozdział wypracowań teorii, ale nie praktyki komunizmu. Powiązanie zaś, a raczej rozkuślenie praktyki i teorii pomimo ich uroczonych przebiegów w sposób *fundamentalny* i fundamentalny, niż rozbieżność praktyki i doktryny u chrześcijan, się rozkładał na rozważań, nadmienię tylko, że czym polega ta odmiennost nie miejsce tu rozważać, nadmienię tylko, że doktryna, która samą rozważań dążył być i inspirować, stała się wyjątkiem narzędnym tych sił, które wcieli komunizm, jak samo jak w społeczeństwie ogólniejszy narzędnym tylko stało się wzajemnie poznawanie, i co więcej, istota semantyki języka w konfrontacji słowa i rzeczy. Na przykład kiedy Stalin określił ścisłe prawo ekonomii /a za nim powtarzają warszawscy ekonomści/ - i to w czasie, gdy /według Chruszczowa/ w centralnej Rosji eksport wzięli z głodu, mamy tu do czynienia z przykładem diabolicznej paranoi, krótkiej przeciwstawności. Biorąc za punkt wyjścia paradoksalną tezę w kraju włożyli sobie za swój użytek słowniczek kontradykcyjny: gdy komunisty mówią białe - czytają czarne. Ale to uproszczenie jest zawadne. Bo prostu teoria komunistów nie dba o kryteria prawdy czy fałszu. Nawet NKWD nie dążyło do tego, czy w głębi duszy się wierzy, była utwierdzano bez zająknięcia, że się wierzy. Była wyrażana i mówiono jak gdyby się wierzyło. Na odwrót, gdy jakiś genlikowsko powoływał się na "najbardziej humanitarną i demokratyczną konstytucję", budził tylko rozawoiteczoną nieufność i pokazywał palki gumowej: "Wot tiebie stalinskaja konstitucija". W stalinizmie nastąpiło ostateczne rozkuślenie języka i zależnie od okoliczności taka czy inna wyrażalność prawdy a fałszem.

Jest więc absurdem oczekiwanie teorii marksizmu dla zrozumienia praktyki komunistycznej. Wręcz przeciwnie, zdrowy umysł zaleca do praktyki komunizmu znaleźć teoretyczne jej wytłumaczenie.

4. Szczęście zdrowy rozsądek do ipso kieruje poszukiwaniami w stronę wielkich przeciwników marksizmu czy raczej premarksizmu z pierwszej połowy XIX wieku. I w istocie znajdują się zdumiewające wierne obrazy tej praktyki komunizmu w dziełach Novalisa, Franza von Baadera, J. de Maistre'a, Zygmunta Krausnickiego, Dostojewskiego, Pestela - żeby wymienić tylko tych, którym bliżej się zajmowałem. Lista jest znacznie dłuższa. Żeby posłużyć się przykładem trywialnym: niewątpliwie, charakter i obyczajność Odette de Crécy niepomnie lepiej znają żony panów, którzy ją odwiedzali i później ją obszernie Marcel /Proust/, niż zachęcający i kradnący ją w swej zakochanej wyobraźni Swann. Ale tu zachodzi zależność skrutnie głębsza.

W związku z tymi antycypacjami praktyk dzisiejszego komunizmu wytkożo się mówić o proroczym jasnowidzeniu, o intuicji historycznej itp. Nic tu o proroczym wieszczczeniu. Właśnie Krausnicki, gdy oddawał się



romantycznemu wieszczęciu, trafiał jak kula w płot [...]. Jest tu tylko prosta obserwacja owych czasów /jakich czasów!/ i poprawne, dedukcyjne hipotetyczne rozumowanie.

Każda epoka historyczna zadaje swoje afektywne pytania. Tych zasadniczych pytań epoki jest niewiele i ograniczona jest też liczba możliwych odpowiedzi. Na przykład podstawowym zagadnieniem czasów, które pamiętały rewolucję i widziały realizację jej ideałów i jej krwawe skrajności w epopei napoleońskiej, szereg rozruchów rewolucyjnych i osiągnęła groźbę przekształcenia się przemian politycznych w rewolucję socjalną - było: Rewolucja i Chrystus /jak to z doskonałą trafnością określił Wacław Lednicki w swoim tytule<sup>1</sup>/, a mówiąc ogólniej teologia i polityka. Taki /przepraszam za ten zaimpek/ Henryk Heine, od dziecka zafascynowany rewolucją, propagując jej ideałów pozytywnych akceptował nadchodzącą rewolucję, ale żwawo wołał, aby nastąpiła po jego śmierci. Widział jej skutki o wiele trzeźwiej, niż romantyk nieistotowujaszczij<sup>2</sup> Karol Marks<sup>3</sup>. W przedmowie do [...] "Będzie jedna trzoda i jeden pasterz ... z żelazną łaską. Radzę naszym synom, aby urodzili się z grubą skórą na siedzeniu".

Epoka wyusza /zagadnienie/ Chrystus i Rewolucja, aktualne po dziś dzień, co świadczy, że pomimo materialnej rewolucji tak potężnej, że dziesięćdziesiąt lat jedna widzi więcej przekształceń niż 500 lat poprzedzającej cywilizacji - w tym co najważniejsze, tj. w ścisłe stosunków materialnych nie wyszliśmy jeszcze z ery, którą rozpoczął smierczek społeczeństwa XVIII-wiecznego. Nie trudno widzieć, że odpowiedzi nie będzie więcej niż cztery. Rewolucja przeciw Chrystusowi i vice versa: Chrystus przeciw Rewolucji, Chrystus z Rewolucją, Rewolucja i Chrystus. Cztery odpowiedzi, tylko cztery możliwe odpowiedzi z wariantami, które dotyczą raczej sposobu i mierzoty rozumowania. Te pytania zatem były i są w powietrzu epoki.

Można założyć, że zasadniczy scenariusz czy libretto "Nie-boskiej komedii", a więc to, co stanowi o jej wyjątkowej /pozycji/ w literaturze mogło powstać niezależnie od wpływów Ballarucha'a, które wykrył J. Kłobacz. Po prostu z obsesyjnego zainteresowania polityką, czy przyjaźni, jak chce w swoich doskonałych zresztą i źródłowych rozprawach Pani M. Daniłowiczowa i Wiktor Weintraub. Na demiar wpływologia? To czerpanie wody ze stawu czerpakiem. Wiadomo, że na ogół pisarze, i to raczej najwięksi, przenosząją prawdziwe źródło swoich podstawowych obrazów i rozumowań, ale ze złej woli, ale z uzasadnionego przeświadczenia, że ten obraz tak organicznie z nim<sup>4</sup> zrósnięty jest tworem własnej myśli. Pamięć jest w tym wypadku zawodna nawet u pisarzy o pamięci ejdetycz-

nej. "Je a emprante pas, je vole" - cytują Aragona kogoś też Paula Valéry. Nikt nie jest w stanie przeczytać lub zapamiętać wszystkiego, co by-  
 ło napisane, zwłaszcza u autorów niemych lub zapomniałych, wśród któ-  
 rych kłusują wielcy. Ba, nawet pisarz tak wasschotronicznie badany jak No-  
 valis. Nikt stać się nie wykrzyk, że sławne "Religia [to opinia dla  
 ludu]" Karola Marksa, ciągle cytowane, było powiedziane pół wieku wcześ-  
 niej przez Novalisa, którego Marks czytał uważnie: "Ihre sogenannte Reli-  
 gion ist nur ein Opium". To dla przykładu i odstraszenia wpływców.  
 Natomiast rzeczą fascynującą dla komparatysty /i takim komparatystą  
 jest Wacław Lednicki/ jest ustalenie powinowactw obrazów i myśli. A wte-  
 dy jest obojętne, czy rzeczony autor znał, czy nie znał swego poprzed-  
 nika. Te same myśli, te same słowa i obrazy nawiedzają pisarzy różnych  
 epok i formacji.

5. Oryginalnością i wyjątkowością Zygmunta Kracińskiego w światłej  
 plejadzie filozofów<sup>5</sup> jest to, że połączył obsesyjną w jego czasach<sup>6</sup> pro-  
 blematykę rewolucji i religii z również obsesyjną odkad Paryż widział  
 i zaklasyfikował się widokiem Kosaków gen. Płatowa z 1815 r. [wizją Ro-  
 sji]. Co prawda już de Maistre mówi o Pugaczowie [z uniwersytetu]. A Don-  
 so Cortes w późniejsze póniej będzie zapomniał, że rewolucja jest praw-  
 dopodobniejsza w Rosji, niż w Anglii. Ale to były niesmiałe napomknię-  
 cia.

Na ogół mądrzy ludzie widzieli obie te plagi rozdzielnie. Chateaubriand, i tenże Heine, i Tocqueville widzieli przyszłą potęgę Rosji i  
 fatalne jej skutki dla świata - i osobno plagą rewolucji socjalnej.

Nikt z taką logiką, którą często wieszczono i mawiano tylko za-  
 oścniaczy, nie widział sprzegu tych dwóch plag.

Aleksander Wat

#### P R E W I D I A Y:

<sup>1</sup> Pomyłka. Wacław Lednicki w tomie "Kraciński żywy" umieścił szkic pt.  
 "Dialog imaginacyjny Kraciński-Bintenczew". W tekście tym jest mowa o  
 Chrystusie i religii w związku z rewolucją, najczęściej jednak porwa-  
 rza się zestawienie Rosja i Rewolucja. [Przyp. wydawcy].

<sup>2</sup> /ros./ - szalejący, gniewny.

<sup>3</sup> Mówię romantyk, o ile przez romantyzm rozumiemy prymat uczuć i woli  
 nad rozumem, potrzebę przekucia słów na czynów stał /Faustowskie "Am  
 Anfang war die Tat"/, stwierdzenie takiego przekształcenia teorii, aby  
 teoretyk mógł nią działać najpełniej, zwłaszcza nieodróżnianie utpii  
 od możliwości [...]. [Przyp. autora].

4 Główna konfiguracja tych postaw znajduje się w apokaliptycznej poza tym książce Stefana Skwarczyńskiego o /inscenizacjach "Kieboskiej"/. Apokaliptycznej przez niezależne od PAKu wiązanie kultu Chrystusa z kultem Stalina, przy czym nie można tej autorki posądzać o oportunizm. Działa tu po prostu zamęt ideowy, właściwy wszystkim tzw. postępowym katolikom od stu z górą lat, tutaj tylko karykaturalnie wyolbrzymiony przez symbolizę dąptwej mowy katechizmu z taką mową Żółkiewskiego sprzed wygnania. Książka nawiązała się - niewiarygodnie - w 1959 r. Katalicy uważa są opóźnieni w rozwoju [...] Sygnalizują się na biednego Krasinińskiego oskarżenia o nieprawowierność katolicka i nieprawowierność reakcyjną i nieprawowierność teatralną - bezosobna śmiechu. [Przyp. Autora].

Chodzi o książkę "Lecia Schillera trzy opracowania teatralne "Kieboskiej komedii" w dziejach jej inscenizacji w Polsce" /Warszawa 1959, PAK/. "Słowo stwierdzające" i "Słowo nazykające", gdzie znajdują się wyśmiewane przez Wata sądy, ukazały się po raz pierwszy drukiem /razem z trzema rozdziałami książki/ w "Pamiętniku Teatralnym" w roku 1955 [Przyp. wydawcy].

5 Pozytywna Ignacy Chrzczanowski, a przed nim Kleiner, kwestionuje Krasinińskiego jako filozofa. Dział, gdy filologowie i neopozytywiści puczyli nas, że języki ludzkie są źle zrobione dla naukowego myślenia /co jest szczęściem poetów/, najmniej brzmiało to kwestionowanie [Przyp. Autora].

6 Od tamtej pory, Krasica ledwo kształcony w liceum reakcyjnym opiszając był Krasiniński mówi, że idea równości realizowana prowadzi do tyranii. Tak, ten protest wywołany Bratczakami był w powietrzu epoki. [Przyp. Autora].

#### © "NIEBOSKIEJ"

Od lat utrzymuje się uproszczone legenda o dywintorskiej intuicji Krasinińskiego, o proroczym widzeniu rewolucji bolszewickiej w "Kieboskiej". Stanowiła to w znacznej mierze o jej wysokiej randze i o losach jej recepcji teatralnej. Przyjrzyjmy się temu z bliska.

Mamy w "Kieboskiej" apokaliptyczne przewidzianie nadchodzącego boju i rewolucji socjalnej. Ale o niej najmniej od de Maistre'a i od cza.u Rewolucji Francuskiej nie brakowało w piśmiennictwie głosów przewidujących zaważenie się [starego porządku] i bój ostatni, Armageddon [razem] nadejście tyranów.<sup>1</sup>

Krasiniński był wykarmiony na piśmiennictwie zachodnim, problematyka



polska była tu narzucona wyprzedani w Polsce, ta osobliwa grupa męczenników i bohaterów, która na Zachodzie Polaków wyprzedziła i podziwiała wtedy Staszka - i dramatyzmy, komentującymi stornami domowymi. Był nieważnym wagi w aktualnej konstytucji literacko-politycznej i musiał znaleźć miejsce dla swojej twórczości obok i w stosunku do przyczynających go geniuszem /o czym nie wątpi/ Mickiewiczem i Skwarskiego. Mógł go znaleźć w diabolicznej grze redaktorów /nikt z nich nie miał wielkich antenatów i nikt nie miał ojców, którzy był jednocześnie i bohaterem napoleońskiej epopei i renegeatem, dwurękiem barbarzyńskiego cara/. To haniebne piętno było karą wyróżnianiem i dawno pole do gry bajronizacji, do szukania moralnego alibi w wielkich duchowych spekulacjach i do wygrwania przepięknej roli Ścisłowskiego. Nie zapominaj, że były to czasy bajronizmu, nie w sensie wpływu Byrona, ale [w tym], że w Byronie, w jego pismach i życiu wypowiedział się duch epoki romantycznej, nie tylko wzmiankami, jak w Eliscie, ale też bardziej sugestywnie, z przesadą.<sup>2</sup>

Jako wiążący rewolucyjną współczesną Krasicki ustępuje i to bardzo, współczesnemu sobie Büchnerowi. Sam niespokojny duch rewolucjonisty, Büchner jest bardziej płaski, bardziej teoretyczny niż Krasicki, który umiał imaginować wielkie spekulacje historyzoficzne, ale któremu konkret dawał się à contra osur, jak świadczy "Trydion". Büchner studiował pilnie przebieg rewolucji francuskiej z prasy tych lat i dał rzeczywiście preferencje czytelnikom stalinowskim, znalazł prawie rewolucji, która zjada swoje dzieci, niekiedy się dialektykę przelania krwi w świątynie. W oparciu o jego biografie sofiści bolszewicy w rodzaju Lukácsa wyinterpretowali jego drobnomieszczańskie jakobinizm. Przejmując obok leninowską formułę interpretacyjną<sup>3</sup> można by twierdzić /nie znam dość dobrze biografii Büchnera/, że Büchner subiektywnie był rewolucjonistą, ale jako geniusz, zatem realista, obiektywnie wobec siebie dał prawdę o rewolucji. Wspominam o tej metodzie mimo do niej odwołania, [jako] że mimo swej krótkiej trywialności uratowała "Niebo" i wszystkie inne dzieła sprzed daty rewolucji bolszewickiej od inekcji. To małe kręctwo uratowało wielkie dzieła.

Natomiast obóz Pankracego jest jak najdalszy od rzeczywistej [rewolucji] bolszewickiej. To Walpurgianacht, jak ktoś szuszenie zauważył, wzorowane jest zapewne na "Faustie", może też na opisach wojny trzydziestoletniej Fryderyka Schillera. Autora rozprawy o gnocie /wole dobrze jak na owe czasy poinformowanego/ zerwało pociągnięcie wiązanie religijnego eksterminizmu z ruchami plebejskimi. Można przypuszczać, że wiedział niemało o taborytach, o Tomaszu Münzerze i ruchach średniowiecznych. W dodatku były to czasy, kiedy jeszcze nie uświadczano so-

nie było, że za każdą polityką /Froudeon, "Généralisme" /à un Révolutionnaire" /.../ jest /to/ specyfiką jego umysłu, typową dla młodocianych romantyków książek z silnym libido i energią witalną.

Przedmiotem statystycznym, gdzie promiskuityzm jest zrytualizacją, na coś wspólnego z narzuconą pruderią bolszewicką, podobnie pruderyjną, bo nie wynikającą z sankcji tradycji społecznej i religii. Pruderia stalinowska, która nie przeszkadzała temu, że stosunek płciowy w nadirze stalinizmu był traktowany jako czynność zoologiczna, którą się spełnia ilekroć i z kinkolwiek nadarzy się okazja, ale o której się nie mówi, była narzucona społeczeństwu pod komunizmem, tak jak ją w okresie IV stulecia narzuciła epidemia lęku. Chodziło tu o to, aby politycznie i społecznie kontrolować całą uczuciowość jednostki.

Była to zresztą własność umysłu Krasińskiego: wiązać w przeplocie władzę książkową z faktami dnia bieżącego w konstrukcje historyzoficzne. Musiał go udeżyć podobieństwo, jeżeli nie tożsamość ergii i religii w pismach saint-martinistów. Musiał wiedzieć niemało o markizie de Sade. A udział gryzotek w rewolucjach francuskich /uderzyło to i Flauberta w "Éducation sentimentale" / i skądinąd gody Kozaków generała Włostowa we Francji, gody Kozaków z arystokratkami /mówi o tym zapomniany poeta [...].

Dla ikonografii /r/, jeżeli nie prawdziwa, to trafnie wymyślona anegdota, przytoczona przez Franza von Sadera /którego Krasiński znał niewątpliwie, jak kazał się domniemywać, nie zbudawszy bliżej tego wpływu, Kleiner/. W Lyonie robotnicy mieli witać wracającego z Elby Napoleona okrzykami: "À bas les prêtres! Vive l'Empereur! Vive la vice!"

Ale jest jeszcze jedna rzecz w "Nieboskiej", którą na ogół wstydliwie starają się ignorować. Pankracy nie jest marionetką, jest mężem Apokalipsy, Antychrystem, Gogiem i Magogiem, wodzem niepodzielnej Rewolucji, który ją wozozyna. Bliższe sprawę upamiętnionych i zagładę nieścisłemu staronemu światu, mając utopijną, nieokreśloną wizję budownictwa społeczeństwa komunistycznego, odzwierciedlaną zresztą z drugiej części "Fausta". Kiedy wreszcie realizuje jego "verweile doch, du bist so schön", za spełnienie oddaje się na wieczne potępienie /to budowa wielkich kanałów/. Bole wczna i jego miszocydelickiego działania w imię utopii i niemożność jej spełnienia [...]. - jest w "Nieboskiej" dokładność jasnowidzenia. Tu Krasiński jest wieśczeniem oryginalnym i rafnym [...]. Ale jest drugi obraz oryginalny. Pankracy jest co prawda wodzem w znaczeniu dzisiejszym, nie jest marionetką, ale jego działania są w "Nieboskiej" tylko wykonaniem wielkiego planu na pohybelchrześcijaństwu uknutego przez żydostwo międzynarodowe. "Nieboska" antycypuje zatem "Protokóły mędrców Syjonu" i oszerowską koncepcję żydkomuny.



Bo nie jest oczywiste oryginalny sam antysemityzm, mógł go Kraśnicki wywać z domu, mógł go łączyć z awans towarzyski Rotzwyldów i tyłu [innych] bankierów, jak łączywał Balzaka. W dodatku dała antysemityzmu politycznego i upatrywanie w Żydach ciężkiej sily, która [tę] za kulisami wartyńskich episkopów, lód maszyniści i giełdowych machinacji. Sami Żydzi rozprowadzali ten antysemityzm, wystarczy przeczytać, [tu] Michelet, moralna instancja tych czasów umiaru pisze o Żydach. Można też przypuszczać, że Kraśnicki [sam] sztandarową książkę wojującego antysemityzmu Gougenota de Kraussera<sup>5</sup>. Ale właśnie ten ostatni wytacza [argumenty] przeciw Palandowi i kompozytorowi, cytuje ich ze sobą z antyżydowskimi pamphletami św. Jana Chryzostoma, natomiast jak najpozytywniej powołuje się na przechrztów. Sprawa Bregusa w półwiecze później pokazuje łączy, jaką w elitarnych towarzystwach budził bankier żydowski. Ale nawet i w tym wypadku chrześc., zgodził z całą doktryną chrześc. ojców, nawet z żyd. nieobecność. Wzrost doktrynie chrześc. jakakolwiek [Kraśnicki] nawiązywał do zapomnianych ciekawostek przeciw mazzynom i własnemu Żydom chrześc. demokracji. Musiało to w jakiś sposób odpowiadać etniczności w społeczeństwie. Żydzi pachołarze byk figurą swojaką dla ewangelisty, przedmiot - użyteczną, natomiast żyd chrześc., przypuszczają do heretów [Frankista], a także przechrzta tankier w salonach ekskluzywnych miał niepokoić i drążyć. Tak czy owak - owoc czystej spekulacji, czy sugestii aryteokratycznego środowiska - Kraśnicki bodaj [pisawany] sformułował w takiej chwili koncepcję antysemityzmu rasowego - jak nie religijnego, czy aspiracyjnego, ale antysemityzmu etnicznego. Był więc prekursorem ONK i ojcem pojęcia żydekomania, bardzo polskiego, które - trzeba tu stwierdzić - niemałą siłą dowodu miało w nie tyle ilościowa statystycznie, ale asyzytywnym udziale Żydów w komunizmie na obszarach Wschodniej Europy. "Nieboska" niewątpliwie sławiła propagandę tego natrętnego chrześc. Łatwo było obok Tambrassego-Larina w czasie Przechrzta widzieć Trześkiego, a w mirsi bolszewizmu spisak Wajców Syjonu.

W późniejszej działalności Kraśnickiego, publicystycznej i nie politycznej, są momenty jaśniejsze w tym czasie niewątpliwie oryginalnego.

X X X

Przeźwyczać się opinii i zdegradować raz na zawsze Kraśnickiego. Niejeden z badaczy miał widoczna na to ochotę. Ale co sumienniejszym nie pozwalały niezwykłe rozmiary historiozoficznej wiaży w "Nieboskiej" "Erydonic" i nawet w lichych poematach, oraz niewątpliwie inteligencja i wiedza /rozprawy i rozważania korespondencja/, która rozbrajała wszystkie krytyczne. [...] Kraśnicki nie był najmądrzejszym pisarzem polskim



→ ustępuje w tym Heroldowi, ale był najbardziej błyskotliwą inteligencją - Skłowski dystansował go, ani największym wiajonerem intelektu - dałoby mu do Mickiewicza, ale był najbystrzejszą inteligencją - erudycją, up-to-date, a zarazem praktyczną. Jak mówiliśmy, uział wiazać wy-podki bieżące z analogicznymi i homologicznymi w dziejach świata /jak tańci/ i przepłatać spekulacją historyzoficzną, ale był naszym naj-bardziej trzeźwym i upolitycznionym.

"Politik ist das Schicksal" - powiedział na sjeździe w Erfurcie w 1808 /Napoleon/ do Goethego, gdy ten mu coś powiedział o Schicksalstragödie. "Tragedie losu należą do epok zamiarachłych" - odpowiadał mu Napoleon, wiażąc politykę z ananką tragedii antycznych. "Polityka jest Losem". Słowa tego Kartezjusza akcji, jeśli tak wyrazić się można pretensjonalnie, mogą służyć jako epigraf, wyciągnięty dzisiaj na naszych ciakach.

Kraśiński, nie znając zapewne tej rozmowy, tak politykę rozumiał. Był więc inteligencją w Polsce przynajmniej niezwykłą. Ale czy autor "Nieboakiej" był rzeczywiście wiajonerem?

Tu odwołam się do sensacyjnie interesującej rozprawy prof. Ledniczkiego, odnoszącej się do lat późniejszych.

Nadużycia tzw. wpływologii wynikają z ignorowania dwóch porządków faktów. Idea wyrażana przez ich twórców są brane z powietrza epoki i wchodzą z powrotem w powietrze epoki. Spoka wysuwa swoje pytania, albo raczej swoje sformułowania pytań kardynalnych, których istotny sens przeważnie się powtarza w różnych kombinacjach i różnych frazeologiach. Ilość odpowiedzi jest zredukowana przez warunki epoki, ale zarazem /są one/ komplikowane i bałamuczone przez kulturę, tzn. przez tradycję i utrwaloną pamięć innych epok. Tak więc zachodzi często zbieżność, a nawet tożsamość nie tylko problematyki i idei, ale nawet ich słownego sformułowania. W dodatku u młodych czytelników-pożeraczy książek zaciera się granica między tym, co jest oryginalne, a co zapożyczone. "Je vole". Pisarz nieświadomie, a często i świadomie pomija źródło i przemilcza - nie zawsze przez nieuwagę. W przeczytanej książce znalazł tylko to, co sam już był wymyślił, uważa więc raczej, że autor przechwycił jego myśli. Albo z kolei w odmiennosci liter, czy choćby znaków przestankowych, dopatruje się różnicy istotnej, a zdając sobie sprawę, że czytelnik tej subtelnej różnicy nie zrozumie, przemilcza cytat, by obronić swoją oryginalność. Badacze natomiast, jeżeli nie znajdują nigdzie nazwiska, składają zbieżność myśli i słów na przypadek, to znaczy na powietrze epoki. W wypadku Kraśińskiego rzecz jest o [tyle] dla wpły wologii ułatwiona, że bogata korespondencja to zarazem jakby szczery dziennik jego lektur. Kleiner podjął trud ogromny, bo przestudiował niemal wszystkie książki, o których Kraśiński wspomina. Pilnie je refa

ruje, w ich labiryncie odważna przebieg myśli Kraszińskiego. Nicją Ariadny jest mu jego wybitny talent sympatycznego odczucia swajego autora. Ale nawet mimo tego talentu i wbrew zabiegom Kleineru Krasziński wychodzi z tego jakby zkożony z różnorodnych pasemek, luźno zwią-  
zanych jednością biografii.

Ale Kleiner nie badał innych wyraźnych zależności, o których - o ile dotąd wiadomo - Krasziński nie wspomina. Tak więc poróżnął Franza Baadera, ograniczając się do wymienienia go mimochodem. A Franz von Baader był obok Schellinga największym, i głębszym od tamtego, filozofem niemieckiego romantyzmu. Krasziński nie mógł go nie znać, tak sącz-  
ta, jak zapewne znał pisma Hazanna, rówieśnika i krajana Kanta, a zapew-  
dyżne jego myśli i pisma musiały odnieść naturalną skłonność Kraszi-  
ńskiego do myśli racjonalnej - stąd formalna struktura "Nieboskiej".  
Znał, a raczej nie mógł nie znać Donoso Cortesa, który w latach czter-  
dziestych z zapartym tohem był czytany przez dwory /z dworem Mikołaja  
[...]/ tak jak w latach trzydziestych [XX wieku] czytano Spenglera, któ-  
ry w dodatku korespondował z dyplomata hrabią Raczyńskim /6 książek tej  
korespondencji jest teraz poza moim zasięgiem, nie mogą więc ustalić,  
kim był ten Raczyński/<sup>6</sup> i z samym Martenleharten. Był świetnym mówcą,  
dyplomata i teoretykiem, wydawał się mężem opatrnościowym europejskie-  
go konserwatyzmu i ultramontanizmu. Polemista antykomunistyczny i po-  
tężny trybun hiszpański. Ludwik Vauillet wydał jego dzieła po francus-  
ku i uważał go za swego mistrza.<sup>7</sup> Szczerbiwick tam byko, czy Krasziński  
znał go, czy może na adw. Donoso Cortes znał przekład "Nieboskiej",  
ale uderzające [jest] powinowactwo ich ideologii, przy podobnych od-  
stępstwach od obowiązującej doktryny - jednego i drugiego.

Nie moja rzeczą jest ustalić szczegółowo analogie i różnice. Suge-  
ruje zawodowym polonistom - na pewno jest to warto zachodu. Ta zbliż-  
ność w usytuowaniu idei pozwala zapewne komentować Kraszińskiego i "Nie-  
boską", tam gdzie są dwuznaczne, tezami publicystyki hiszpańskiego  
filozofa.<sup>8</sup>

Aleksander Wat

### PRZYPISY:

1. Od de Maistre'a i Blake'a. [Należy tu] cytowany przez Kleineru wie-  
lokrotnie mistrz Kraszińskiego Ballache w "Orfeuszu" i rzeczywiście  
prorocze widzenie teraźniejszości w antropologicznych fragmentach  
Hevalisa, ale może najprecyzyjniej widział to Heine w swoich kores-  
pondencjach, w "Intecji", i - najbliżej Kraszińskiego - Donoso Cor-

- tes, przeciwstawiając dyktaturę artystę dyktaturę nieczną /arystokraty papistycznej/. Ale o nim jako o komentatorze do "Nieboskiej" później. [Przyp. Autora].
- 2 panaoha - /franc./ - pióropusz.
- 3 "Autor był subiektywnie reakcjonistą, ale jako pisarz genialny ergo realistyczny, wbrew sobie dał wierny obraz swojej klasy czy epoki." [Przyp. Autora].
- 4 Krasziński, wbrew twierdzeniom o jego hamletyzmie, a raczej pomimo i obok hamletyzmu w sensie choroby woli, uderza nieuprzedzonego czytelnika swoją nieszmordowaną zuchliwością intelektualną i życiową. Nie przeczy to zresztą hamletyzmowi, bo i Hamlet nie cierpi na chorobę decyzji. Retardacja wykonania decyzji, na odwrót, jest pobudką do niezdrowej aktywności, tak nadmiernej, że sdezorganizowanej. [Przyp. Autora].
- 5 Główna książka Henri Rogera Gougenot des Mousseaux. "Le juif, le judaïsme et la judaïsation des peuples chrétiens" ukazała się w roku 1869, a więc 10 lat po śmierci Kraszińskiego. [Przyp. wydawcy].
- 6 Wydawca miał dostęp do jednotomowego wydania korespondencji z Raczyńskim: "Deux diplomates Le Comte Raczyński et Donoso Cortes, Marquis de Valdegamas. Dépêches et correspondance politique 1848-1853." Publiées et mises en ordre par Le Comte Adhémar d'Antioche. Paris 1880. Atazny hr. Raczyński /1788-1874/, kolekcjoner i znawca sztuki, był w latach 1848-52 ambasadorem króla Prus Fryderyka Wilhelma IV w Madrycie. [Przyp. wydawcy].
- 7 Louis François Veillot /1813-1883/, pisarz i dziennikarz francuski wydał w latach 1858-59 dzieła Donoso Cortesa w trzech tomach i opatrzył je przedmową. [Przyp. wydawcy].
- 8 Krasziński czytał najważniejsze dzieło Donoso Cortesa. 29 września 1851 pisał do Stanisława Egberta Koźmiana: "Przeczytaj ostatnie dzieło Donosa Cortes: "Essai sur le Catholicisme, libéralisme et socialisme". Pisano puzinami, ale ze światła elektrycznego. Nie piękniejszego, namłotniejszego, rytmiczniejszego nie znam. Czytającemu jak fala ku niebu podnosi się serce. Przeczytaj, a podziękujesz mi, że ci wskazałem." [Krasziński, "Listy do Koźmianów". Opracował Z. Sziolaki. Warszawa 1977, s. 373]. [Przyp. wydawcy].



## MORALIŚCI W ŚWIECIE POLITYKI

Niejednokrotnie już w historii polskiej myśli politycznej odwoływano się do społeczeństwa jako jedynego podmiotu życia politycznego. Koncepcja ta nie tylko urzekała swą cozywistością, ale przede wszystkim anakroniście wykorzystywała uzasadniony historycznie antagonizm między obywatelem a reprezentowaną przez władzę państwem. Trudno się zatem dziwić, że problem "podmiotowości społecznej" zawładnął ostatecznie wyobraźnią nie tylko opozycyjnych publicystów.

Zanim jednak teza o "podmiotowości społecznej" stanie się filarem konkretnych koncepcji politycznych, zanim zapożyczy twórców programów, odczw, raportów, deklaracji i przemówień, zanim stanie się ideologicznym frazesem, należałoby przyjrzeć jej się uważnie, należałoby zbadać owe historyczne rodowody, na które powołują się jej entuzjaści, należałoby rozważyć rodzaj i siłę inspiracji, jakie wywodzić może w dzisiejszym myśleniu politycznym. W tym kontekście mniej interesujące jest budzenie świadomości politycznej społeczeństwa jako metoda walki o niepodległość - bardziej treść tej niepodległości; mniej "podmiotowość społeczna" jako element taktyki politycznej - bardziej jako zasada społecznej organizacji.

Jeżeli choemy dotrzeć do treści kryjących się pod tym określeniem, jeżeli będziemy chcieli rozważyć je w kategoriach poznawczych a nie politycznych, to w poglądach Brzozowskiego i Abramowskiego, na których tak często powołują się entuzjaści "podmiotowości społecznej", znajdziemy materiał nadający się do tego znakomicie. Ci outsiderzy w świecie polityki, najbardziej chyba kontrowersyjni myśliciele przekłomu wieków w Polsce wyrastali ponad partyjne i środowiskowe podziały, a prezentowane przez nich dwie wzajemnie wykluczające się wizje światopoglądowe odpowiadały dwóm diametralnie odmiennym temperamentom umysłowym, postawom, stylom myślenia, czy odczuwaniem rzeczywistości. Toczono od sześćdziesięciu lat spory o sprzeczny światopoglądowe obu myślicieli są nieczym innym jak sporami o owe style myślenia, o rodzaj kultury politycznej Polaków. Ich poglądy poddawane były przecież niesłychanym wprost torturom, dopasowywano je do "prókrustowego łoża" ideologicznego najrozmaitszych środowisk politycznych i intelektualnych. Historycy i egzegeci zakazywali rękę - oryginalna myśl gubiła



się gdzieś w karkołomnych czasach i kasulistycznych wywodach adwersarzy i obrońców. Narastały legendy interpretacyjne: likwidatorackie i apologetyczne.

Obaj myśliciele mierzyli wysoko: pragnęli dokonać /każdy na swój sposób/ "przewartościowania wartości" i dzięki temu zmienić drastycznie rolę i miejsce polityki w nowym porządku umysłowym świata. Tylko, że ów "nowy porządek" u każdego z nich znaczył coś zupełnie innego - więcej, te porządki wykluczały się wzajemnie. Łączyło je co prawda wiele elementów, a jednym z nich, odziedziczonym w tym wypadku zapewne z tradycji marksistowskiej, było właśnie przekonanie, że społeczeństwo jest "naturalnym" podmiotem politycznym, i że w tym stwierdzeniu zawarte są gwarancje ludzkiej wolności.

Brzozowski i Abramowski uczyli się z problemu "podmiotowości społecznej" istotny punkt własnych koncepcji. U każdego z nich nie był to problem ni tylko polityczny, lecz wiązał się on nierozdzielnie z całym bagażem problemów kulturowych. Żyli przecież w okresie umysłowego i politycznego przazkoma, kiedy dominowało wrażenie kryzysu kultury, rozchwiania wartości, gdy narastała potrzeba budowania nowej atmosfery umysłowej i gdy budziły się pytania najbardziej podstawowe, pytania o sam sens polityki, jej miejsce i rolę w nowym świecie. Te lata bezpośrednio poprzedzające rok 1918 były dla Polaków także okresem "wchodzenia w niepodległość", były czasem, gdy problem tożsamości narodowej i pytanie o sens niepodległości zostały właściwie rozstrzygnięte - aktualne i najważniejsze stawało się natomiast pytanie o zależność przeoczuwanej niepodległości od wizji świata, w którym można byłoby żyć. Kolejny kryzys kultury europejskiej szleł się wówczas z potrzebą projektowania wizji niepodległej Polski.

Tak więc odwoływanie się do społeczeństwa jako podmiotu życia politycznego to zarówno u Brzozowskiego jak i u Abramowskiego nie tyle program działania /choć taki zapewne też dążył się odnaleźć/, ale przede wszystkim odpowiedź na pytanie o sens polityki i o miejsce dla niej w świecie ludzkiej kultury. Problem "podmiotowości społecznej" można więc rozważać tylko biorąc pod uwagę zjawiska z pogranicza kultury i polityki, bowiem ten rodzaj refleksji nie dotyka obszarów stricte politycznych, ale wartości i zasad w ogóle, i możliwości kierowania się nimi w życiu politycznym w szczególności.

x x x

Dwie sprawy zadecydowały o kształcie zjawiska, które już w latach dwudziestych zyskało sobie miano "brzozowoszczyzny". Z jednej strony

była to reakcja na utratę wiary w wartości kultury europejskiej, a drugie, jak powiadałby Izykowski, ów specyficzny brak "zmysłu dla całkowitego indywidualnego" - myślenia w kategoriach jedynie gatunku i historii.

Brzozowski odkrywając w zjawisku alienacji podstawę kryzysu świadomości europejskiej, zakładał tym samym, że życie w całym swym bogactwie i różnorodności, w swym stawaniu się i przemijaniu jest podłożem i ostatecznym kryterium tworzonej przez człowieka kultury - bez tego zakorzenienia w rudymenarnych pokładach życia kultura skazana byłaby na anarchiczny relatywizm, na brak bezwzględnej wartości czegokolwiek. W konsekwencji to zakłócenie prowadziło do podporządkowania myśli i moralności życiu, wprzęgało myśl na służbę codzienności, moralność uzależniało od nieustannego procesu kreacji. W ten sposób Brzozowski zdradzał ideały klerkizmu, wyrzekł się bowiem myśli niezależnej, nieuwarunkowanej "życiowo", wyrzekł się niezależnego, niez zaangażowanego sądu moralnego - odbierał tym samym intelektualistom prawo do służenia Prawdzie, stawał się zdrajcą wśród klerków.

W sferze myślenia politycznego "zdrada klerka" objawiła się całkowitym sprzeciwem wobec europejskiej tradycji politycznej i demokracji jako najdoskonalszego jej owocu. Brzozowski nie próbował krytykować mechanizmów funkcjonowania demokracji, jej niedociągnięć, braków, wewnętrznych sprzeczności - uderzał w nią totalnie i od podstaw. Wydaje się to całkiem zrozumiałe, gdyż tak jak inteligencja jako warstwa w życiu umysłowym, tak demokracja parlamentarna jako system w życiu politycznym kępowała, jego zdaniem, spontaniczność życia w ogóle, była czynnikiem pojęciowym, "fikcyjnym", narzucającym życiu pewne rygory i ograniczenia. Z pozycji antyklerka były to zarzuty logiczne i uzasadnione. Rzucając wyzwanie Prawdzie i demokratycznej wolności Brzozowski etawiał krok poza sferę kultury europejskiej.

Ten krok, charakterystyczny dla wielu intelektualistów z pokolenia autora "Idei", inspirowany tęsknotą do kultury monolitycznej, która jako całość reprezentowałaby określoną hierarchię wartości i określony styl, był pierwszym i decydującym krokiem na drodze do totalitarnego zwicnięcia umysłu. Krok następny polegał na specyficznym pojmowaniu życia jako nieustającej walki. I rzecz znamienita, mimo wszelkie przełomy i ewolucje światopoglądowe, ideologia "życia-walki" pozostała u Brzozowskiego niezmienna.

Uzależniając myśl od bliżej nieokreślonego życia, a później nadając życiu temu wymiar ideologiczny Brzozowski niewolił umysł ostatecznie - o kształcie tego zniewolenia zdecydował zupełny brak wróż-

liwości na los człowieka indywidualnego, więcej, zupełna niemożność myślenia w kategoriach jednostki. Dalesze konsekwencje były już oczywiste.

Nie było więc miejsca na wolność człowieka, jako że społeczeństwo będące jedynym podmiotem tworzącym świat i historię potrzebowało tylko wolności od zewnętrznych ograniczeń; nie było miejsca na lenistwo, jako że ludzkość zagrożona zewnętrznymi żywiołami wymagała ciągłego, heroicznego czynu; nie było miejsca na indywidualne swobody także i z tego względu, że walczący gatunek obowiązywała surowa dyscyplina moralna, zlewająca jednostki w całość silną i wszechmocną; wreszcie nie było miejsca dla skromnego nawet indywidualizmu, gdyż walka z rzywąką wszystkich w obliczu wymagowanych zagrożeń, czyniła każdego walczącym herosem, który w wizjonerskich zapędach stawał się żołnierzem niezwykłej armii robotników.

Bunt przeciw kulturze, rezygnacja z ideałów klerkizmu, wrznięcie rozumu w służbę ideologii, myślenie w kategoriach gatunku, heroizmu i grupowego solidaryzmu - wszystko to pozwalało radykałom, i to zarówno tym z prawa, jak i tym z lewa odnajdywać w Brzozowakim protoplasce i patrona swoich programów, pozwalało marzyć o budowaniu "podmiotowości społecznej" w oparciu o narzucone "odgórnie" ideologie, chronić ją poprzez wymuszone dla tych ideologii poskuszenie.

Brzozowaki zdawał się nie zauważać, że próbując myśli uzależnić od ideologii, a inteligencję uczynić służebnicą jedynie wrażliwej na prawdy życia klasy robotniczej, otwierał przed polityką, wbrew własnym oczekiwaniom, furtki, prowadzące do obszarów zakazanych, podporządkowywał jej życie społeczne i kulturę, **ś w i a t c a ł y c z y n i k ś w i a t e m p o l i t y c z n y m**.

W tej perspektywie myślenia społeczeństwo-gatunek, czy też społeczeństwo-naród jest rzeczywiście podmiotem życia, ale życie to kierowane ideologią staje się olbrzymią polityczną grą, w którą wrznięty jest każdy i wszystko. Błąd Brzozowskiego polegał na tym przede wszystkim, że naiwnie, wbrew doświadczeniu historycznemu i prawdzie codziennego życia, wierzył, iż głoszona przez niego wszechogarniająca, mobilizująca masy ideologia nie stanie się nigdy argumentem politycznym w rękach pretendującej do przejęcia władzy elity, że będzie jedynie autentycznym wyrazem woli ludu pracującego i nauczycielem nowej świadomości społecznej. Tego rodzaju naiwność, obciążona błędami intelektualizmu, świadczyła jedynie o tym, że Brzozowski żył bardziej w świecie ideału niż otaczających realiów, bardziej w świecie myśli niż polityki. Nie zauważał także, że pozbawiając intelektualistów własnego,



niezależnego od "życia" sądu, własnych, zależnych jedynie od uznanych wartości ocen moralnych, otwierał tamy znu, bowiem wytrącał z rąk strażników wolności jedyną broń zdolną przed zdem ludzkość chronić.

## I X X

Styl refleksji politycznej Edwarda Abramowskiego można byłoby wobec szkoły Brzozowskiego określić jako antytetyczny. Wspólna płaszczyzna, która pozwala na to zestawienie, wynika z identycznej niemal diagnozy choroby, jaka toczy starą Europę - wspólna jest też reakcja na utratę wiary w wartości kultury Zachodu. O ile jednak Brzozowski w poszukiwaniu uzdrawiającego dla tej kultury układu odniesienia wykroczył poza nią i stworzył nie dającą się zasymilować heterodoksję, o tyle Abramowski w istniejącej kulturze szukał wyjścia z kryzysu. Także, w przeciwieństwie do Brzozowskiego, myśl Abramowskiego charakteryzowała się nie tylko zrozumieniem dla sprawy jednostki, ale sprawy te były dla niej punktem wyjścia refleksji o świecie, społeczeństwie, polityce, kulturze - było to myślenie w kategoriach człowieka i indywidualnej egzystencji.

Abramowski podzielał właściwie spostrzeżenie Brzozowskiego dotyczące procesów alianacyjnych w europejskiej umysłowości - dla niego również rzeczywistość przełomu wieków była przede wszystkim tworem "złudzeń świadomości", była fikcją intelektualizmu. Nie próbował jednak, jak czynił to Brzozowski, uzależnić myśl od ideologicznie pojmanego życia, aby w ten sposób kulturze przywrócić autentyczność. Przeciwnie, uważał, że życiem tym kierować winny przyrodzone człowiekowi ideały, które w trakcie postępującej historii zagubiły się gdzieś i przepadły. Należy więc do nich wrócić, należy prześledzić mroczne drogi rozumu, usunąć jego fałszywe, aby ujrzeć jego blask, należy powrócić do źródeł, dotrzeć do pojednania człowieka z przyrodą, moralności z życiem. W ten sposób autor "Zagadnień socjalizmu" odrzucając współczesną mu rzeczywistość i zwracając się do ewangelicznej krainy dobra, odrzucał całą europejską tradycję polityczną, odrzucał całą realność i złożoność polityki. Zabieg ten w myśli politycznej okazał się jałowy i ograniczał się właściwie do naiwnej wiary, że skoro ludzie są z natury dobrzy, to w nowych, lepszych warunkach dobro weźmie natychmiast górę nad wszelkim złem. Na myśli politycznej Abramowskiego ten utopijny wątek zasiał fatalnie.

Trafnie spostrzegając wzajemnie kompensujące dążania polityki i życia społecznego Abramowski traktował istnienie polityki jedynie jako efekt wynaturzenia umysłu, jako chwilowe zniewalającą życie społeczną

hipostazę, jako zasadniczego, ale dającego się pokonać, wroga wolności. Centralizujący i totalizujący charakter polityki w rzeczywistości, według Abramowskiego, w systemie państwa "dąży do ujednostajnienia życia i zniesławienia różnic", do podporządkowania obywateli ogólnie narzuconym ideologiom lub arbitralnym decyzjom rządzącej elity. W przeciwnieństwie do polityki realizowanej w strukturach państwowych życie społeczne rozwija się w najrozmaitszych stwarzaniach powstających, mówiąc ogólnie, w "interesie wolności", i ono właśnie "równocześnie wszystkim odmiany ludzkie i dąży do ich pomnożenia" - ma więc charakter decentralizacyjny i detotalizujący.

Zasadniczym błędem myśli politycznej Abramowskiego było wypowiedzenie zdecydowanej wojny polityce, a co za tym idzie, państwu, w imię walki ze wszelkimi przejawami centralizacyjnymi, które według Abramowskiego powodują jedynie zglajszawienie twórczego indywidualizmu, kultury. Celem tej wojny nie było bowiem ograniczenie przestrzeni polityki, nie był jedynie protest przeciwko wdzieraniu się jej w dziedziny sztuki, nauki, wreszcie życia prywatnego. Celem tej wojny było całkowite zniesienie polityki, wykorzenienie z ludzkich mózgów nałogu "państwowości", wyzwolenie człowieka od wszystkich narzuconych przymusów.

Z tych pozycji występował Abramowski przeciwko istniejącej demokracji parlamentarnej /choć przyznać należy, że w porównaniu z innymi systemami politycznymi widział także jej zalety/, z tych samych pozycji protestował przeciwko wyraetającemu z myśli socjalistycznej totalitaryzmowi /którego oczywiście nie określał tym terminem/. W tej perspektywie myślenia o polityce demokracja była jedynie dyktaturą większości, zniewalającą swobodny rozwój grup mniejszościowych "przez upaństwowienie i upowszechnienie tego, co nie potrzebuje i nie powinno być ani powszechne, ani przymusowe". Z kolei myśl socjalistyczna wpędzona w kanał myślenia "polityczno-państwowego" prowadzić musiała nieuchronnie, jego zdaniem, do koncepcji totalitarnych, które z jednej strony postulują zdemokratyzowanie polityki, uczynienie każdego pełnoprawnym obywatelem - z drugiej natomiast grozą wtargnięciem polityki we wszystkie czynności życia społecznego i prywatnego, i w kulturę.

C ile wskazywane przez Abramowskiego niebezpieczeństwa "politycznego socjalizmu" wkrótce już miały się urzeczywistnić, o tyle sposób widzenia demokracji był niepełny, a stąd i jej ocena nieprawdziwa. Być może celna antycypacja totalitaryzmu wynikała, co wyda się paradoksalne, z pewnych podobieństw myślenia politycznego: myśl "politycznego socjalizmu" w swym symplicystycznym ujmowaniu rzeczywistości zbliżona była do "uteplizmu" Abramowskiego - odrzucała świat

apolityczny, podporządkowując życie społeczne i kulturę polityce, podczas gdy autor "Zagadnień socjalizmu" starał się politykę w ogóle wyeliminować, aby dać człowiekowi swobodę życia społecznego i twórczości, pragnął świat cały uczynić światem społecznym. Natomiast wysuwa z rozważań nad stanem kultury europejskiej krytyka demokratycznych systemów politycznych i w końcu totalne odrzucenie polityki, odrzucenie komplikacji świata na rzecz wizji prostej i wzruszającej, było dla rozwoju myśli politycznej zabiegem bezpłodnym, jeśli nie szkodliwym. W gruncie rzeczy Abramowski nie rozumiał sensu gry parlamentarnej, istoty demokratycznej reprezentacji, nie rozumiał kultury politycznej. Odrzucenie było wynikiem niezrozumienia, a myśl polityczna jest inspirująca jedynie wtedy, gdy zrozumie rzeczywistość, pokona ją, przejrzy jej złożoność - w przeciwnym razie jest tylko czczą retoryką.

Nie sugeruję tym samym, że do twórczości Abramowskiego nie ma już po co wracać. Wręcz przeciwnie. Wskazując na szabiorczość polityki i niebezpieczeństwa wynikające z jej ingerencji w inne dziedziny ludzkiej aktywności Abramowski sam starał się zachować wobec niej niezależność. I w psychologii, socjologii, filozofii wysiłek tego niepodległego umysłu znacząco wspaniałe. Trudno nie ulec urokowi tej wizjonerskiej śmiałości, tej głębokości wjrzenia w istotę rzeczy, tej intelektualnej elastyczności, jaka jest obecna w pismach autora "Metafizyki doświadczalnej". W zakresie teorii i praktyki ruchów społecznych wiedza o społeczeństwie dzięki Abramowskiemu zyskała wiele. Dopóki bowiem Abramowski rozważał ich źródła, dynamikę, strukturę, mechanizmy socjologiczne i psychologiczne, które rządzą ich rozwojem, dopóty jego pisma świadczyły o wysokiej kompetencji i erudycji autora - z obawią jednak, gdy wkroczył w świat ideologii, gdy w jej imieniu próbował politykę, struktury państwa zastąpić, a nie ograniczyć, ruchami społecznymi, związek jego myśli z realnością polityczną wydawał się wątpliwy.

x x x

Mamy więc dwie perspektywy widzenia polityki i dwie koncepcje "podmiotowości społecznej": "totalitarną" Brzozowskiego i "anarchistyczną" Abramowskiego.

Wydaje się, że fascynacje Brzozowskim jako myślicielem politycznym należą już do przeszłości. Jego wizje nowego porządku umysłowego, jego nowe rozumienie polityki jako regulatora wszystkich spraw ludzkich, jego gatunkowe rozumienie społeczeństwa jako podmiotu życia po-



litycznego mogło posiadać polskie korzenie. Lat dwadzieścia, może stać się własnym obywatel i nadzieją przyszłości dla "Drugiej Polski" i innych nacjonalistycznych środowisk radykalnych, wręcz odcie po wojnie mogło dostarczyć bardziej ambitnym epigonom marksistowskie wsparcie w intelektualnej argumentacji. Doświadczenie jest chyba już rzeczą oczywistą, że wysłowa konstrukcja dla tego stylu myślenia politycznego mianem - dwudziestowieczna totalitarny obywateli wszelkie jego niebezpieczeństwa i pozwoliły "brzozowscy" skierować do historycznego lausa polskiej myśli politycznej. Nie znaczy to oczywiście, że cała twórczość Brzozowskiego jest już dziś niewiele warta. O tym, że tak nie jest, świadczy ilość prac poświęconych różnym aspektom jego twórczości, które ukazały się choćby w ostatnich dekadach. I długo jeszcze Brzozowski filozof i krytyk literatury będzie zapewne opisy. Mówiliśmy tu jednak o jego stylu politycznym i w tym wypadku odwoływanie się dzisiaj do autora "1938" jest chyba nieporozumieniem wynikającym z niewiedzy - w przeciwnym razie jest niebezpiecznym anachronizmem.

Nawet jeżeli wygląda w przypadku Abramowskiego. Jego wiara salubna i ludzka budzić mały natychmiast odruchsy sympatii i zrozumienia. Podstawą napawa treścią w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach antycypacja totalitaryzmu, need radykalizm podobny precyzyj, wzmocnia wiara dobrane słowa i obywateli, ale przede wszystkim przekonuje owa konieczność wyrażenia w społeczeństwie poczucia godności i odpowiedzialności, które realizują się w społecznych inicjatywach leżących poza państwem i poza polityką. A gdy czyta się "Zawagę powstania przeciw rewolucji" to nie ma wątpliwości bez przesady uważać, że słowa to pisze autor nam współczesny, i że dyrektywy działania tam zawarte są dyrektywami dla nas właśnie. Jeżeli więc możemy dziś mówić o konstruktywnej doświadczeni i politycznej dla jakiegos stylu myślenia o polityce, to stwierdzamy wręcz, że jest to konstrukcja dla "brzozowscy".

Należy jednak pamiętać, że jeśli polityczna Abramowskiego nawet w swej najbardziej radykalnej, najniebezpieczniejszej wersji budzi wiele wątpliwości i niepokojów. Przede wszystkim ignoruje bieżące wydarzenia i epistemologię, że porządek polityki /obowiązujące w niej reguły gry, ustalane przez nią całe i stosowane odcydy jak szeregami/ różni się w sposób istotny od porządku inicjatyw społecznych, i że porządek ten niepodporządkowany się wzajemnie nie dają. Abramowski sam uważał, że na przykład dla prowadzenia polityki zagranicznej żadne epistemologiczne przedstawicielstwa nie wystarczy - tu wkracza się w świat subtelnej gry międzynarodowej, tu obowiązują specyficzny język dyploma-

cji. Abramowski postulował więc ograniczenie spraw państwa i polityki do niezbędnego minimum. Ale zakładał tym samym, że polityka i tworzone przez nią świat jest stem mniej lub bardziej koniecznym, jest rękawicą tkanką na adzwym ciele organizmu społecznego. Dla społeczeństwa, które przez ostatnie dwadzieścia lat własnej zawieszanej państwowości właściwie nie miało, takie zakończenie może okazać się katastrofalne. Awersja do struktur państwowych, nie tylko obcych, ale każdego, prowadzi musi nieuchronnie do ignorancji zasad zarządzania i administracji państwowej, do lęku przed międzypartyjną grą parlamentarną i przed "brudną" praktyką polityki międzynarodowej, wreszcie do braku zainteresowania przewodnictwem i nierozumienia istoty funkcjonowania prawa. Natomiast myślących w sposób bardziej umiarkowany, zdających sobie sprawę, że polityka i państwo są realiami, z którymi liczyć się trzeba, koncepcje Abramowskiego ludzą, że budzenie społeczeństwa do niezależnego życia społecznego może automatycznie obywateli zasądzić polityki. Cóż bardziej zwodniczego! Należy sobie jasno powiedzieć, że odwołując się do polityki, trudno byłoby się jej deprawdy nauczyć.

Czy zatem odwołując się do różnych tradycji politycznych o takie właśnie "podmiotowości społeczne" nam chodzi, czy rzeczywiście wybór rozstrzygnąć się musi między "totalitarną" a "anarchistyczną" koncepcją społeczeństwa jako podmiotu życia politycznego? Nie zapominajmy, że myśl polityczna Abramowskiego, podobnie jak Brzeczowskiego, zrodzona była z buntu i odrzucenia, a myśl taka obarczona być musi grzechem niewoli.

## NA MARGINESIE MYŚLI LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

W imponującej pracy "Główna nurty marksizmu" /t. I-III, Paryż, 1976-1978/ Leszek Kołakowski wspomina czasy krytyki tzw. "filozofii burżuazyjnej" w Polsce w latach 50-tych: "Drugim przedmiotem krytyki był budaizm, który miał także w Polsce rozbadaną tradycję, a którego głównym ośrodkiem był Uniwersytet Katolicki w Lublinie /Uniwersytet ten - rzecz bez analogii w dziejach państwa socjalistycznych - nigdy nie został zlikwidowany i, mimo różnych nacisków i szykan, funkcjonuje po dziś dzień/. W bataliach tych brało udział wielu marksistów starszego i młodszego pokolenia /Adam Schaff, Bronisław Baczko, Władysław Kroczyński, Helena Ślińska, Władysław Erajowski; również uczestniczył w nich piszący niniejsze, który nie uważa tej swojej aktywności za powód do chluby/. Prowadzono także prace nad obecnością marksistowskiego doświadczenia w polskiej kulturze przeszłości. Znaczna większość tych, którzy wówczas uczestniczyli po stronie marksizmu w tych działaniach, następnie zerwała z marksizmem". /Główny nurty..., t.III, s. 179/.

Jest coś niesamowitego w obrazie filozofii marksistowskiej, jaki odmalował nam w trzech tomach historii marksizmu Leszek Kołakowski. Nie jest to zwykła historia. Za każdym jej rozdziałem można dostrzec jakąś, jedną więcej, obumartą nadzieję człowieka, który szukał w marksizmie przestrzeni dla rozwoju swego człowieczeństwa, ale jej tam końcem nie znalazł. Człowiekiem tym był między innymi sam Kołakowski. Autor spłaca swym dziełem jakiś dziejowy dług. Wiadomo nam, że filozofowie polscy przed wojną - poza bardzo nielicznymi wyjątkami - nie przygotowali polskiej inteligencji na konfrontację z marksizmem. Czyni to dopiero obecnie Kołakowski. Ale dla niego marksizm był częścią życia. Rozprawa z marksizmem jest rozprawą filozofa z samym sobą. Z tej niezwykłej książki wypływa coś z atmosfery ogromnego smutku. Na smutku tym spią snem pokoju zarówno klasycy marksizmu, jak jeden po drugim jego komentator. Teorię marksizmu miała weryfikować praktyka i właśnie praktyka ukazała, jak bardzo nieludzka była ta teoria. Między grobami marksistów jest grób złodego Kołakowskiego. "Prawdolicie umarłym grzebać umarłych swoich". Kołakowski grzebie również siebie, swe dawne nadzieje, swą młodość. Zamyka jedne drzwi, aby móc sobie otworzyć drugie. Ale jakie?

Żywiołem myśli Kołakowskiego była hermeneutyka. Hermeneutyka jest metodą poznania w naukach humanistycznych, chociaż ostatecznie czyni się



s niej również jestową metodą filozofii. Ogólnie mówiąc, hermeneutyka jest sztuką interpretacji znaczeń, resp. sensów, określających wartość, to, co jest istotne, jak to, co podmiotowe. Jaki naprawdę sens ma to, co twój rozumienie rozumie? Jakie znaczenie przypisujesz swoim słowom a jakie znaczenie mają słowa to naprawdę wiem, że robiąc to lub tamto, działasz w dobrej wierze, ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, w czym interesuje jest takie działanie? Hermeneutyka myślenie staje się ostatnio metodą filozofii, która nawiązuje do niemieckiej filozofii życia, do Nietzschego, do psychoanalizy, do Heideggera a także do Marksa, uważanego za jednego z klasyków metody. W tym ogólnym nurcie należy również polecić myślenie Kożakowskiego.

Zasadniczym rysem metody Marksa a potem także metody Kożakowskiego było badanie rozmaitych zjawisk związanych z życiem społecznym, w szczególności zjawisk kultury, które odgrywa rolę, co dla nich postawienie i rozwój jest najbardziej zasadnicze, co decyduje o ich treści, oznaczeniu decydującym w hermeneutyce marksistowskiej miał być nieświadome "interese klasowy". Kożakowski zapytywał więc: w czym interesie jest w estetycznym rozrachunku taki lub inny pogląd filozofii, w czym interesie określona wiara religijna, określony prąd w sztuce? Pytając tak, hermeneuta chciał zbawić maskę, rozświecić jakąś iluzję, ukazać ukrytą dla niewzbrojonego oka prawdę. Paul Ricoeur nazywa klasyków współczesnego myślenia hermeneutycznego "mistrzami podejrzeń". Leszek Kożakowski wszedł w naszą powojenną kulturę jako jeden z nich.

Metoda hermeneutyka opiera się na pewnych założeniach. Przede wszystkim zakłada ona, że istnieje coś, co jest podstawą naszego działania, jakaś nietykalna oczywistość, która funkcjonuje jako podstawa całego zabiegu. Założenie to nie zawsze jest wyraźnie sformułowane i nie zawsze jest takie samo w poszczególnych tekstach tego samego hermeneuty. Kartezjusz, który także uprawiał hermeneutykę, uważał, że oczywistością tą jest "cogito" i starał się utrzymać ten punkt widzenia przez całą filozofię. Marks uznał, że zasadniczo każda treść kultury musi być w czymś interesie, że tzw. "działania bezinteresowne" są iluzją kryjącą bardziej perfidne interesy klasowe, chociaż nie w każdej jego pracy zasada ta jest jednakowo wyraźna. Kożakowski nie jest już tak konsekwentny. Jego zasada demaskacji jest szlachetna, podlega rozwojowi, jest nie tylko podstawą krytyki, ale również staje się jej przedmiotem. Nie jest to żadna wada tego myślenia, lecz wręcz zaleta. Dzięki temu bowiem myśl Kożakowskiego rozwija się, staje się hermeneutyką własnej hermeneutyki, interpretacją własnej interpretacji.

Wszelka hermeneutyka, a w szczególności hermeneutyka Kożakowskiego jest wypracowaniem sensu człowieka. Może to, co woli hermeneuta, jest

circans, ale czy jest prawdziwy? Jak można wyzyskać jedną interpretację a falsyfikować drugą? Wystarczy zmienić zasadę, by można było odwrócić to, co przesłucha uważało się za słusne. Każda sprawa wygląda z jednej strony tak a z drugiej inaczej. Który z punktów widzenia jest słuszny? Mówi się więc: Kożakowski w czasach stalinowskich czepiał wraki z filozofii i więc opowiadał się za marksizmem, potem jednak poniosła go ambicja, zmiganił miejsce samoleśnikania, odkrył swój interes w czymś innym i dziś "dezeskuje" marksizm; jego dotychczasowa walka z marksizmem jest tyle samo wariacją, co jego dawna walka z totalizmem i z religią. Mówi się także: Kożakowski jest zmienny, nie potrafi być wierny sobie, uprawia błyskotliwą konglerkę słowną, ciągle chce coś zmieniać, zamiast żeby zaczął wreszcie coś posnawać. Czy zarzuty te są słuszne? Czy hermeneutyka Kożakowskiego nie kryje żadnych oczywistości? Czy nie posiada jakichś granic, które ją umożliwiają? I wreszcie: czy mimo wszystko Kożakowski nie jest wierny sobie i czy właśnie nie w imię tej wierności poświęca się gorzkiej pracy "grzebania umarłych swolich"?

Patrząc na rozwój myśli Leszka Kożakowskiego, mam na uwadze jedno pytanie: co w tym myśleniu jest naprawdę absolutne? Pytam o absolutną rację jego krytyk i absolutną rację jego akceptacji, pytam o doświadczenie do tego stopnia niezwykłe, że obecnie sądziłbym wtedy, gdy Kożakowski był w pełni świadomym marksizmem, jak dziś, gdy jest jego krytykiem. Innymi słowy: gdzie w myśleniu Kożakowskiego kończy się interpretacja a zaczyna spotkanie oczywistości? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa choćby z tego powodu, że jego teksty są dziś stosunkowo trudne do dostępnego a także i z tego, że sam Kożakowski przyrównał kiedyś siebie do bkaana, którego dewizą jest czujność przed przyjęciem "jakiegokolwiek absolutu". Zarazem jednak odpowiedź jest tu konieczna, jeśli to, co Kożakowski pisze, nie ma być uznane za niezbyt odpowiedzialną grę chłopca z podobnymi do siebie chłopcami a może nawet tylko z samym sobą. Kożakowski chce, aby go uważano nie tylko za pisarza, który coś pisze, ale przede wszystkim za myśliciela, który o czymś świadczy. Jeśli ma on być uznany za świadka, musi być jasne o czym świadczy.

Mam przed sobą zbiór jego krytycznych artykułów o filozofii chrześcijańskiej pt.: "Szkice z filozofii katolickiej", o którym autor napisał - jak wdziceliśmy - że "nie przynoszą mu chwały". Rozważmy jednak sprawę z dystansu i na ziarno. Artykuły są nie tylko krytyką, ale również jakimś protestem. Jeśli tak, to powstaje pytanie: w imię czego ów protest? W imię jakiej wartości, jakiej zasady? Inaczej: co jest zasadą hermeneutyczną jego demaskatorskich zabiegów? Zasada jest dość jawna: nie jest nią wcale tu czy inna, dogmatycznie przyjęta teza marksizmu, nie najbardziej fundamentalna i w jakimś sensie naturalna właściwość au-

teraz na wszystko, co się wiąże ze sprawą godności człowieka.

Pisarstwo Kożakowskiego tym się wyróżniało od pisarstwa innych marksistów owego czasu, że jego źródłem było właśnie taka wrażliwość. Raz jeszcze przyglądam się artykułom tam zamieszczonym i używam argumentu. Czytam: "Neotomizm w walce z nauką i prawami człowieka". Na innym miejscu: "Prawa osoby" przeciw prawom człowieka". Fragment drugiego z wymienionych szkiców brzmi: "Można by powiedzieć, że Kościół na skraju wstępczoności świata kapitalistycznego wymierza senstę średniowiecznej tradycji nad tradycją burżuazji antykościelną: bluźnierczą zasadą głoszącą, że człowiek jest celem samym w sobie, domaga się bezwzględnej potępienia jako przewrotnego obalenia całego porządku moralnego, 'albowiem głównym celem człowieka jest Boga służyć i tak dojść do życia wiecznego' /cytat z podręcznika teologii moralnej V. Cathreina, przyp. J.T./; myśli Augustyna i Tommasza z Akwinu, że właściwie wszystko w świecie jest kaską, wyraża się w powiedzeniu, że w szerokim sensie wszystkie obowiązki człowieka są obowiązkami wobec Boga i że 'godność osoby' znajduje urzeczywistnienie w posłuszeństwie boskim rozkazem /odsyłacz do św. Tommasza z Akwinu/. Jak powiada Maritain, 'humanizm teocentryczny, czyli prawdziwie chrześcijański uznaje, że Bóg jest ośrodkiem człowieka...', a 'człowiek uznany zostaje jako człowiek grzechu i wołania, mający za ośrodek Boga, a nie siebie samego'". /Odsyłacz do J. Maritaina. Por.: Szkice..., s. 174/. Fragmenty myśli, do których odwołuje się Kożakowski i przeciwko którym protestuje, nie są czy wzięte jego wyniskiem. Tak się kiedyś pisało i to, co się pisało, wcale nie było całkiem jednoznaczne. Takie teksty mogą inspirować krytykę. Zaprezentowany przez Kożakowskiego sposób krytykowania jest odrażający, ale sam fakt krytyki, samo pytanie o to, jaki sens posiada pojęcie godności człowieka w religii jest usprawiedliwione. To, że Kożakowski stawia pytania i to, że krytykuje formułę takiego np. V. Cathreina, jest zupełnie zrozumiałe. Niezrozumiałe a nawet wręcz nienormalne jest to, że formuły te uznaje za skończony wyraz myśli chrześcijańskiej, że nie czyni wysiłku, by przebić się poprzez literę do ducha tekstu i to, że "literę" tę oskarża o "obiektywne sprzyjanie imperializmowi". Kożakowski chce - jak mi się wydaje - całkiem uczciwie i po swojemu bronić praw człowieka. Popełnia błąd, bo nie dostrzega, kto tym prawom zagraża naprawdę. Jego błąd jest błędem widzenia.

Myślę, że dla myślenia hermeneutycznego kluczową sprawą jest wyodrębnienie tego, co się rozumie, od tego, co się widzi. Świat rozumiany nie powinien przysłaniać świata widzianego, lecz raczej pomagać w jego odsłanianiu. W przypadku Kożakowskiego tak niestety nie było. Kożakowski uczył się Kościoła z tekstów podręcznika Cathreina, z prac



Maritaina, Nouvierra i kilku innych, zamiast popierać na to, co się dzieje za jego oknem. Kożakowski jakby bardziej wierzył słowu przesyłanemu, niż własnym uszom i oczom. Dlatego nie chwycił istotnej różnicy między postawieniem, jakie chrześcijaństwo winien jest Bogu a tym, jakiego państwo domaga się czasem od obywatela a partia od swych członków.

Kożakowski nie chciał słuchać Boga, więc słuchał stalinowskiej partii, odrzucał wartości kulturowe symbolizowane przez Boga, nota bene Bóg postawiony w szczytach dywizji - jak słusznie zauważył Stalin - więc musiał przyjąć to, co mu proponowała uzbrojona Moskwa. Bał się czytania Biblii pod kierunkiem Kościoła, więc musiał uczyć się słynnego "Krótkiego kursu WKP/b". Ale nie tylko to, Kożakowski był wprawdzie wrażliwy na godność człowieka, ale nie był wrażliwy na to, co działo się wówczas z tą godnością w Polsce. Nie widział konkretu - konkretnego plebejskiej wiary. Nie miał żadnego uczestnictwa w przeżyciach prostego chłopca czy robotnika, który klęczał w niedzielę przed ołtarzem i czuł się w tej pozycji bardziej ludzki i bardziej godny, niż Kożakowski kroczący na Uniwersytet, by mieć tam swe wykłady. Aby to wszystko widzieć i to wszystko czuć wcale nie trzeba było samemu wierzyć. Wystarczyło żyć Polską. Kożakowski mieszkał w Polsce, ale nią nie żył. W gruncie rzeczy nie miał respektu dla tego, czym żyje, czym oddycha i przez co cierpi prosty, to znaczący uczyliwy lud. Jeśli wolno, uczynię takie porównanie: nie miał w sobie tej wrażliwości, którą miał uwięziony wówczas Brymas... To była zupełnie inna optyka! A przecież Kożakowski nosił w sobie bardzo polskie - rzekłbym nawet romantyczno-polskie - sumienie. Był tak wrażliwy na sprawy alienacji, że robił wszystko, co uważał za potrzebne, by człowieka spod alienacji uwolnić. Z podobnego sumienia popłynęły kiedyś słowa "Wielkiej Improwizacji" Adama Mickiewicza. Myślę, że u źródła pomyłki Kożakowskiego leży mimo wszystko sumienie - wrażliwe, nasze sumienie. Powiedział ktoś: "Przebac im, bo nie wiedzą, co czynią".

Marks powiedział: "Filozofowie dotychczas tylko objaśniali świat, chodzi o to, aby go zmienić". Kożakowski postanowił być myślicielem, któremu chodzi o zmianę świata - zmianę przez demaskowanie. Przedmiotem demaskacji była najpierw religia a potem stał się nią marksizm. Ale, czy sposób demaskowania był taki sam? Nie, wręcz odwrotnie. Kożakowski stał na zewnątrz religii i miał w jej treści взгляд pośredni - poprzez przejawy, a więc poprzez religijne teksty, poprzez wydarzenia dziejowe, poprzez zjawiska polityczne itp. Nigdy nie stanął na placu w Częstochowie, by śpiewać z głębi duszy "Boże, coś Polskę..." Natomiast w marksizm miał взгляд od wewnątrz. Kożakowski naprawdę był marksistą, był nim całym rozumem i sercem. Gdy przyszedł do demaskowania marksizmu, okazuje

48  
się, że trzeba było stworzyć nowego bohatera. Wtedy powstała, która  
stworzył do krytyki religii, opierała się na czołach z drągłej ręki,  
Lekkość poza krągami jego (ścisłymi) ścisłymi. Wewnętrzna zasto-  
rowana do demagogii marksizmu była w tym celu przez demagogów. Nie  
niego demagog, że pierwsza książka naszej literatury, podczas gdy druga  
opiera się nie do oparcia.

W tym wykładzie Kozakowski jest jeszcze innym innym - mo-  
tym rozważaniem. Śmiało może Kozakowski jest rozważaniem, choć roz-  
ważaniem ten rozważenie w rozważeniu jego przesłach wygląda - inny jest  
z pierwszemu swojaki, inny w takim nie przykład "Wspomnienie i Wzrost",  
inny w "Ciekawych nurek...". Nie opierają się jednak w demagogii.  
Wydaje mi się, że najbarbarzyjszymi przykładami jego rozważaniem są  
"Ciekawe nurek marksizmu". Wtedy występuje tutaj przede wszystkim w całej  
krytyce krytyce. Wtedy może może może w demagogii marksizmu i  
markizmu przez markizm marksizmu marksizmu marksizmu. Marksizm chciał  
oż rozważenie i marksizm także chciał być rozważenie. On był Okazuje się,  
że marksizm marksizm, że marksizm nie pierwszy etap marksizmu zaprzeczy-  
ły rozważenie. W tym może polega ich kłopot.

W całej rozważeniu z marksizmem Kozakowski stawia marksizm przed swo-  
jimi trybunami - trybunami marksizmu i trybunami rozważenia. Jakiś jest  
wynik przemyśleń marksizmu zostaje obwiniony o to, że stał się filozoficz-  
no-filozoficzną formą nieprawdliwiania zbrodni. Obserwując historię  
wzrostu marksizmu w życie, Kozakowski rejestruje proces narastania  
trybun. W demagogii marksizmu, tym więcej poekstremizacji. Wtedy z  
tym może też przesady i wymagania, by jakoś uprawdliwić konieczność  
owych ofiar, ich potrzeby, ich konieczność. Marksizm, właśnie marksizm  
pojęty jako rozważenie: się filozofia, mał konieczność owych uprawdli-  
wiania. Nie ma w nim żadnej konieczności. Może mogłoby stać się trwać, może  
dą postętu. Żadno może rozważenie, ale jak ja zakończył tego rękę  
nie wie. Wtedy może może może może może może może może może może  
chciał potrzeba pisać na demagogii i utwardzenie wykładów. Ofiary roz-  
ną. I tej wykładzie nie może być marksizmem uprawdliwić, może może marks-  
izm marksizm. Kozakowski sędzi tak nie tylko do innych, ale przede  
wszystkim do siebie.

Intelektualną kłopot marksizmem obserwuje autor na wielu płaszczy-  
nach, biorąc pod uwagę wiele wykładów. Poprzez ten jednak przy przy-  
kładzie marksizmu. Wtedy może może może może może może może może może  
całkowicie marksizmu marksizmu, przede wszystkim odgrywać jakkolwiek  
niektórzy jako marksizm marksizm, który by wpływał na faktyczną po-  
litykę marksizmu. Marksizm on może z koniecznością treści tek ogłosa i ogł-  
nikową, aby może być z jego pomocą uprawdliwić jakkolwiek marks-

40

tualne posunięcia w polityce wewnętrznej i zagranicznej: NKP czy kolektywizację, przyjaźń z Hitlerem czy wojnę z Hitlerem, wszelkie "zacieśniania" czy "rozluźnienia" wewnętrznego reżymu itd. Istotnie, skoro teoria głosi, że "wprawdzie" nadbudowa jest zarówno tworem, jak narzędziem bazy, ale "z drugiej strony" sama wywiera wpływ odwrotny na bazę, "wówczas wszelkie wyobrażalne metody państwowej regulacji życia ekonomicznego, a także wszelkie formy zwiększonego lub zmniejszonego nacisku na kulturę, będą zgodne z marksizmem. Jeśli "z jednej strony" jednostki nie tworzą historii, ale z "drugiej strony" wybitne jednostki, które rozumieją konieczności dziejowe, odgrywają znaczną rolę /a na jedno i drugie są odpowiednie cytaty z Marksa i Engelsa/, to będzie się zawsze w zgodzie z marksizmem, czy się chce uzasadnić boską część oddawaną socjalistycznemu samodziarżcy, czy, przeciwnie, potępia ją jako sprzeczne z marksizmem "odchylenie". Jeśli "z jednej strony" wszystkie narody mają prawo do samostanowienia, ale "z drugiej strony" interes światowej rewolucji socjalistycznej stoi ponad wszystkim, to każda możliwa polityka w zakresie dławienia narodowych aspiracji nierosyjskich ludów imperium - bezwzględna lub rozluźniona - niechybnie będzie "marksistowska". Otóż marksizm stalinowski był budowany wedle takich właśnie zasad: "Z jednej strony", "z drugiej strony", "wprawdzie...leoz" itd. Mętność i nieokreśloność doktryny nazywana była "diaklektyką". Pod tym względem zarówno funkcje, jak treść oficjalnego sowieckiego marksizmu nie uległy zmianie w postalinowskich czasach. Marksizm stał się po prostu retoryką, która służy usprawiedliwieniu Realpolitik wielkiego imperium". I sprawa kluczowa: "Mechanizm tej metamorfozy był zresztą całkiem prosty: skoro Związek Sowiecki jest z definicji środkiem postępu ludzkości, tedy wszystko, co służy jego interesom jest postępowe, a wszystko, co się sprzeciwia - wsteczne" /Główne nurty..., t.III, s. 110/.

Filozofia, która potrafi usprawiedliwić wszystko, co jest aktualnie korzystne dla władzy, nie jest już żadną filozofią. Dlatego: "W tej chwili marksizm ani nie tłumaczy świata, ani go nie zmienia, jest tylko zasobnikiem hasel służących organizowaniu różnych interesów, nie mających najczęściej nic wspólnego z tymi, z jakimi marksizm w pierwszej formie się identyfikował" /Główne nurty..., III, s. 528/. Oto ukazany jasno motyw odejścia: marksistowski racjonalizm okazał się iluzją.

A jak wygląda drugi motyw odejścia? Jak wygląda moralna klęska marksizmu? Znowu poprzestaniemy na rozdziale o stalinizmie, chociaż ciągnie się przez całą książkę.



Kołakowski na każdym kroku podkreśla słyszany wydzwięk myśli Marksa: Dilematem tu narodziła się z protestu przeciwko uciesienieniu i z nadzieją na przezwycięzenie sytuacji uciesienienia. Miała być narządkiem zniechęcenia wyzysku pracy. Aby znieść wyzysk, usprawiedliwiła rewolucję społeczną i powstała z jej wyniku państwo. W "socjalistycznym państwie" wyzysk wcale nie zniknął, lecz został "usprawiedliwiony" potrzebą dalszej walki o socjalizm, zwłaszcza w innych krajach. Aby znieść wyzysk, trzeba zbudować socjalizm na całym świecie. Do tego celu potrzebne jest mocne państwo. W ten sposób sam marksizm postuluje w imię realizacji nakreślonych celów zaprowadzenie w państwie władzy totalitarnej. Jeden totalizm zostaje zastąpiony innym totalizmem.

Na marginesie rozprawy ze stalinizmem Kołakowski pisze: "Z pewnością, wolno powiedzieć, że wielkie masakry lat trzydziestych były makabrycznym przypadkiem w tym sensie, iż cele, którym służyły, były zapewne osiągalne innymi metodami. Jednakże cele czystek lśzały, by tak rzec, w naturalnej logice ustroju: chodziło, powtórzyć trzeba, o unicestwienie nie tylko tych lub owych potencjalnych rywali, ale o unicestwienie jedynego organizmu, w którym istniały - jakkolwiek słabe i niedośćężne - resztki lojalności innych, aniżeli względem państwa i wodza, mianowicie resztki wiary w ideologię komunistyczną jako układ odniesienia i obiekt kultu niezależny od wodza i aktualnych zarządzeń partii. Działaniem totalitarnego ustroju jest zniszczyć wszystkie formy życia zbiorowego, które nie są narzucone przez państwo i dokładnie przez nie kontrolowane; sprowadzenie osobników ludzkich do izolowanych wzajem narzędzi państwa. Zasadą ustroju jest, iż obywatel jest własnością państwa i że wobec tego nie wolno mu mieć innych lojalności, w szczególności również ideologicznych, choćby to była lojalność względem ideologii tegoż państwa". /Główne nurty..., t.III, s.91/ Właśnie. Tragedia polegała na tym, że państwo to miało być "państwem ludu pracującego miast i wsi".

Kołakowski ukazuje głębiej mechanizm funkcjonowania stalinowskiego terroru. Aby terror rozbroił człowieka z wszelkiej broni, musi go rozbroić duchowo, musi wszędzie stworzyć nieczyste sumienia: "Poczucie paraliżu było całkowite. A przy tym nikt nie mógł zaprzeczyć temu, że partia nadal działa według tych samych zasad, która zawsze obowiązywała. Wszyscy członkowie partii byli uczestnikami masowych gwałtów popełnionych uprzednio na bezpartyjnym społeczeństwie; w momencie, gdy sami stawali się ofiarami bezprawa, nie mieli niczego, do czego mogliby się odwołać: nikt z nich wszakże nie oburzał się na fabrykowane procesy i mordowanie ludzi, póki nie dotyczyło to działaczy par-

tyjnych, wszyscy zatem uznawali - aktywnie lub biernie - zasadę, welle której nie ma "zasadniczo" nic szkodliwego w sądowych mordach. Wszyscy też godzili się na to, że zwierzchność partyjna decyduje o tym, kto w danej chwili jest wrogiem klasowym, agentem imperialistów czy kółaków. Te same reguły gry, jakie zaakceptowali, teraz gniotły ich samych. Nie pozostało przeto żadne oparcie moralne, które by podtrzymywać mogło wolę oporu". /Dz. cyt., t.III, s. 92-93/.

Tenostatni moment jest szczególnie godny uwagi. O wiele trudniej jest zrzucić błoto niż do błota nie wchodzić. Trud rzucania błota nie był obcy św. Augustynowi, który wyzwał się z manicheizmu. Miał swój manicheizm także Kozakowski.

System miał w sobie coś demonicznego. Demonizacja to zło obdarzone inteligencją. Celem działania owej inteligencji było: niechaj wszyscy mają udział w organizowaniu przemocy: "chcisz o to - jak we wszystkim myśleniu magicznym - że każda rzecz, z którą styczność się miała do czynienia, jest tym samym nieodwołalnie skażona i powinna być nie tylko usunięta na śmietnik, ale także zapomniana; tak to, obywatele socywiscy mieli prawo pamiętać nazwiska niektórych szrajców, wymienionych w "Krótkim kursie" i wymienić je, ale nieodmiennie w kontekście rytualnych formuł potępiających; co do innych nazwisk diabelskich, miały one być po prostu zapomniane i nikt nie odważył się ich wymienić". /Dz.cyt., t.III, s. 101/. I dalej: "...w rozmowach prywatnych ludzie byli obowiązani powtarzać groteskowe kłamstwa o świecie, swoim państwie o/samych, zarazem jednak powinni byli utrzymywać miłozącą pamięć o pewnych realnych stronach sowieckiej rzeczywistości, a to nie tylko dlatego, by żyli nieustannie na odpowiednim poziomie strachu, ale również dlatego, że powtarzając raz po raz urzędowe kłamstwa i wiadcząc, że są kłamstwami, wszyscy obywatela stawali się współnikami partii i państwa w kłamstwie". /Dz. cyt., t.III, s. 102/.

Stalinizm - mógłby ktoś powiedzieć - był tylko epizodem w dziejach marksizmu. Czy można na jego podstawie wyrekwować o całości? Kozakowski twierdzi, że stalinizm wcale nie był epizodem, lecz zwiędzeniem tkwiącym w marksizmie możliwości. Dlatego nie tylko można, ale i trzeba, Trzeba, bo marksizm dostarczył stalinizmowi spójnego uzasadnienia. Trzeba, bo sytuacja stalinizmu powtórzyła się w innych krajach i nadal się powtarza. Trzeba, bo intelektualna opozycja przeciwko stalinizmowi musiała sięgnąć do innych, pozamarksistowskich źródeł. Tak więc sens drugiego podstawowego zarzutu przeciwko marksizmowi streszcza się w tym jednym: marksizm stał się filozofią i ideologią usprawiedliwiająca pospolite okrucieństwo człowieka wobec człowieka.

Nie mogą dotykać tutaj innych wątków filozofii Leszka Kołakowskiego. Jest ich tak wiele i są tak rozmaite, że potrzeba na to odrębnej książki. Jeden sprawa wydaje mi się jednak szczególnie ważna - pytanie: co pozostanie w naszej kulturze po całej przygodzie z marksizmem? Kołakowski twierdzi: a i o. wszystko przecieka nam przez palce. Pisze: "Marksizm był największą fantazją naszego stulecia". /Dz. cyt., t.III, s. 521/. Zaraz potem dodaje: "Powiedzenie, że marksizm był fantazją, nie oznacza, że był tylko fantazją. Trzeba odróżnić marksizm jako interpretację historii minionej od marksizmu jako ideologii politycznej. Nikt rozsądny nie zaprzecza temu, że tak zwany materializm historyczny był istotnym przyczynkiem do naszej historii intelektualnej i wzbogacił znacząco nasze myślenie o historii minionej. Była mowa o tym, że teoria ta, ujęta w wersji rygorystycznej, jest nonsensem, ujęta zaś w wersji rozważnionej - jest banałem, że jednak stała się banałem głównie dzięki Marksowi". /Dz.cyt., t.III, s.521-522/. Masa spadkowa istotnie niewielka. Na twierdzenie, że nie samym chlebem żyje człowiek, Marks odpowiada, że jednak w ostatecznym rozrachunku chlebem. Ale praktyka wykazuje, że racje są po obydwu stronach: są tacy, co żyją samym chlebem, i są tacy, co nie tylko chlebem. Wiedzano już o tym przed Marksem. Po co więc cały marksizm?

W tym miejscu postawię jednak mały znak zapytania.

Marksizm nie żył w Polsce w osamotnieniu, lecz w towarzystwie swego przeciwnika, jakim było chrześcijaństwo. To bardzo interesujące, w jaki sposób chrześcijaństwo umiało w przeszłości nie tylko pokonywać swych duchowych wrogów, ale także asymilować treści, które reprezentowali i które na pierwszy rzut oka wydawały mu się obce. Chrześcijaństwo wykazuje zdumiewającą zdolność asymilowania swych przeciwników. Widzieliśmy to w historii nie jeden raz. Co więcej, dopiero dzięki asymilacji przez chrześcijaństwo przeciwnego mu murtu myślowego czy przeciwnej religii, możemy dziś oszęto dowiedzieć się, czym ów murt był, jakie nieprzemijające wartości w sobie mieścił. Chrześcijaństwo nie tylko pokonywało, ale również oczyszczało się w walce a przede wszystkim pozwalało na to, by jego przeciwnik inspirował je twórczo od wewnątrz. Myślę, że kto chce zobaczyć, co pozostanie po marksizmie w naszej kulturze, winien dobrze się przyjrzeć chrześcijaństwu, które tęczy z nim spór, oczyszcza się w tym sporze i daje się inspirować jego wartościami. Dopiero poprzez pryzmat tego chrześcijaństwa będzie można zobaczyć to, co w marksizmie jest przemijające i to co jest w nim nieprzemijające. Dopóki się patrzy wyłącznie od środka, nie zobaczy się nic, oprócz ruchomych piasków.



Co widzimy, gdy patrzymy od zewnątrz? Przeglądając dokładnie encyklikę Papieża-Polaka "Redemptor hominis" natrafiamy w pewnym ważnym dla jej sensów miejscu znane skądinąd słowo "alienacja". Słowa tym Jan Paweł II określa istotę głównego zagrożenia współczesnego człowieka, polegającego na tym, że produkty ludzkich rąk zostają skierowane przeciwko człowiekowi. W podobny sposób opisywał naturę alienacji K.Marks. Bodaż po raz pierwszy jedno z istotnych pojęć klasyka współczesnego socjalizmu zawędrowało aż na karty papieskiej encykliki, aby z tej wysokości demaskować się współczesnego świata. Czy to nie nowy przejaw asymilacyjnych zdolności chrześcijaństwa? Czy nie wskazuje ono w jakiś pośredni sposób na to, co w marksizmie cenno i w jakimś sensie wciąż ważne? Czy nie zapowiada jakiejś kontynuacji?

Józef Tischner

## "MIAZGA" PO DZIESIĘCIU LATACH

On jest w książce Andrzejewskiego ową "miazgą"? Czy tkanka literacka, którą pisarz poddaje kunstwowym zabiegom, ale zdaje się traktować jako twór pozbawiony jakiegos naczelnego wewnętrznego porządku? Czy rzeczywistość naszego życia uznana za zreszt powstałą z ponieszenia pojęć, przemocy, przypadku, nieprawdy i niezdrową dla jednostki i dla zbiorowości społecznej? Czywiście jedno i drugie jest miazgą, bo więcej taki właśnie świat razem z odpowiednim swoim portretem jakby na miazgę się składał. Skoro żyjemy wśród miazgi i stanowią jej cząstki, opis takiego bytowania musi być miazgowaty: tu dany pisarz do strukturalnego zjednoczenia treści z formą, a ponieważ czyni to z uporem wirtuosa popada w niebezpieczeństwo literackiej tautologii. Miazgowatość opowiadania jakby uprzedza widzenie świata jako miazgi, osłabia siłę i precyzję odkrycia tego słowa jako wielkiego pojęcia-metafory.

Miazgowacieje spojrzenie pisarza i mało w tym dziwnego, bo jego stosunek do miazgi nie ogranicza się przecież do jej demaskacji i kompromitacji. On również porusza się w niej i żywi się nią w końcu. Poszukując od sprawy miazgi jako formy, którym to problemem sam się przejawia. Oprowadza więc czytelnika po swoim warsztacie i pokazuje niejedną sztukę. Jak można sobie postępować z fabułą, jak się przybiera postaci i kombinuje sytuacje. Kiedy w trakcie pracy zmienia jej plan - bynajmniej tego nie kryje, bo, z nieukrywaną przyjemnością re-lacjonuje cały proceder. Ale satysfakcja z poszukiwania miazgi jest treścią masochistyczna, bo przecież sam sobie ogranicza pisarz siłę iluzji, prądo do wyposażania w pełne życie powieściowych bohaterów. I jeżeli ses po ras jawnie czyni ich przedmiotem manipulacji, trudno abyśy im nagle, kiedy mają być na serio, uwierzyli.

Pisarz dokonuje pół-samobójstwa literackiego. Opisuje miazgę na własnym przykładzie i na własny koszt. W każdym razie najbardziej przekonujące wydają się te fragmenty, w których Andrzejewski rezygnuje z demonstrowania nieograniczonych możliwości kreacyjnych. Nadmiar owych możliwości w praktyce oznacza często brak pełnego przekonania do którejkolwiek z nich - kiedy przez jakiś czas decyduje się na pewną konwencję, na określoną rzeczywistość. A więc na własny dziennik, czy na większe całości powieściowe nie rozbijane komentarzem, nie ujawiane w nawias i odużytków. Do takich całości należą opowia-

ianin" Adama Nagórskiego, głównego bohatera, pisarza, którego wiele łączą z Jaruzym Andrzejewskim: osobliwe powieści w powieści, chwył analogiczny do teatru w teatrze. Andrzejewski-Nagórski prostymi środkami wspaniale pokazuje dramatyczną sytuację człowieka, który chciałby zachować godność wobec przemożnej rzeczywistości. Tu dygresja: być może "Noc", zbiór opowiadań okupacyjnych, okaże się z czasem najważniejszą dziełem Andrzejewskiego.

Podjęcie ryzyka "Miazgi", ryzyka eksperymentowania na własnym utworze, poddawania go kontrolnym wątyliwociom sprawia, iż nasy tu do czytania z problemem o wiele poważniejszym niż błyskotliwe kuglarackie popisły. Miazga powieściowa i miazga realnej rzeczywistości dotyczą się, przenikają, rozmatują sposobami. Przede wszystkim dziennik pisarza pełen jest szkiców, fragmentów, konspktów, samiarów i zamiechał "Miazgi". Dziennik często płynie, niedostrzegalnie w "Miazgę" przechodzi, te znów dla odmiany fikcja stopniowo ustępuje pola bliskiemu sobie realnemu światu dziennika. Poza tym każda właściwie postać powieściowa zdaje się posiadać swój rzeczywisty odpowiednik wśród PRL-owskiej elity przełomu lat siedemdziesiątych. Przy tej okazji zresztą nie obywa się bez gier argencnościowych. Kłody podobieństwo między kreacją a jej wysocę prawdopodobnym domniemanym modelem wydaje się niechybne, wtedy nagle okazuje się, że się ani razu nie zgadza jakiś istotny element charakterystyki, że pewna powzecznie znana w towarzystwie anegdota została przypisana komuś innemu, kto wyglądał na wierny kontrakt jakiejś zupełnie innej sławnej czy osławionej realnej osoby. Zresztą osoby z "Miazgi" pchają się do dziennika i występują tam na prawach bliskich znajomych pisarza, ci ostatni z kolei interweniują w perypetie "Miazgi". Dochodzi nawet do pełnego poplątania rzeczywistości, kiedy we foyer Filharmonii Narodowej w Warszawie na koncercie dyrygowanym przez Andrzeja Markowskiego, spotykają się Jarosław Iwaszkiewicz, Adam Nagórski, Erik Wanert i Stefan Kisielewski.

"Miazga", która otacza szczerze dziennik pisarza, po której zakamarkach ów dziennik jest przewodnikiem, wydaje się z lekka tylko zdeformowanym obrazem życia górnych sfer naszego społeczeństwa przed 10 laty, mniej więcej w okolicach marca. Ludzie należący do owego świata bywają dziwaczniymi osobliwymi sposobami powiązani ze sobą. Nie trudno jednak zauważyć, że dzielią się na dwie wcale wyraźne kategorie. Z jednej strony artyści, intelektualisci, ludzie często gęsto skłabi, niemoralizowani czasem zepsuci zgoła, ale rzecz w tym, że im wolno, że oni mogą sobie na taki czy inny grzech pozwolić w przeciwieństwie do tych drugich, chamów bez wdzięku przy władzy, upolitycznionych mentalnie



prywatywów, cmytęrych ówaków - grupion ówaków a jeaccas do tego bazyd-  
kich, fizycznie niaciekawych. Pracefwiadosenia a celności tych epitetów  
-tanowi podstawa dla równowagi psychicznej, konformu moralnego niezgo-  
watyoh libeaków. Upozowani eekolwiek sa bywalców okopów św. Trójcy,  
arystokratycznie-dekadencio spoglądają na tantyoh: niezgowców zamordys-  
tów, pasernyoh i ordynarnyoh. I czują się ci piarwai, chyba głównie  
przez porównania, czynione w "Miazdze" nader chętnie /niby jakiś przy-  
jemny a pożyteczny zabieg higieniczny/ melancholijnymi nieco obrońcami  
wyższych wartości. Tylko, że denny poziom sđwersarzy stawia pod znakiem  
zapytania tych lepszyoh status umysłowy i moralny. Jak mogli bowiem Na-  
górnski czy Jackowski w niedalekiej przeszłości kolaborować z podchymni  
bydlakami? Jakakolwiek fascynacja, wyższa motywacja wydają się fizyco-  
nie niemożliwe. A więc co zostaje: strach i próżność jako jedyny motyw  
współpracy? Jak mogło wogóle dojść do tak nieprzyzwolityoh mezalianów?  
Czyżby przedeterminacja رژیم w tantyoh latach byli zupełnie inni, sto-  
kreć ciekawsi? "Miazga" odmawia odpowiedzi, czyni uniki, udaje że gwak-  
cienia formy powieściowej czy rozmowy chędnienia w salonie mogą być czymś  
naprawdę drastycznym, zamiast polityki.

Otóż istnienie w tonie "Miazgi" gatunków pośledniejszyoh maci kon-  
sekwencją pisarskiego samyżku. To, co wydawłoby się stanowić o istocie  
miazgi - brak początku i końca, przeszłości i przyszłości, pamięci i  
spojrzenia wprzód - zostało przez pisarsa rozdzielone według prywatnych  
sympatii i znajomości. W ten sposób obniża się ranga oskarżenia rzeczy-  
wistości, które bezkompromisowo, całą siłą talentu i rzemiosła chce wy-  
toczyć Andrzejewski. Gorsza miazga uwziósła, tłumaczy miazgę nieco  
lepszą, eprawia iż chyba jedynie wyjątkowo komuś zaliczającemu się do  
tej ostatniej mogłoby przyjść do głowy, że czemuś jeszcze innemu, prócz  
własnyoh talentów, zawdzięcza przynależność do FRL-owskiego salonu. Ta-  
ki ezkownik nie przyjmuje do wiadomości, że mógł równie, może mimo wo-  
li, nieświadomie oddać władzy jakiś usługi, przydać się do czegoś.  
Andrzejewskiego nie interesuje ten cały problem: ile świadomyoh koncep-  
cji, subtelnyoh uwikłań, prywatnyoh walk na przeszytrzenie składa się  
o wiele prościej. Są po prostu ludzie, którzy po salach pałacowyoh i  
alejkach parkowyoh w Jabłonie poruszają się w sposób naturalny, jakby  
się tam urodzili, oraz inni, których ehamstwo polityczne nieodłącznie  
związane jest z towarzyskim. Wz. epoco "Miazgi" tj. miazgi więcej między marcem a grudniem

To poczucie autentyzmu zbiorowości salonowej jest zresztą bardzo  
praktycznie pożyteczne: brak kompleksów czyni środowisko oporniejszym,  
trudniejszą do manipulowania. Tym bardziej, że władza sama nie ma jas-  
nego zdania co do własnego nastawienia wobec artystów: utrzymuje i

muszą, anebuje się i lokoowały na przeszłość. Stąd ich antyrealność, silne wewnętrzne przeświadczenie, że wymarzoną, zaszczytną dla tego państwa obowiązkiem jest dopłacać do każdego desera w domach pracy twórczej, do każdego kompotu w stołówce związkowej. "Miazga" epinuje do pewnego stopnia całą komplikację, ale jakby pomijając dwuznaczny posmak tej nierównej współzależności. A także całkiem serio wydaje się traktować megalomanię moralistyczną ludzi, którzy znajdując się w sytuacji specyficznej chętni są urządzić własne sprawy za ogromnie ważne, testowe dla całego społeczeństwa.

"Miazga" straciła 10 lat między Warszawą a Paryżem i dziś jest podobnie przestarzała. Opisuje świat przez 10 laty i w sposób, jaki 10 lat temu mógł wydawać się szczytem wyrafinowania. Tych 10 lat okazuje się odległością rażącą. Przez ten czas zbyt wiele rzeczy się zmieniło w samej literaturze: mniej tam zdołnictwa, kokieterii, skromniejszego przekonania o wyjątkowym przeznaczeniu i powołaniu pisarza. Wiele zdarzyło się spraw w Polsce i na świecie. Wystarczy zresztą porównać tę starą "Miazgę" z jakąś jej niewątpliwie współczesną kontynuacją, którą jest "Mała Apokalipsa". Tu już nie działają układy, pisarz wystawia rachunki precyzyjne, szczegółowe i ogólne. A przede wszystkim jego wizja jest uleczona z wygodnej pokusy miazgowatości. Zwłaszcza dlatego, że nakazuje sobie posługiwanie się pamięcią i rzeczywistością z pamięci kożysta: własnej i zbiorowej. Że zajmuje się tym, co jest głównym sensem pisania o pisarzach oraz ich znajomych: przedstawieniem sytuacji umysłów na różne sposoby zniewolonych w zniewolonej rzeczywistości. Plus próba przeciwstawienia się owej sytuacji: lecz by zjawił się ten motyw, trzeba było właśnie 10 lat między "Miazgą" a "Małą Apokalipsą".

Część "Miazgi" satytułowana "Intermedium czyli Życiorysy" alla Polacco" zawiera niespełna setkę życiorysów bohaterów "Miazgi" oraz ich bliskich, o których się w utworze wspomina. W ten sposób "Miazga" sięga na dobre kilkadziesiąt lat wstecz w historię najnowszą. Wszelako ten oryginalny pomysł pozostaje pomysłem formalnym, nie przywraca książce pełnej, krytycznej pamięci. Pozostaje pamięć skrócona, wybiórcza, a życiorysy obliczone są głównie na pokazanie dziwności polskich losów, ich rozproszenia w czasie i przestrzeni. Co więcej, owe cofnięcie się jeszcze umacnia zasadniczo podział na ludzi z i spoza towarzysztwa, w "Miazdze" stosowany. Los, historia, rzeka ludzi tu i ówizie, ale w nich samych nie dzieje się nic szczególnie drastycznego. Gnębi ich bowiem rzeczywistość za wszystkie odpowiedzialna. W wypadku "Miazgi" odpowiedzialna również za główny węzeł fabularny, jakim jest skandal w sferach teatralnych, polegający na odebraniu pewnej artystce roli lady Macbeth i powierzenia tej roli artystce innej. Skoro rzeczy-



właściw jest wiara wszytkiemu, to również w JERICHO mierze naprzykład swojszemu postępowaniu młodego pisarza Marka Kurasa, pięknego skandalisty-non-konformisty. Ale skoro jest wiara wszytkiemu to właściwie już nie ma konkretne i skądais Kurasa mimo brzydkich słów pozostają w dogmatycznej sferze idealnej. I chętnie oddałoby się te wszystkie rozumnejsze sbyczajowe z pednicającągo sarsze styku salena i półzwiątka na jedno słowo samobrzebnuka wypowiedziane przez dziesiątki postaci salniodających "Miazga".

Być może niesprawiedliwe jest czytanie "Miazgi" według oczekiwań i gustów roku 1980, ale przecież inaczej czytać nie sposób. Ta odległość 10 lat jest uroszłą Ystalia, że jak wspomniane wyżej - ogromna, a jednocześnie zbyt mała, by znowu przyjmować jako zapis pewnej mentalności, swoisty dokument literacki. Takim dokumentem jest natomiast dziennik towarzyszący "Miazga", ale w nim również brak tego co byłoby najciekawsze, prawdziwie dramatyczne: samozanyslenia się autora nad własnym życiem i twórczością. Jest w dzienniku miejsce na prognozy pogody i komunikaty o stanie zdrowia, lecz nigdzie, podczas lektur, rozmów, spacerów, pomimo nieustającej wibracji smutonia, przyrodzonej awersji do zakłamania, nie znajdują się pytania zwrócone do siebie. Po jednego z estezów behawersu - prototypów "Zniewolonego umysłu", bądź co bądź. Aby pokazać z antypacji jak to się stało, że pozwolił się zniewolić umysł tak wydawałoby się, wyposażony w odpowiednie przeciwciała. Aby zabrać głos u sprawach, które były, są i będą aktualne.

Wydawałoby się, że kto jak kto, ale Jerzy Andrzejewski mógłby sobie w tej kwestii wycaż na wiele pozwolić. Jego przykład jest przecież budzący, Dowodzi, że prawdziwy pisarz nigdy nie pozwala się zniewolić beznadziejnie, nieodwracalnie. że samikowanie do wolnościowych wygód duchowych sprzyja rewizji własnych poglądów, tyle że musiałby wówczas one przezycięzione poglądy opisać. Wiga, wydawałoby się, w tym przypadku dotknięcie, choćby takiej intymnej struny, niewiele kosztuje. A jednak widocznie kosztuje, skoro nie pada ani jedno takie słowo. Wydawałoby się, że Andrzejewski właśnie, szczególniej byłby powołany aby dać świadectwo swojej prawdzie, wytkumaczyć się przed samym sobą, a jednak tego nie czyni, nie czuje takiej potrzeby. Być może z powodu swojej duszy, na którą się powołuje w jednym z dziennikowych zapisów, sprawa użyteczności publicznej takiego świadectwa, na którym dałoby się prześledzić jak się umysł niewoli i jak wolność odzyskuje, nie wydaje mu się godna poświęcenia. Tymczasem, w staromodnym kamflażu literackim układnym z trywialności i subtelności, w niechęci do mówienia wprost, do zaratania się na jakąkolwiek osobistą niewygodę, "Miazga" i jej dziennik wyćwinnie przegrywają swoją szesnę, aby stać się dziełem życia



starego niestrza. Unika niewygody, przyznania, że fakt, iż dzieje się źle wcale nie oznacza, że dawniej było lepiej. że, po carskiejjajaku i liberalnie rzecz traktując, dzisiejsi grzesznicy nie są tacy satysfakcyjni a ośmielwcy tacy już niebiescy, bo ci pierusi zawsze mogą wrócić na poręczną drogę, a ci ostatni obsunąć się nieładnie. Wspomnijmy tu, jeszcze wielkich Rosjan: jak wspaniałą uwierzytelnia Sołżenicyn cały swój "Gulag" krótką sceną, w której wspomina, że kiedyś na froncie sam się okazał pomocą człowiekowi w rękach oprawców, że korzystał bez refleksji z praw swojej klasy oficerskiej. Albo Nadieżda Mandelestan: twierdzi że oboje z mężem korzystali do pewnego czasu ze szczególnej pozycji. I wtedy dopiero wstrząsającej wymowy nabiera fakt czyja się to uprzywilejowanie skończyło. Zapewne Andrzejewski podobnie jak przytaczająca większość spośród nas nie może się równać w doświadczeniu historycznym z braćmi Moskalami. Tym lepiej ponad wszelką wątpliwość, dla nas samych. Tym gorzej, być może, dla naszej literatury.

TK

## WSPOMNIENIA

Takst, którego pierwszy fragment tutaj drukujemy jest zapisem magnetofonowym wspomnień Józefa Czapskiego.

Nie często przydarza się biografia podobna biografii Czapskiego, nie często bywa równie żywa, rozumująca uczestnicząca świadomości w najtrudniejszych i bolesnych wydarzeniach współczesnej historii. Zarówno pracę malarzką jak i wydarzenia życia Czapskiego-przenika niezmiernie czujność intelektualna. Malarza popycha do skrupulatnego a przecież żarliwego rozważania stosunków koloru i bryk, a zarazem do refleksji teoretycznych na temat sztuki. Człowieka o niezmiernie wyostrzonym zmysle moralnego udziału, ta sama intelektualna czujność uczyniła pisarzem, który we wstrząsających wspomnieniach dał świadectwo brutalnej prawdzie swojego czasu.

Józef Czapski urodził się w 1896 r. jako jedno z siedmiorga dzieci arystokratycznej rodziny Kütten-Czapskich. Dzieciństwo spędził w Przyłukach koło Mińska. Mając 13 lat wyjechał z bratem Stanisławem i z nauczycielem do Petersburga, gdzie zrobił maturę i rozpoczął studia prawnicze.

Wzruszony pacyfistycznymi ideami Tokstojaja, wbrew własnym chęciom wstąpił do Korpusu Paziów zamienionym później, już po wybuchu rewolucji, na przyspieszony kurs oficerski. Kiedy zaczęły się grupować pułki polskie, zgłosił się do 1-go Pułku Ułanów Krechowieckich stacjonującego w Mińsku. Jednak rozdarcie moralne, o jakie przyprawiała wyznawcę tokstojowskiej zasady nie sprzeciwiania się zła czynna służba wojskowa, było zbyt dotkliwie; Czapski wraz z dwoma braćmi Marylskimi, Antonim i Edwardem, opuścił pułk, by w przeddzień ofensywy niemieckiej udać się do Petersburga. Tam, z przybyłymi wkrótce siostrami, Marią i Karłą, zakładają "falanster" o na pozór utopijno-społeczny, na pozór religijny charakterze.

W 1917 r. grupa rozproszyła się. Józef Czapski wraz z siostrą Marią znaleźli się w Warszawie. Znamienne, że jedna z najpilniejszych spraw wydawało im się wówczas odzyskanie i poznania Janusza Korczaka, autora książek, która zrobiły na nich głębokie wrażenie.

W pierwszych miesiącach niepodległości Czapski zapisuje się na Akademię Sztuk Pięknych, ale już w listopadzie 1918 r. otrzymuje, na własną prośbę, misję odszukania zaginionych w Rosji oficerów I-go Pułku Krechowieckiego. /Ironicznym powtórzeniem tej misji, w ogromniejszej skali, stało się poszukiwanie w 1942 r. "niewozwraszczonych wojennopленных" w roli delegata Sztabu Armii Polskiej gen. Andersa/. Po najrozmaitszych zabiągach dociera do Stasowej i uzyskuje jej pomoc. Wraca z wiadomością o rozstrzelaniu poszukiwanych. Ale wraca też z nowym doświadczeniem intelektualnym, o jakie wzbogaciła go znajomość z Merszkowskim, do którego zwrócił się z prośbą o rozstrzygnięcie swego dylematu: sprzeczności między tekstojową postawą pacyfistyczną a moralnym nakazem uczestnictwa w historycznych wypadkach. Na pytanie: "Jak połączyć Ewangelię i gwałt wojny?" otrzymał odpowiedź: "Pan nie jest sam /.../, należał pan do historii, do dziejów świata. Ludzkie o coś się biją, o coś walczą, popekniają grzech, niech pan przyjmie też na siebie ten grzech i razem walczy o lepszy świat, w którym nie będzie zabijania".

Niebawem przyjdzie Czapskiemu tę naukę moralną urzeczywietnić: w niespełna dwa lata później weźmie udział w kampanii 1920 r., służąc w pociągu pancernym na froncie północno-wschodnim, a później w I-ym Pułku Ułanów Krechowieckich. Odznaczony zostaje "Virtuti Militari" i otrzymuje stopień podporucznika.

W 1921 r. zostaje studentem krakowskiej ASP, jedną z uczniów Józefa Pankiewicza, którzy utworzą grupę malarską znaną pod nazwą kapiistów. Młodzi malarze pozostający pod wpływem profesora opowiadają się zdecydowanie za autonomią malarskich środków, za kolorem jako jedynym elementem konstytuującym przestrzeń, ewokującym światło w obrazie. Od początku uczniowie Pankiewicza czerpią inspirację z metody Cézanne'a kształtowania bryły przy pomocy plamy barwnej.

W 1923 r. młodzi zawiązują pod patronatem profesora t.zw. Komitet Paryski i całą grupą wyjeżdżają na dalsze studia do Paryża. Józefowi Czapskiemu, jedynemu swobodnie władającemu językiem francuskim, przypada rola organizatora. Wypełnia ją z właściwą sobie żarliwością. Ta sama żarliwość cechuje jego coraz liczniejsze artykuły. Gdy po powrocie do kraju w r. 1931 kapiści objęli redakcję ukazującego się w Krakowie "Głosu Plastyków", Józef Czapski za-



12  
mieszana z nim artykuły krytyczne i programowe. W r. 1936 wyjechał książką o Józefie Rankiewiczu. Równocześnie intensywnie maluje, zajmując w malarskim klimacie kapiatów miejsce cokolwiek odosobnione; w przeciwieństwie do bardziej ortodoksyjnych kolegów operuje układami ciężkich, nasyconych mas barwnych, między którymi cięży miloszące napięcie, jakis wtajemny dramatyzm, nie znany na ogół kapiatowskiemu malarstwu.

1 września 1939 r. Czapski jako oficer rezerwy opuścił Warszawę spiesząc do Krakowa, do bazy 8-go Pułku Ułanów, z którym podaje na wachód. W trzy tygodnie później zostaje w Chmielku, na granicy województwa lwowskiego, wzięty do niewoli radzieckiej wraz z dwoma sawadronami rezerwowymi 8-mego pułku i przetransportowany do obozu w Starobielsku, później do Fawliszczew Boku, w końcu do Gruzowca.

Po ataku Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 r. i po podpisaniu układu wojskowego między rządem radzieckim i polskim, Czapski wraz z grupą wapóltowarzyony z ostatniego obozu zostaje zwolniony i wstępuje do formującej się w Zocku Armii Polskiej. Od samego początku rozpoczyna akcję poszukiwania zaginionych oficerów z obozów w Starobielsku, Kozielecku i Ostaszkwie, poszukiwań tragicznie nie udanych, które zakończyć się mają znaczenie później wraz z wykryciem przemy o mordzie katyńskim. Daleje swojej działalności w Armii, najpierw opiekując się wobec rzeszy polskich żołnierzy świeżo wypuszczonych z obozów jenieckich, później owych poszukiwań z kamienia Ambasady Polskiej w Kujbyszowie, wracając do pracy przy Sztabie Armii jako Szefa Wydziału Propagandy i Informacji, opisał Czapski w dwóch książkach: we "Wspomnieniach Starobielskich" /Rzym 1945/ i "Na nieludzkiej ziemi" /Paryż 1949/.

W 1945 r. Czapski osiedla się na stałe w Waryżu. Jest jednym z założycieli "Kultury", współpracuje z czasopismami francuskimi. Wiele pisze; wypowiada się na tematy sztuki, spraw politycznych, religii. W 1960 r. wydaje zbiór esejów "Oko". Jest zawsze pisarzem wewnątrznej, rzetelnej prawdy, pisarzem sumienia.

Biografia Czapskiego rozsiana po paru książkach, niezliczonych opublikowanych wywiadach z dzienników, teraz zaś opowiedziana fragmentami przed taśmą magnetofonową, stanowi dla uważnego czytelnika lekturę przejmującą; odkrywa się w

niej bowiem narazem biografie świadomości, koleje myśli bardzo rozumiejącej i bardzo po ludzku wrażliwej.

Tekst poniższy nosi widoczne cechy relacji mówionej. Nie wydawało się stosowne zacieranie właściwej Czapskiemu kadencji zdania, akładni, nawet pewnych powtórzeń, nieuniknionych w toku parokrotnie podejmowanej opowieści. Opowieść ta ma zresztą przemyślaną, nie od razu ujawniającą się konstrukcję. Ten powolnie wyłaniający się porządek, specyficzny rytm, jakiś doświadczalny w tekście timbre głosu starał się, czyniąc konieczne tylko skróty i drobne językowe sstuzas, zachować. Świadomie zatarta została tylko forma wywiadu, wyeliminowane pytania i odpowiedzi z wyraźnym adresem do interlokutora.

JP

... Świat jest pełen teraz pamiętników, wszyscy piszą, wszyscy uważają, że to jest bardzo ważne. Może jest tu wielka przesada. W XIX wieku prawie nie mamy Polaków dzienników. Gdzie masz Maine de Biran, gdzie masz Amiel, gdzie masz Benjamina Constant, gdzie masz Rozanowa, to są wszystkie dzienniki... Mam wrażenie, że Polacy wcale nie są cnotliwsi od Rosjan, są bardziej zatępieni, mają bardziej dwutorowe myślenie. Biedny Przybyszewski czegoś próbował i urwało się. U Rosjan to wszystko się jakoś łączy i miecza. U Polaków jest przyzwyczajenie, tak samo historia nasza jest przyzwyczajona, ale czy rzeczywiście taka była przyzwyczajona, to nie mam pewności.

Pod tym względem dziennik jest interesujący, to jest jeszcze dość rzadką formą w Polsce. A to jest moja pasja, journal intime; ciągle czytam jakieś journales i trochę o tym chcę powiedzieć. Potem o zagadnieniu pamięci. Do jakiego stopnia swojej własnej pamięci można ufać. Te wspomnienia chciałbym osnuć wokół kilku ludzi, którzy na mnie działali. Nie będę mówił o dzieciństwie, bo już o nim pisałem. Nie miałem szczęśliwego dzieciństwa i nie wracam do niego. A jeżeli chodzi o przebudzenie intelektualne, które było szalenie późne - to jest Korczak, Żeromski - to być najwcześniej, i Krasiniński; - taką ciotkę miałem, Rejtanównę z domu i ona odkryła mi Krasinińskiego "Rzeczywistość



się ponowił w ówczesnym przesileniu „idealnym”. Ale wtedy wyjechałem i zasadniczy wpływ zadawał się od Rosji. To był przede wszystkim Tokstoj, który mi zaszczylił świat i Remain Rolland, który mi się wtedy szalenie podobał, a którego teraz uważam za pisarza zupełnie drugorzędnego. Potem dopiero odkrycia Polaki było w 19-tym roku, kiedy już miałem 23 lata. Kiedy u dentysty w Krakowie odkryłem „Legandę Młodej Polaki” i nagle poczułem, że jestem Żłakiem, do szpiku kości się poczułem Polakiem. Dlaczego? Właśnie w tym urąganiu na Polskę. Bo właśnie korciło w Polsce to, że mogę krytykować wszystko, będąc przeciw Polakom. Jeżeli chodzi o ludzi, o których bym chciał w związku z tym mówić, to Zdzisław Chładowski zrobił na nas wielkie wrażenie i do końca życia go śledziłem, z ogromnymi lukami, bo miałem ten typowy sposób myślenia normalnych młodych ludzi /a właściwie nie byłem normalnym młodym człowiekiem/: „ten ważny, ten nie ważny”. Od młodości pisałem bardzo dużo dzienników, od jakiegoś dwudziestego któregoś roku aż do trzydziestego dziewiątego i miałem już dobry stos i to wszystko zginęło w 1939 r. Zostałem tu w domu pod Józefowem, mieszkając w takiej małej willi i właścicielka tego domu, bardzo uprzejma i miła kobieta, zwała to wszystko na jakiś wózek i zaczęła wiać na Wschód, żeby uratować. A na tym Wschodzie się wszystko zgubiło i koniec. I bardzo dziwne, że mając obrazy, które wtedy malowałem, bo byłem w pełnym rozpędzie, więcej mi żał było dzienników. Obrazy uważałem zawsze za jeszcze nic nie warte, że później będą lepsze, że później będę mógł malować, ale nie wiem dlaczego tak mi o te dzienniki chodziło. Mnie i dzisiaj o te dzienniki szalenie chodzi, chociaż mam wrażenia, że są nie do czytania dla innych. Dlatego, że mam czytam. Są tam całe moje lektury, są polemiki na tle pewnych lektur. Wystarczy mi jakikolwiek stworzyć kajetki kiedy na przykład idzie mi trudno malarstwo, to otwieram równo 2 lata - 3 lata temu, i widzę moje ówczesne trudności, ówczesne reakcje i cytaty i książki, które czytałem i to zawsze pomaga. Tak że dla mnie osobliwie to jest ważne. Skończyłem się jednak na tym, że jest tych kajetów teraz dużo, ponad 150, zdaje się, czy 130, już nawet ich wykorzystać nie mogę, bo nie bardzo trafiam do tego, do czego bym chciał trafić. Chciałem teraz opisać pewne epoki, właśnie te apoki, o których chciałbym teraz opowiedzieć, bo są naprawdę ważne - to są okruchy, ale sączą się o wypadki, które nas wszystkich łączą i ludzi których znam i t.d. Ale to wymaga pisania, wnikania, pogłębiania. Jak piszę, to przeważnie pierwszy tekst jest zupełnie pyłki, muszę go przepisywać, jeszcze raz przepisywać. Frapuje mnie, że jedne teksty, które mi się wydają dobre, tak strząśnięte, to są te, które piszę w dziennikach właśnie, bo piszę dla siebie. /.../



Niektóre cytaty są dla mnie jak słote gwóźdźcie, które mnie trzymają w życiu, naprawdę. "Nie stołeczka nietękalność, ale przesadylenie ran odczutych" - to jest w śmiertelnym notatniku Brzozowskiego. Ilustracja to do mnie wraca i takich cytatów mam porządnych parę tuzinów. Ektos mi kiedyś powiedział, że dziennik to jest la bibliothèque des papiers; nie stać cię na wszystkie książki, wyciągasz z nich sok. Mase już napisałem takich, niby przygotowanych wyrwanych stron. Ale mi to obrzydło. Obrzydło, dlaczego? Bo jak zazwyczaj przepisywałem moje dzienniki, z poprawkami zawsze, czy językowymi, czy z dobraćiami jakimiś, naraz podczas pisania myślałem - no dobrze, teraz to będę drukował i już wtedy nie pisałem. To co Gide powiedział: "Mój dziennik c'est un ami indiscret". Od tej chwili, kiedy on zaczął w "Nouvelle Revue Française" swoje dzienniki drukować - to ja uważałem za antydziennik. Bo dziennik Gide'a był bardzo komponowany. On go pisał z zapamiętaniem. To jest też forma dziennika, ale inne są założenia. W pewnym momencie to wszystko rzuciłem /nawet nie bardzo dobrze wiem, gdzie są te teki z pisanymi tekstami/ bo zorientowałem się, że jest za późno. Że naprawdę jest już jakaś powódź pamięci do tego stopnia, że już swojej pamięci nie ufam. A bardzo jej ufałem, bo miałem bardzo dobrą pamięć. Znowu będę przeskakiwał do malarstwa, bo to są przykłady bardzo zabawne. Zawsze Jean Collin ze mnie się śmiał jak mówiłem, że nie mam imagina-cji, zupełnie. Że maluję dokładnie to, co widziałem i nic więcej. Zawsze szedł na te same miejsca i zawsze mi mówił, że są zupełnie inne. "Nie zwracaj mi głowy, jakąś imaginację prawdopodobnie masz". Niedawno zdarzyła mi się rzecz zupełnie dziwna. Chodziłem do biura, z którego wysyłałem obrazy moje do Londynu. Widać było czubki głów tych, co pisali tam na maszynie przed tą ladą gdzie się staje, i boazerie. Boazerie takie zwyczajne, drewniane. I czubki tych głów na tej boazerii bardzo mi się spodobały, narysowałem takich parę rysunków, które mam tu w kajecie, które sobie wkleiłem i myślałem, że zrobię z tego obraz. Wyjechałem do Londynu, wracam, biorę wielkie płótno, z wielkim zamachem i pasją to zrobiłem; właśnie mnie ta zieloność boazerii tłumaczyła wszystko, polubiłem tę boazerię i ją tak malowałem. Wracam po trzech czy dwóch miesiącach do biura i widzę, że boazeria jest szara. Więc idę specjalnie do jednego takiego najważniejszego i mówię: proszę pana, dlaczegoście przemalowali, przecież ta boazeria była zielona. A ten mi odpowiada: ona nigdy zielona nie była. Ja bym przysięgł, że była zielona. Kończy się na tym, że i wspominają mogą takie pomyłki zrobić. I tu bardzo zrecznie Goethe nazwał "Dichtung und Wahrheit" - poezja i prawda. Mnie się wydaje, że jeżeli się opowiada, to przede wszystkim należy być wiernym temu swojemu wspomnieniu. Można korygować, ale

nie robił amercikan witas.

A więc wracam, o którym najmniej pisałem dla wielu względów, a które może być interesujący, to ten, kiedy się przeżyłem pewnymi rzeczami poprzez literaturę. Trafiliem do Petersburga, przeżyłem te lata właściwie nieorientujący się w niczym przez długi czas, bo wszystko jedynie przez książki do mnie przychodziło i takim zastąpił mnie rewolucja, kiedy ten kochał swoich pokonać. I te przeżycia są związane z trzema podrózkami do Rosji, to pierwszy, pierwsza podróż - wiąże się że w 1909 r., kiedy wyjechałem do Rosji na studia w 12-tych gimnazjum i byłem do nauki. Z Petersburga wracaliśmy znowu na lato i na wszystkie święta. Właściwie byliśmy zupełnie w odosobnieniu, bez kontaktu głębszego z Rosją, jeżeli to książkowy. Potem był Korpus Faziów, wstąpienie do wojska i przeżycie pierwszej rewolucji aż do września w Rosji, gdzie ten Korpus Faziów już się zmienił w przyspieszony kurs oficerski. Ja wstąpiłem miesiąc czy dwa miesiące przed rewolucją. Ojciec robił co mógł, żebym ja nie szedł do wojska. Myślałem o wojnie przetrzasy, bo uważałem, że muchy nie wolno zabijać. Byłem wok na uniwersytecie, na prawie, niezago się tam nie nauczyłem, egzamina jakichś miałem i potem wstąpiłem do Korpusu. Zupełnie byłem przekonany, że ja nigdy do wojska nie pójdę, bo miałem bardzo słabą płuc i wystarczyło, żebym bez kalesy wyszedł, i miałem zapalenie płuc, więc byłem pewien, że zaraz zachoruję tymczasem nie tylko nie zachorowałem, ale zupełnie wyzdrowiałem. Deszczownie tak było. To był drugi okres. Potem wojsko, pułk Kreczowiecki, parę miesięcy. I moje wystąpienie z Kreczowieckiego pułku. Wtedy wyjechałem, potężny i silny, zdolny zbawić świat razem z matką Marylakia i z jego bratem, z moimi dwiema siostrami, zakończyliśmy falenster w Petersburgu, który świat miał nawrócić, sprawić, że wojen nie będzie i wszyscy się zbratają. To przekonanie nasze ówczesne, warto się nad tym zastanowić, bo mnie się wydaje, że dziś to jest beznadziejne. Ale wtedy to nie istniało, w Polsce w każdym razie. W Rosji już to było. Naturalnie to są wszystko bolszewickie wpływy. No i to jest ta nasza podróż, która znowu się kończy dość dzieciinnie, bośmy nigdzie nie dotarli, tyle żeśmy wystąpili z wojska, żeśmy byli dezertkami. I potem powrót do Warszawy, gdzie ciągle jestem w okropnym pesymizmie kompromisu. Słowo kompromis było najbardziej zniechęcającym słowem z nas; dzisiaj jestem wielkim stronnikiem kompromisów, bo bez tego w ogóle życia nie ma. I wszystko było dla mnie kompromisem, bo wszystko było z punktu widzenia chrześcijańskiego egoizmu itd. I wtedy wyjechałem znowu do Rosji, dwa czy trzy dni po przyjeździe Pilsudskiego z Magdeburga, a przedtem, detarżysy do mojego pułku, proszę, żeby mi dane jakakolwiek robotę. Wtedy już wojowali, oczekali Polski.



Ja się sam zapalałem, a jednocześnie nie nie mogłem robić, bo wszystko było przeciwno zasadzie nie sprzeciwiania się słu. Prosiłem, żeby mi dali jakieś zadanie, że każde zadanie będę próbował wykonać, byle bez broni. I wtedy, co uważam za fenomenalne, że dowódca ówczesny pułku, płk. Dziewicki powiedział: - "proszę pana jak się naradzę z moimi kolegami" i dano mi dwanaście tysięcy rubli, to duża suma jeszcze wtedy była i powiedziano: "jedź do Rosji i szukaj naszych kolegów, którzy są w więzieniach". Naturalnie, z entuzjazmem na te posiedzenie i to był ten trzeci wyjazd do Petersburga, ostatni, dla mnie szalenie znaczący, bo wtedy się zetknąłem - choć bardzo powierzchownie - z bolszewikami bardzo wybitnymi, ale przede wszystkim z Mareszkowskiimi, a przez Mareszkowskich z Filozofowem. Przez nich odkryłem Dostojewskiego, Rozanowa, Fietakachę. I Mareszkowski wskazał mi do jakiego stopnia była filozofia Tełstoja jest, po jakichś prostackich, eksterminacyjnych i nie żywej i nie chrześcijańskiej. Tak że mi się wydaje, że te trzy epoki warto by było opowiedzieć. Chciałbym teraz moje pierwsze wspomnienia literackie i wspomnienia związane z budzeniem się sumienia społecznego i narodowego związać z tymi ludźmi, którym te przeżył świadzięczam. Trzeba by wtedy mówić o profesorze Marianie Zdzisłowskiim i o Korozaku, koczynian od Korozaka. Była taka książka, której, zdaje się, dzisiaj już nikt nie zna w Polsce, która się nazywała "Dziecko salonu". To wielką sensację wtedy zrobiło w Polsce. Była to historia chłopca z bogatego domu, który zamawiał nędzę. I od tej chwili nie mógł wytrzymać w swoim salonie i zaczął schodzić do coraz bardziej nędznych ludzi, coraz niższych środowisk. Dawał im lekcje, dawał lekcje ich dzieciom, zerwał z domem. Jeszcze teraz pamiętam, po tylu, tylu latach, że jak tylko trafiał do kolejnego środowiska, to mu się zdawało, że było ono bardzo bogate w porównaniu do jeszcze biedniejszych. I tak schodził stopień po stopniu coraz niżej. A kończy się to właściwie dość dekadensko. Nagle on widzi okna i w każdym oknie ludzie niesszczęśliwi, przez każde okno oskowiak patrzy i marzy o szczęściu. A nawet było straszne słowo, bo w jednym miejscu było powiedziane słowo: dupa, zdaje się. To było potworne. Wiem, że administrator naszego majątku przyniósł tę książkę naszej nauczycielce i zakleił tę stronę, bo to było zbyt gorzkie. Ta książka zrobiła na nas bardzo wielkie wrażenie.

W 1915 roku zdecydowałem pojechać do Warszawy i odkryć, kto to jest Korozak. Napisał on jeszcze taką książkę świetną, która się nazywa "Koszekki opałki". To były małe opowiadanka, które mi do dzisiaj w głowie stoją. Kpiła była tam ze wszystkich, ironiczna i zawsze myśli o człowieczeństwie, które jest ponad klasami i rasami i poza pieniędzmi,



Jechałem do Warszawy, gdzie nikogo prawie nie znam. Tylko Górskich. Biję Górską. U Zbieńskich spotkałem Biję Górską i zaraz powiedziałem z entuzjazmem o "Korczakach opałkach" i spytałem o autora. Odpowiedział z wielką pogardą, że to jest fałszywa literatura. Bardzo byłem zrażony tego rodzaju twierdzeniami. Dowiedziałem się, że Korczak jest żydem, że on nazywa się - zdaje się - Goldszmidt. Dopiero później z siostrą wybraliśmy się do niego już chyba w 19-tym roku. Siedział w pokoju ciemnym, białym, okna wychodziły na ciemne podwórze i jakiśś zaczął mi wyznawać naszą miłość, przyjął to jakoś obojętnie, niechętnie i powiedział: proszę pana, mnie te kawałki już zupełnie nie interesują. Bo ja teraz buduję dom dla najbardziej potrzebujących żydów, jeżeli chcecie mnie odwiedzić, odwiedźcie mój zakład. Widać było, że przez wojnę i przez wszystko co przeżył, już od tego czasu stał się wielkim społecznikiem i te wszystkie jęki dekadentkie były dla niego szczerą już miniona, błaha.

Drugi człowiek to był Marian Zdzichowski. Marian Zdzichowski był naszym sąsiadem. Za tych czasów to było bardzo daleko, zdaje się, 40 kilometrów. Bryczką się kupiło cały rano długo, żeby do niego dojechać. I mieszkając w takim typowym szlacheckim, sympatycznym dworku kresowym, był profesorem w Krakowie. Moja siostra chodziła na jego wykłady w 14-tym roku. Wykładał: "Romantyzm, pesymizm i podstawy chrześcijaństwa". I to było wielkie wrażenie Maryni. Jeszcze chyba przed wojną wybraliśmy się do Zdzichowskiego z siostrą. Zdecydowaliśmy, że musi nam w ogóle powiedzieć o co chodzi. Ja byłem już wtedy na plain w Tokstoju. Czy trzeba zaraz chłopcom rozdawać ziemię i jak trzeba tę ziemię rozdawać? Co zrobić, żeby nie walczyć? Właściwie patriotyzm, Polaka, to było już przeswycożone. Chodziło o ludzkość przez duże L. O idee Tokstojja, idea uniwersalne. Zdecydowaliśmy, że Zdzichowski wszystko wie, że rozstrzygnie wszystko. Jeszcze pamiętam w ogrodzie na ławce siedzieliśmy - pytałem o sprawę chłopską. I nagle zauważyłem, że ten mędrzec /dla mnie to znaczyło, że jak ktoś jest taki mądry to wszystko wie o co robić/ - szale nie się zakłopotał i w ogóle nie wiedział co nam odpowiedzieć. Powiedział: proszę pana, nie naturalnie, chłopci to bardzo ważne, to straszne warunki, ale pan rozumie, przecież obecność Polski na Kresach jest szalenie ważna, przecież majątków nie można rozdawać, bo to jest cała polska na Kresach. Co on gadał? Po co on do tego Tokstojja jeździł? Musiał być przeciwnikiem Tokstojja a nie jednocześnie wyznawcą Tokstojja. A przecież to było niezapomnianych parę dni. Bośmy tam ze dwa dni musieli siedzieć u niego. On nam, właściwie nie nam, mnie - odkrył Szowackiego. Jedyną co dotychczas pamiętam to jest jak on naprawdę, przy lampie naftowej, na takim zarośniętym winem tarasie czytał nam: "Kto ciebie nie czuje w naturze?" on glapissant. Naprawdę on akwoczek prawie. I ten wierz

jest dla mnie niezapomniany. I to właśnie się pocieszam, że taki człowiek mógł w jednym momencie całe życie człowieka oświecić. Niemniej jednak już nie wiem, czy to było dwa razy czy to był jeden raz, jakś tam byli. W każdym razie ja go "zlikwidowałem". Skreśliłem go. To nie jest żaden darząca. Potem jeszcze dowiedziałem się, że kiedy wystąpiłem z wojska, był tym bardzo zgorzchny. Nawet w jednej ze swoich książek mówi o zdżiczeniu młodości, która zrywa z tradycjami... to było pite do tego. Pewny jestem. Potem dopiero na nowo zacząłem go odkrywać. W Paryżu go widziałem. Przyjechał do Paryża, na Sorbonę, już po wojnie, kiedy byłem w Paryżu z kapistami. Dowiedziałem się, że on będzie miał wykłady o filozofii religijnej rosyjskiej. Zdżiechowski, dla którego zawsze Rosja była straszliwie groźna, był w bardzo bliskich stosunkach z wybitnymi Rosjanami. Takie było koło Brianczaninowa gdzie się właśnie Polacy i Rosjanie zbierali. Tam był taki książę Trubeckoj. Tam było paru innych, zdaje się, że Mareżkowskiego już także wtedy spotykał. Miał tam wykłady o filozofii rosyjskiej, co się zresztą bardzo Polakom nie podobało. Na to profesor z Polski przyjechał, żeby im filozofię rosyjską wykładał. Bywałem na tych odczytach, niewiele pamiętam, co on tam mówił. Raz mnie zaprowadził na ciastka i bardzo się gorszył, że tylko w Niemczech są dobre ciastka a we Francji złe i co było niezapomniane to, że zaprowadził mnie do takiego wybitnego modernisty francuskiego, kolegę - Labertenier - dla mnie niezapomniane wrażenie. Był właściwie prawie że zasuspendowany. Siedział w nudnym mieszkanku, nie miał prawa kazać mówić, miał masę książek nad sobą, tekstów swoich oprawionych, ręką napisanych. Odprowadzając nas tylko powiedział że paraitra une fois. Był zupełnie odrzucony przez Kościół. A przecież wtedy mówili o Zdżiechowskim, że to jest jedyny polski modernista, on jeździł nawet do papieża, żeby ich wybronić. Potem go znova lata nie widziałem. W nim szalenie siedział szlachectwo, to był straszny szlachcie. Ten człowiek zawsze wybuchał, zawsze miał odwagę swoich przekonań. Był szan Wilsona i uniwersytet krakowski zrobił go profesorem honoris causa. Zdżiechowski był wtedy już chyba rektorem w Wilnie. Tak się oburzyl, że pojechał na zebranie specjalne, żeby zaprotestować. Dlaczego? Uniwersytet był stworzony z łaski cesarza austriackiego. Wilson Austrię liberalną zniszczył, więc jest nieprzyzwoitością, żeby uniwersytet stworzony przez cesarza austriackiego dawał Wilsonowi honoris causa. To jest cały Zdżiechowski. Ostatni raz go widziałem na zebraniu. Jego brat Józef, któregośmy bardzo kochali /braci tych dobrze znałiśmy/ mieszkał w tym samym domu, czy niedaleko mojej pracowni. To było już w 28-ym czy 27-ym roku. Było takie przyjęcie zrobione dla niego, bo przyjeżdżał z Wilna bronić Cywińskiego. Może przypominasz sobie, w Krakowie był

taki Gryniski specjalista od Horwida, sudek. Napisał o Pilsudskim bez nazwiska - "Pewien megaloman". I wtedy oficerowie przysali do niego, pobili, pokopali i niewiedno co jeszcze pobili. Taka rozprawa oficerska pilsudczyków. Wyobrażasz sobie jak ma to Zdziszechowski reagować. Więc Zdziszechowski przyjechał tam protestować, ale miał taką ponurą minę i widział, że się świat kończy. On widział, że Rosja zajęła Polskę i że będzie wojna, wszystko to widział. I był lednicki też na tym przyjęciu, ojciec rusycysty, który znał Zdziszechowackiego od lat z petersburskich jeszcze czasów, a on był przeciwnikiem Zdziszechowskiego, on był taki zakręglający wszystko. No i pamiętam, że Zdziszechowski siedział, a miał wzrok jakiegoś ptaka, ciska. Tak z daleka na wszystko patrzył, z wysoka. Te rozmowy go nie interesowały aż podszedł do niego lednicki i zaczął mówić: "ależ panie rektorze, to nie jest tak źle, ja wracam teraz ze zjazdu Ligi Narodów w Wiedniu, to rzeczy będzie można załatwić. Nie grozi wojna". A on siedział, jakby siedział orzeł gdzieś na gałęzi, obok i w ogóle nie patrzył. Ja potem podszedłem do niego, a on mi powiedział: proszę pana ja już takich słów słyszeć nie mogę. Korespondował od czasu do czasu z Filosofozem. Wtedy był bardzo ciężko chory i napisał mu tylko, że "bardzo żałuję, że nie umarłem, wolałbym wtedy umrzeć, niż za parę lat w jakiejś piwnicy, w czerezwyzozajce".

Tak, że on widział wszystko. Na szczęście umarł w 38-ym roku, a on by już na pewno w 39-ym siedział w czerezwyzozajce. "W obliczu końca", ta książka się nazywa. Ale to była jedna z takich żył kryształowych, które znałem w Łycku, to był człowiek i prawości i głębokiego tragizmu i głębokiej religijności. Ta religijność jest dziwna. Mówił, że do kościoła doszedł przez liturgię. On czcił liturgię, czcił obrządek, poprzez obrządek trafił do wiary. Myślał sobie jakby ten człowiek cierpiał nad likwidacją liturgii od symbolu do znaczenia. Miał on dwóch braci. Należał do nich Raków, drogiocenny, najdroższy Raków, jeździła tam Orzeszkowa. To jest ta tradycja. Opowiadał, jak w dziuplach drzew chował pszczy Mielkiewiczza, które wtedy jeszcze przewożono w sekrecie, jak nie można było w Mińsku w szkołach mówić po polsku, a potem problemy chłopskie, lewicowe. Nie znam tego słowa po polsku, jest takie rosyjskie słowo, kajajuszczyjeła dworiana. Szlachcio, który się kaja. Brat Kazimierz, to był typowy taki z kajających się, za to że jest bogaty, a inni są biedni. Pamiętam jak jechałszy bryczką, bo nas obwieszili po tym majątku, nie stary naturalnie, ale właśnie ten Kazio, który prawdopodobnie tym administrował, miał taką pelerynę loden, i naraż zobaczyć, że krowy władzy w szkody i tak się z przerażeniem odwraca w drugą stronę. Naturalnie porządny ekonom by bizunem zbił te



krowy i jessose chłopca. Ale to był ten problem, że już ciągnęło ku Zensoniemu. To była ówczesna Polska szlachecka, ze szlachetnymi szantarami. I ja ogólnie szantawiłem się jak wszystkie roszad chłopca, chociaż w tym czasie kuby nigdy własnymi rękami nie wyczyściłem. Ja nie wiedziałem, co to jest szantować się swoją drogocenną osobą, bo wszyscy się mnie wszystko robili. Wszystko było zupełnie abstrakcyjne. Przekroczyłem od tej abstrakcji do jakiegoś konkretnego życiowego, że była trudna droga. Tak więc, chciałem tylko dwóch wzmocnić.

Jeżeli chodzi o Tolstoję, cóż, miatem wtedy może sześćnaście lat i już trochę czytałem Tolstoję, też dość zabawna rzecz. W bibliotece mojego ojca był Giszewin. Tante Giszewin miał siostrę Zofię, która do nas przyjeżdżała jak byliśmy dziećmi. Była bardzo religijna, niesłychanie oddana pod względem społecznym. Walczyła w Rosji o mniejszości narodowe. I to ona nam dzieciom czytała pierwsze nowelki Tolstoję. To może było pierwsze zapoznanie o Tolstoję. Ale pamiętam nawet przykre mi się przyznać - wiadziałem, że jest taka książka Tolstoję, "Sonata Kreutzerowska" i że tam jakieś gwałtowne, erotyczne rzeczy się dzieją. Czytałem ją jako książkę nieskromną i wysłałem, że to mi coś ciekawego powie. I pamiętam jeden z wielkich szoków mojego życia. Czuję, że pot mi spływa po plecach jak to czytałem. Po pierwsze, po rynku dostawałem, bo stosunek do tych spraw Tolstoję właśnie w "Kreutzerowskiej Sonacie" był niesamowicie brutalny, uważałem, że w ogóle zainteresowania tego rodzaju są już prawie szkodliwe, ale jednocześnie postawił problem zemienia i to niesłychanie mnie przejęło, to jest początek mojego Tolstoję. I pamiętam, że przyjechałem do domu, do Brzykuk i siostram, które miały wtedy szesnasto, osiemnaście lat dałem tę książkę. Były też pod jej władaniem. Specjalnie Marynia. Pamiętam jeszcze, że Marynia powiedziała: "no dobrze, to będziemy chyba musieli mieć dachy". Wiesz co to były dachy? To były takie podwójne futra z dziankami dla oczu. Żeby się w ogóle nie pokazywać, taki był wniosek, ale tak zupełnie przekonana nie była. Ale od tego czasu zaczęło się to czytanie Tolstoję i pamiętam, że czytałem strasznie nudne rzeczy. O ile Tolstoję, naprawdę w "Annie Kareninie", w "Wojnie i Pokoju", w innych opowiadaniach, jest genialny, jego "Dziennik" jest wspaniały, o tyle takie pouczające filozofie jego trudno jest czytać. Po jakimś też długi mowa, dydaktyka. Ale w każdym bądź razie tę dydaktykę przesłałem, chociaż nie mówię żebym ją tak bardzo pięknie czytał.

## NOWE OBLCZE WARSZAWY

Każdego, kto pamięta Warszawę sprzed lat dwunastu-piętnastu ude-  
rsa nieoczywista zmiana jej charakteru, ustroju ulicy, codziennego  
klimatu życia. Z Krakowskiego Przedmieścia zniknęły piękna, eleganckie  
dślawozawy, pojawił się szary, zgnieszony, znerwicowany tłum. Ten sam  
tłum, jednolity, pozbawiony wielkoniemieckiego wdzięku, saludu pasche  
Ściary Wschodniej, psemakalnie Dworca Centralnego, obłepia tramwaje.  
Warszawa - to wielkie zejwisko zgnieszonych, wiecznie spieszących się  
ludzi, ubranych niedbale i bez smaku, a narzędniczaby, prowincjonal-  
naya szyniole, wszędzie takich smych.

Zwawia, charakter tego tłumia zmienia się odrobine na Starym Mleś-  
cie, gdzie oko, znużone szaryszną i monotonią, uciesszyć się może wido-  
kiem tu - szeregiem Arabów, ówdeś - grupki węgierskich turystów  
osy podeksyrtowanych polonijnych gości. Na Rynku Starego Miasta może  
się jeszcze zdarzyć, że Cyganka powróży, papuga wyciągnie szczęśliwy  
kaszkowy, podwórkowa kapela odgra stary warszawski szlegiar, zaś de-  
reżkaya uprzejnie nobyli cylindra i zaoferuje kurs do Bristolu za jed-  
ne trzyseta sketych. Można też, jak nigdzie indziej, dostąpić i tego,  
że wysytlaszowany hippie zśierzy się takującya wzrokiam, widomie /co  
ei aile pochlebi/ sapytując się w duchu, czy kupias jego obraz /ruiny  
Warszawy, kopie Malczewskiego, podobiany Papieża, profil Piłsudskiego/  
ga/.

Ten sam spryt headlaraki, ten sam gust do kombinacji, ten szare  
brutalny, cyniczny, wysyby staroniejkiego wdzięku nietymyślniej eks-  
pertsowej egzotyki, uderzy cię w recepsjach starych i nowych hoteli  
najlepszej kategorii, w hallach banków, sklepach Fawaku, najbardziej  
wesezczonych kawiarniach.

Naturalnie, osalały jakieś enklawy starej, inteligentkiej Warszawy z jej bżykocliwym, nieco woltieriańskim esprit, upodobaniem do ka-  
lamburów, dowcipu, ciętych powiedzonek, paradoksów. Warszawy bardzo  
intelektualistycznej, frywolnej lecz nobliwej, wiecznie szaknionej  
sensacji, egzaltującej się każdym wydarzeniem, ceniącej wdzięk, ele-  
gancję, urodę, równie skatystycznie witającej każdy nowy talent, jak  
nową piękność, dyktującej modę, zainteresowania, opinie, kreującej  
wielkość i autorytety. Wspomnienie po tej "elitarystycznej", rozba-  
wionej a jednak statecznej i świetnie znającej swoje ograniczenia War-

szawie przetrwało w jednodajni warszawskich literatów, w Kwiatach "Goy-  
telnika", piwowackim saloniku książek, niektórych księgarniach. Jest to  
jednak tylko wspomnienie, blaknące szybko i boleśnie.

Warszawa lat sześćdziesiątych, Warszawa SFS-u, piwowskiej kawiarni,  
wykładów Kozakowskiego obleganych przez najwściebniejszą młodzież, naj-  
urodzawsze dziewczęta, Warszawa wielkich bankietów, tworzona przez jedne  
wielkie towarzystwo spotykające się nieustannie na najszlachetniejszych iz-  
prezach, zebraniach, czczonej zabawach, dysputach, w kinach i tea-  
trach, Warszawa tej malowniczej bekemy składającej się z profesorów i  
modelak, aktorów i intelektualistów, studentów i piosenkarzy, lektorów  
PZPR i lawicowych katolików, tłumaczy i dziennikarzy, sportowców i gran-  
des dames, podczernieniowych arystokratów i uroskojniczynek byłych wyś-  
szych aparateczków - skończyła się bezpowrotnie.

Ulotny i nietrwały musiał być przecież miraż perypetyjnego życia w mie-  
ście, które nade wszystko chciało zapamiętać o przeszłości i którego li-  
bertyńsko-intelektualistyczny styl i pokrętała niepamięć losy pokreś-  
ła, zaskakujące, obolałe a tak nieoczekiwane splecione we wspólną,  
naruszającą spokojną i niekropotliwą, zupełnie od nowa szczytną się  
biografię warszawskiej elity użytkowej.

To wspomnienie przeszłości, kerzeni, musiało się zemścić, bo powo-  
dowało nie tylko brak głębszych wartości, wywoływało nie tylko atmosf-  
erę duchowego paralizmu. Wzajemna familiarność, swobodne nabywanie pa-  
nujące w warszawskiej społeczności nie przetrwały próby otwarcia ran prze-  
szłości, nawet tej próby, którą z tak brutalną niechęcią, z tak  
jawnym cynizmem przeprowadziła władza w końcu lat sześćdziesiątych.

Nie miejsce tu na decykanie powodów, jakie skończyły się na schyłek  
tej Warszawy. Zapewne, niebezpiecznie bliżkie uzależnienie jej żywotnej  
działalności od koncesji z władzą nie było przyczyną najgłówniej ważną i  
w końcu musiała się skończyć tragedia, gdy tylko obie strony orzekły, że,  
jak mówił Poeta, "zabawa się skończyła". Rozprzeczanie jednak najwła-  
ściwszym grzechem tamtej Warszawy była jej niepamięć. Przecież to ży-  
cie elitarne i rozkoszne toczyło się w mieście niekiedy do przajęcia  
z własny stylu Rive Gauche. Gdyż miasto to było zaprzątało kształ-  
towanie nowej swojej publiczności, egoizm odmienny od tej, która za-  
budowała Nowy Świat.

Przybyłszy nową ścigający ku Warszawie, mieszkańcy jej rozleg-  
łych peryferii, niepostrzeżenie odmiennymi urodę miasta tworząc tę,  
która rani dziś oczy urzędniczą szaryzną, drobnomieszczanisko-awwis-  
tycznym niepoletem. Wytwarzał się cicho, uparcie, szyk bagalny, pow-  
szeczny. Ten aparateczkowo-ubecki, ale także i ten, który nadaje mia-  
stu o wczesne popołudniowych godzinach grupki rozpierzchonych ewan-  
gelistów.





ciszano - dziś stawką u klęczących miasta, a jego ataszkarze. Urwali byłby zdumiony.

Przybyło nie tylko słów swobodnych, odważnych, nieskrywanych i przednich. Warszawa zaczęła także odzyskiwać pamięć i to jest druga cecha różniąca to miasto od petit Paris lat sześćdziesiątych.

Wpierw na przekór odzianemu klimatowi życia, które teczyło się, jak gdyby miasto poraziła cukrowita amnezja, jak gdyby nikt tu nie miał żadnej przeszłości i żadnych pamiątek, zaczął potęgnić kult zmarłych.

W Ząbuszki i we Wszystkich Świętych Warszawa wylegała na cmentarze i tam, u grobów swych przodków, odzyskiwała pamięć i siły duchowe, na moment staczała się, szlachetniała w oczach, stawała się czarna, skupiona i cicha. Grupy młodzieży skupiały się wokół grobów bohaterów AK, przywódców powojennego podziemia, pomordowanych oficerów, szukając tu lekkoji - czego? zapomnianej godności, dumy, odwagi i sztywnej odporności moralnej? prawdy o historii?

Wartarzał się ten dziwny festyn narodowej pamięci w rocznicę pierwszego i ostatniego dnia powstania warszawskiego, siedemnaście września, niekiedy z okazji innych, z nagła przypomnianych. Powstawały symboliczne groby ofiar Katyńsk, a czasem groby ofiar Grudnia i Czerwca. W kościołach i na murach cmentarnych pojawiało się coraz więcej tablic upamiętniających nazwiska poległych i zaginionych, zaczęto, w ten sam sposób a także przez szanujące mszy, oddawać hołd wielkim przywódcom narodowej sprawy. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych utarł się zwyczaj publicznego obchodzenia rocznicy odzyskania niepodległości. Coraz wyraźniej zaznaczała się tradycja, którą upodobało sobie to miasto, coraz wyraźniej polityczne koncepcje tradycja ta zaczęła wzbudzać. Aż stało się, że wyszła z cmentarzy i kościołów i wkroczyła na ulice Warszawy.

W sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości w sutennych zniszczających w kierunku Placu Zamkowego panował nastrój odświętny, podniosły, a wsiadającego z miejsca uderzał klimat poważnej, milczącej znomy łączącej tych nagle wystateczniałych i przyochłtych ludzi. Istotnie, wszyscy sdężeli ku staromiejskiej katedrze. Tłumy warszawiaków oblegały pałac ataszający katedrę, wylewały się ku Kolumnie Zygmunta, tworząc swarta, ścisłą i silną. Panował tłok jak w tramwaju w godzinach szczytu. Mimo to natrój nie ulegał zmianie, cywilni funkcjonariusze, którzy przyszli tu za swoimi podopiecznymi, zachowywali niezwykłą powściągliwość. Tu i tam rozdawane ulotki. Dominowały spokój i powaga. Nawet, gdy skończyła się msza, obyło się bez tumultu. Tłum rozchodził się powoli, stopniowo. Głaskawscy i poinformowani czekali, aż uformuje się pochód. Opowiadano, że pojawiły się sztandary, że dwa-



- trzy tysiące osób przewodniczącego Krakowem Przedmieściem na Plac Zwycięstwa. Na krótko Nieznanego Żołnierza złożono wieńce, były prześpiewania, Międzykły fiasco. Milicja nie interweniowała, ograniczyła się do obserwowania ruchu. Odśpiewano hymny narodowe, historyczne pieśni.

Rzecz powtórzyła się po roku. Tym razem u Grobu Nieznanego Żołnierza zgromadziło się ponad pięć tysięcy osób. Tak oto niepostrzeżenia manifestacje patriotyczne stały się zwykłym wydarzeniem w życiu stolicy i każdy już wie, że przynajmniej raz do roku Plac Zwycięstwa zamieniał się w Hyde Park, że będą przemówienia, może nawet, jak w roku ubiegłym, wzmiankane przez głośnik, że padną antyrządowe okrzyki, tłum powtórzy hasła wolności i niepodległości /w listopadzie 79 po trzykroć/ rzecz opiszą ograniczani reportaży, sfilmują zachodnie telewizje, milicja drogowa będzie regulowała ruch i może, co najwyżej, nieco wcześniej zostanie przeprowadzona szeroka akcja przewencyjnych zatrzymań, nieskuteczna i bezsensowna.

X X X

Co myśleć o tym nowym a przecież już spowszedniałym elemencie życia Warszawy - manifestacjach patriotycznych?

Rzecz trudne przeszedł z politycznego punktu widzenia. Warszawa, która odżyła swój głos, szuka daru słowa. Tradycja jest tą nieodczuwaną, a w Polsce najłatwiej dostępną szkołą formułowania haseł, podszeptuje więc teraz zwroty i slogany, które najbardziej odpowiadają nastrojowi rozwiehrysonowanej, zdenerwowanej ulicy. Obchody takie stają się przede wszystkim okazją do kształtowania postaw obywatelskiej odwagi, manifestowania zwykłej ludzkiej godności, którą odzyskuje się wraz z wypowiedzeniem nierzadkich niestajomych uczuć. Są też próbierkami popularności opozycji, wskazującej, najdowodniej, że ruchy niezależne nie działają w próżnię, że cieszą się sympatią społeczną i że nie są zagrożone izolacją. Są wielką propagandą postaw otwarcie opozycyjnych a ich rozmiary wskazują, że są to kampanie zwycięskie. Są, w pewnym sensie, wieciami, na których toczy się walka o dusze mieszkańców miasta. Są więc przedsięwzięciem przede wszystkim o znaczeniu wychowawczym.

Organizatorzy ich mają prawdopodobnie na uwadze sprawę propagowania i pogłębiania tożsamości narodowej, intencje upowszechnienia polskiej tradycji niepodległościowej i wolnościowej. A więc również cele wychowawcze.

W dziejach Polski znane są takie metody walki politycznej. Liga Polska w okresie polityki czynnej przede wszystkim stawiała sobie za zadanie sprawę rozbudzenia uczuć patriotycznych. Organizowała manifestacje narodowej pamięci by wytrącić społeczeństwo ze stanu bierności politycznej, ideowej inercji. Właśnie w Warszawie miały miejsce



obchody rocznicy powstania Kościuszkowskiego - świętne dni kilifaszczyny. Inspirował je Dmowski, ale kiedy tylko Liga Narodowa przytępiła do systematycznej i długofalowej akcji kształtowania polskiej świadomości politycznej, manifestacji zaniechano. Okazały się zbyt kosztowne.

Nie tylko dlatego, że prowokowały policję do akcji represyjnych i że zamiast postępującej pracy propagandowej, liczebnego wzrostu obrotu patriotycznego przynosiły, wbrew oczekiwaniom organizatorów, szkieletowanie słabej jeszcze Ligi wskutek aresztowań, szykank, edycjonowania się przesatowanego społeczeństwa. Przede wszystkim jednak akcje takie wytrącały Ligę z głównego toku jej pracy, odciągały od pracy wydawniczej, edukacyjnej.

Te fajerszewkowe manifestacje stawały w kolizji z perspektywistycznymi planami narodowych demokratów, którzy zmierzali do gruntownej i dogłębnej przebudowy opinii publicznej. Cel taki dyktował w pierwszym rzędzie pracę nad myślą polityczną, opracowywaniem nowych zasad polityki polskiej i ich systematycznym upowszechnianiem, a, jak wiadomo, wiecie ohaszom takim raczej nie sprzyjają. Przy tym wszystkim, dodajmy, Liga Narodowa nie obawiała się niebezpieczeństwa demagogii, nie wzdrygała się rozbudzać emocji, igrzać nastrojami. Podówczas jednak nie miała jeszcze wystarczające duże kapitału politycznego, odpowiednio sarysonowanej sylwetki ideowej i wybierając pomiędzy akcjami spektakularnymi i okrywającymi legendą a powolną, cierpliwą pracą nad umacnianiem organizacji i dogłębnym zakorzenieniem jej w społeczeństwie, wybrała to drugie. Manifestacji zaniechano z chwilą, gdy Liga Narodowa była wydawać "Przegląd Wszechpolski" organ polityczny swojego obozu, i gdy rozpoczęła systematyczną pracę nad edukacją ludu.

Podobnie, chociaż z zupełnie innych motywów, sprawę manifestacji rozstrzygnął Piłsudski. Nie lękał się, jak narodowi demokraci, tłum na ulicach, nie obawiał się rewolucji i, przeciwnie niż Dmowski, nie uważał, że manifestacje, strajki, element żywiołowości w polityce zaprzepaszczają szansę niepodległości, dezorganizują siły narodowe i uniemożliwiają upowszechnienie świadomości obywatelskiej. A jednak, gdy przez Polskę przetoczyła się w 1905 roku fala manifestacji nie powodując ani poszerzenia swobód, ani przybliżenia godziny niepodległości, zdecydował się pójść w sprawach narodowej strategii drogą, jak mawiał, "skręconą". Ten wielki skrót, maksymalnie uproszczona propeudeja polityczna sprowadzała się do decyzji skupienia wszelkich wysiłków patriotycznych na jednym jedynym celu - budowaniu niepodległościowych formacji militarnych. Zaś manifestacje, spory ideowe, aurę życia politycznego, jego poziom, uznał w tym czasie za sprawy drugorzędne. Przez parę dobrych lat działał niemal w kompletnej próżni będąc dla jednych

Ben Kichotem sprawy narodowej, dla których niekiedy czyniła prokuratora. Ieś gdy uległa zmianie sytuacja międzynarodowa, miał niezaprzeszczelny kapitał polityczny.

Ant Dmowski, ant Piłsudski nie przeceniali więc roli manifestacji patriotycznych, choć obaj - Dmowski we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, Piłsudski w 1905 roku - doceniali ich znaczenie wychowawcze, propagandowe, mobilizacyjne. Sprawa manifestacji była jednak zawsze rozważana w perspektywie szerszych planów politycznych i kwestią - uciekać się do nich, czy nie - rozstrzygano na tle całonocnej strategii ruchu i w takim dopiero kontekście wyrokowano w zaletach i wadach takich przedsięwzięć.

Opozycja dzisiejsza nie stoi, na szczęście, wobec tak ostrej alternatywy, jak stędy Dmowski, czy Piłsudski w okresie pracy nad formowaniem polskiej siły zbrojnej. Manifestacje nie wadzą jej w kontynuowaniu działań pomyślanych systematycznie i długofalowo, nie uniemożliwiają pracy wydawniczej, edukacyjnej, społecznikowskiej. I chociaż prawda jest, że wydarzenia takie jak manifestacja z okazji rocznicy odsyśnięcia niepodległości wytrącają opozycję z rytmu jej codziennych zajęć, stan taki nie trwa dłużej niż dwa tygodnie. Opozycji nie grożą przesadne srogki i więzienia, co najwyżej przykry, 48-godzinny lub nieco tylko dłuższy areszt prewencyjny i fala rewizji. Okoliczności te nakazują więc jedynie, podrytkowane względami ostrożności, chwilowe zawieszenie działań wydawniczych i redakcyjnych, ogłoszenie krótkotrwałego "stanu wyjątkowego".

A przecież manifestacje takie pogrążają środowiska opozycyjne w chaosie nieoczekiwania głębszym. Jest to chaos myśli.

x x x

Te reakcje nadmierne nerwowe, nadto emocjonalne, pewien stan umysłowego zakłopotania wynikają, jak się zdaje, z tego, że opozycja nie posiada wyrobionej opinii na temat roli i znaczenia manifestacji w dzisiejszym życiu politycznym, że nie ma jasności jakie miejsce wypada przyznać takim przedsięwzięciom.

Nie ma w tym nic dziwnego. Dzisiejsza polityka polska - to jedna wielka improwizacja, i w polityce opozycyjnej sprawy mają się podobnie. Są jednak zagadnienia, które winny być rozstrzygnięte, są rodzaje działań, wobec których zasada żywiołowości, intuicyjno-empiryczna metoda ustalania taktyki opozycji, winny być szczególnie troskliwie kontrolowane.

Jest więc problem ryzyka, jakie wiąże się ze sprawą wyprowadzania polityki opozycyjnej na ulice. Ryzyko to w chwili obecnej nie polega

na tym, że manifestacje patriotyczne mogą, wbrew zamierzeniom organizatorów, dać początek jakiejś fali niekontrolowanej wydarzeń, doprowadzić do niekontrolowanej eksplozji. Wiadź o manifestacjach nie jest, mimo wszystko, za tyłu szeroko rozpowszechniona by mogła doprowadzić do narobu licznego zgromadzenia, zaś bezpieczeństwu prowokacji, wbrew historycznym ostrzeżeniom, stara się najwidoczniej zapobiec sama władza a także, co nie jest bez znaczenia, rozsułek i autorytet prominentów świata opozycyjnego, wreszcie zdrowy instynkt samozachowawczy warzawskiej opinii publicznej, umiarkowanej i sceptycznej, nieskorej do ryzykanctwa, narobu stemborynowanej przez pomysł już to powetania warzawskiego, a po części, wydaneń warszawskich, nadto też świadomej powagi sytuacji. Zarzut o nadmierne rozbudowywanie nastrojów można także oddalić. Nie ma zapewne w chwili obecnej ani takich sił, ani takich kzywiołów, które łyknęłyby sobie niekontrolowanego rozwoju sytuacji.

Nie przyczyniając się przecież do podwyższenia społecznego gniewu manifestacje, do których co i raz to usiłują doprowadzić te i owe, tak już liczne środowiska ruchów niezależnych. Zgromadzenia takie, organizowane na pomniejszą skalę, są, jak można wnosić, przede wszystkim okazją dla zamieniania nastrojów patriotycznych, opozycyjnych, a także, w pewnym stopniu, dla polegowania zniecierpliwieniu ogarniającemu pewne kręgi ruchów niezależnych a powodu przedłużającej się sytuacji politycznej. Wszakże intymnie opozycyjny charakter i dość spontaniczny nastrój podobnych uroczystości/dla szerszej publiczności są one wciąż swego rodzaju szokiem/ - te powody sprawiają, że, jak dotychczas, manifestacje takie nie mają mocy emanowania uzur i nastrojów, oczekiwań i żądań, które mogłyby zelektryzować szersze kręgi społeczne. Przeciwnie. Choć od sierpnia do grudnia 79 podjęte w stolicy pięć kolejnych prób szerokiach manifestacji ulicznych /co oznacza częstotliwość: jedna manifestacja na miesiąc/, to przecież ten festyn misztrzących obchodów nie przyniósł Warszawy bardziej pobudliwą. Łaknąc wyciągnięcia jedynie władza, otwierając, zbawiać się można, gdy precedens na przyszłość. Sigmund po metody drastyczne przecież po to, by położyć tamę fali demonstracji, a nie po to, by powodował wzrost napięcia /wielokrotne areszty 48-godzinne, sankcje prokuratorskie, mobilizacja "ideowego aktywu"/.

To radykalne poszerzenie repertuaru środków zapobiegających bardziej widowiskowym działaniom opozycji dowiodło jednego, że, niezależnie, władza zdecydowana jest przeciwdziałać skojem ulicznemu i że w imię tego są-za stąd ją na kroki stanowcze, podciągająca zdecydowane, efektywne, nawet, jeśli oczekująca ją w takich okolicznościach determinacja granicy o włos tylko z niebezpiecznym, jutrzeniem nastrojów. Postawa taka może się na przyszłość liczyć z możliwością przedsięwzięcia tragicznej konfronta-



cji, teraz jednak nie ulega wątpliwości, że władzy, także jawnej i tajnej policji, przede wszystkim chodzi o spokój w Warszawie.

Pominąwszy jednak skutki warszawskich obchodów dziewiątej rocznicy Grudnia, przynajmniej należałoby, że w ciągu całej, z tego punktu widzenia nie tak krótkiej historii ruchów niezależnych, ani razu nie naruszono niebezpiecznej granicy. Większość spektakularnych akcji opozycji - czy to manifestacje patriotyczne, czy głodówki w kościołach św. Marcina i św. Krzyża - miały natomiast tę zaletę, że oprócz lekcji odwagi, determinacji, obywatelskiej godności, zalet zatem bezpośrednie wychowawczych i propagandowych, były także te śmiałe działania niezwykle skuteczne z politycznego punktu widzenia. Akcje te bowiem miały to do siebie, że zmuszały władzę do zachowań zgodnych z historią powojennej nieortodoksyjnych. Wymogły, mianowicie, nie tylko rezygnację z linii "twardej", linii sądowych represji, nie tylko doprowadziły do swobodnej "legalizacji" publicznych zachowań opozycyjnych ale, przede wszystkim, unieszczyły, na przykład wszelkie dotychczasowe teorie i przesłanki, jak nieoczekiwane elastyczny jest ten reżim, jak dalece może się on modyfikować pod presją opinii publicznej i jak wielkie szanse stwarza ta nowa, nieznaną ekwilibrność dla społeczeństwa, jak duże zatem okazuje się pole manewru i władzy, i siły opozycyjnych. Z tego punktu widzenia manifestacje patriotyczne są wręczym sposobem sondażu granic swobody, stopnia elastyczności reżimu, sondażu przekonywującego i poruszającego, dokonywanego na oczach opinii publicznej.

X X X

Zatem, jeśli wspomnieliśmy o ryzyku, jakie wiąże się ze sprawą manifestacji patriotycznych, to dlatego, że nie ma wątpliwości obecnej większego niebezpieczeństwa dla opozycji, niż nadużycie kapitału społecznego szacunku, jakim ruchy niezależne niewątpliwie dysponują. Jest to przede wszystkim kwestia zachowania powagi przedsięwzięć opozycyjnych, małe wszystko zaś powagi tych przedsięwzięć, jakie wystawione są na oczy szerszego ogółu.

Przemówienia wygłaszane na dotychczasowych wielkich manifestacjach patriotycznych były albo może słysalne, albo, jak w listopadzie 79, odpowiedzialne i nie naruszające granic powagi. Łatwo jednak wpokreślić sobie sytuację, w której może dojść do ośmieszającego i żalcanego licytowania się w hasłach i frazeologii patriotycznej, w której slogan będzie przebijany jeszcze większym sloganem i w której dojdzie do scen takich, jak ta; wykpiena ponad wiek temu przez stańczykowskiego trybunała

"Tym razem wyznaje, byłem istotnie w kłopotcie. Mów było wiele, a co jedna, to lepsza. O łączności, o niepodległości, o przyszłości nagadali wszyscy tyle, i tę przyszłość obiecywali tak bliska, /mają ją w kies-

szeni, dżanie! / że już nie do powiedzenia nie zostawili. Szczepkiem natchnienia nie opuścisz nigdy tegoż człowieka; nie opuścisz i mnie, i w stanowczej chwili zakazałem ich wszystkich. "Panowie - rzekłem - wyrzeczono tu wielkie słowo połączenia i niepodległości wszystkich części naszej rozdartej ojczyzny. Słowo to znalazło odgłos w waszych sercach i wiecie dlaczego? Oto dlatego, że w tej chwili słowo to zostało wcielone. Jest to prawem odwiecznym i niewzruszonym w świecie ducha i w świecie politycznym, że wielka idea żyjąca w ukryciu w świadomości milionów, staje się rzeczywistością faktem w chwili, kiedy została publicznie wypowiedziana /wielkie okłaski/. Tak jest, panowie - jest to prawnik, jest to aksjomat, jest to dogmat stwierdzony sto razy historią /jeszcze większe okłaski/. Zatem, panowie, ja oświadczam i ogłaszam w tej chwili na świat cały: Połączenie i niepodległość wszystkich części naszej rozdartej ojczyzny jest już dziś faktem, faktem dokonany! /Gromot okłasków i nieustająca wrzawa, muzyka wojskowa rżnie: Jeszcze Polska nie zginęła!.

Fakt ten - ciągnę dalej - nie znalazł jeszcze praktycznego wyrazu i dlatego nie jest dla wszystkich widoczny, ale od chwili kiedy jest, to co nam jeszcze do zrobienia zostaje, jest stosunkowo małą rzeczą /znowu okłaski/. Zapewna nie obejdzicie się bez przeszkód, ale ..." - domyślisz się sam co powiedziałem dalej, wiesz że w każdej mowie przeszkody zwyciężają się silną wolą, jednością, poświęceniem i całym tym arsenalem zużytych i sardzawiających cnót obywatelako-patriotycznych, nie powtarzam ci zatem końca mojej mowy, którą zwykłało w sposób nowy i nigdy dotąd nie widziany: Zdrowie Orła Białego. Zaręczam ci, że efekt był ogromny, fenomenalny, a mam nadzieję, że będzie trwał."

Takie i im podobne patriotyczne licytacje będą, być może, wzbudzą zachwyty części zgromadzonej publiczności, legenda o takich przemówieniach stanie się własnością warszawskiej ulicy, dającej bezkrytyczny, chętny pociąg każdemu sloganowi i każdemu hasłu, byle patriotycznemu, byle niepodległościowemu, byle zatracającemu o pamięć historii narodowej, którą Warszawie tak brutalnie odjęto, a którą z takim uporem usiłuje obecnie odnowić.

Frajdnie przecież opozycji płacić także i koszty takiej patriotycznej demagogii. Już dzisiaj przedstawiciele świata intelektualnego, nawet ci, którzy aktywnie sympatyzują z ruchami niesależnymi, uśmiechają się z pobłażliwością, gdy słyszą o nowej manifestacji. Reakcje takie winny być sygnałem, że łađa jaka publiczna kompromitacja opozycji plynąca z chęci zbyt pocięznego zdobycia popularności, kompromitacja mająca swe źródło w nadużyciu tytułu powagi dla prymitywnego epatowania nastrojów ulicy, może doprowadzić do ponownego naruszenia ciągłości



reprezentacji społecznej, jaką z dużym trudem i po licznych doświadczeniach udało się szczęśliwie zaprowadzić w niezależnej części warszawskiej opinii publicznej. A jest to ciągłość, bez której polityka opozycyjna nie może rozwijać się prawidłowo, ciągłość znajdująca dotychczas swój wyraz w udatym połączeniu działalności umysłowej, kulturalnej, intelektualnej i praktyczno-organizacyjnej, czynnie upowszechniającej wzory społecznego oporu.

Prominenci polityki opozycyjnej są zapewne świadomi, jak ważne jest zachowanie tej ciągłości, lecz zakłopotanie i nerwowy chaos myśli wzburzone w środowiskach ruchów niezależnych przez sprawę manifestacji patriotycznych są wymownym dowodem jak trudno już w chwili obecnej o zrównoważony osąd sytuacji, chłodne rozważenie miejsca i roli tych manifestacji w strategii opozycyjnej.

Ruchy niezależne, właśnie dlatego, że nie znajdują się w społeczeństwie próżni, są niesmiernie podatne na nastroje miasta, ulegają jego podnieceniu, podchwytywają hasła i tęsknoty ulicy. Z drugiej strony w środowiskach ruchów niezależnych zaczyna działać zwykłe prawo konkurencji. Jest przecież zwyczajną rzeczą, że im więcej ośrodków niezależnej myśli, im więcej odmiennych propozycji i stanowisk, im bardziej różnicuje się przywoływana tradycja, tym bardziej bezwzględne dążenie do spopularyzowania swojego stanowiska, zdobycia sympatyków, zyskania aplauzu.

x x x

Obie te pokusy - pokusa fraternizacji ze społeczeństwem i pokusa schlabienia ewentualnej klienteli - przynależą do repertuaru naturalnych prawidłowości demokracji, lecz jest przecież w takim demokratyzmie ruchów niezależnych pewna szczególnie niebezpieczna skłonność. Zarysowuje się bowiem możliwość, niemal nieuchronna, pogłębienia się dysproporcji już dzisiaj cechującej dorobek opozycji, dysproporcji wyrażającej się w niewspółmiernych nakładach wysiłków i uwagi, jakie poświęca się sprawie rozwoju myśli politycznej a, z drugiej strony, sprawie popularyzowania ducha opozycyjności, protestu, niezgody. Dorobek teoretyczny ruchów niezależnych jest przecież rażąco niewielki w porównaniu do ich praktycznych osiągnięć. Gdy sprawa upowszechniania i pogłębiania przemyśleń opozycji zostanie poddana kontroli nastrojów publicznych, upodobaniem ulicy, rzecz może stać się wręcz kłopotliwa.

Organizatorzy manifestacji patriotycznych, co jest oczywiste, muszą dbać o to, by mowy były proste, zrozumiałe, słowa chwytliwe, hasła popularne. Jest więc nieodłączną cechą wieców to, że sprzyjają one prymitywizacji myśli politycznej, upraszczaniu tradycji i programów.

Takiego odium nie może ściągnąć na siebie ten, kto myśli o działal-



ności (Kragofelowej), drodze zmian uwolnionych, posiadanych, czy to polegających na perspektywizowaniu, stopniowym rozwoju świadomości obywatelskiej i sił patriotycznych, czy to na uzdrawiającej reformie systemu. Jest więc nieuchronne, że na wiecach pryma będzie wiódł trybun uliczny, reprezentant tłumu. Zarysowuje się groźba, że polityka ruchów niezależnych stanie się w niebezpiecznie silnym stopniu polityką ulicznej gawiedzi, że jej charakter zostanie określony przez słowa narwowa i prądkie, różnie odważne, co nieprzemysłane, uczucia gwałtowne i nieakrywane.

Już teraz są jednak widoczne w środowiskach ruchów niezależnych te nawyki, skłonności, która, gdy tylko myśl polityczna tych środowisk zostanie wydana na przypadkowe krystalizacje - już szczęścia, przypływ czyjejs inwencji, natchnienia, krasomówczy talent, patriotyczny zapak, gdy tylko saram politykę tę zaznaje niepodzielnie dyktować imperatyw uczuć - mogą się przekształcić z największą łatwością w agubne prawidłowości, skutecznie ograniczające szanse rozwoju niż demokratycznych.

Polityką, która odwołuje się do szerszych nastrojów, kieruje potrzeba widowiskowości, ta żąda efektu, przecie! zrozumiała, gdyż nie ma bez niej prawdziwych sukcesów; powoduje wszakże, że najchętniej stosuje się te metody działań, które przychodzi najłatwiej powtórzyć, a o których wie się, że już kiedyś wywarły niezbędne wrażenie. Tym prostym sposobem polityka metod spektakularnych, w swej skłonności do odwoływania się do efektów sprawdzonych, nieuchronnie zaczyna je trywializować. Demonstracje, i owszem, są w działaniach obliczonych na aktywizację opinii publicznej środkiem niekiedy wręcz nie do zastąpienia, zalety ich są znane. Gdy raz się jednak powiedzie manifestacja w dobrze pomyślanej sprawie, z miejsca powstaje groźba całej serii demonstracji dla demonstracji, organizowanych bez jaśniejszej potrzeby.

Te prawo dewaluacji środków raz zastosowanych z pomyslnym wynikiem jest już dobrze znane. Wystarczy jeden protest sygnowany znacznymi nazwiskami, który wywrze w świecie wrażenie i odniesie skutek, czy choćby tylko zapisze się na trwałe w historii, by posypała się lawina listów w sprawach czasem mniej ważnych. To samo a głodówką. Skutki takiego nadużycia metod nie są naganne, są jednak wątpliwe. Gdyż przy okazji dewaluuje się znaczenie protestu, podpisy mają coraz mniejszą rangę, głoduje się przy lada okazji a wszystkie te gesty stają się z czasem swoistym acte gratuit - przedsięwzięciem, które mało znaczy, niekiedy nie zgoda.

Prawdziwe niebezpieczeństwo płynące dla opozycji z nadużycia spektakularnych metod działania na tym więc polega, że skutkiem inflacji metod, pociągnięcia, które w zamierzeniu miały mobilizować i wychowy-

wal szersze kręgi społeczne, niast poruszać i uczyć, mogą, ze względu na ich nadmierną czułość, przybrać z czasem opaczny charakter - przekształcić się w opozycyjny rytuał, gesty jałowe i tanie, swoistą symbolikę dysydantów, izolujące znanie ich społecznej ekscentryczności. W natłoku manifestacyjnych akcji może ulec zatarciu sens i ranga spraw, o jakie w nich chodził a raz po raz powtarzające się widowiskowe wystąpienia sfer opozycyjnych zwolna staną się li tylko pokazem specyficznego charakteru tych grup, demonstracją ich społecznej odrębności, odosobniającymi poplami niezbyt już dobrze wiadomo jakich to onót i zalet i w związku z jaką to pilną potrzebą publiczną demonstrowanych.

Tak oto prawa działania ulegają nie tylko metody działań, ale sama "Sprawa". Zwłaszcza kiedy w chaosie takich przedsięwzięć nie sposób się dobić myśli politycznej lub choćby tylko wyraźnej przyswiecającej idei, systematycznego planu.

X X X

Cel bowiem obecnej polityki ulicznej naszej opozycji nie został - można podejrzewać - nigdy i przez nikogo jasno określony. Sprawa jest jednak głębsza. Skoro częstym zjawiskiem się staje dziś niemal już systematyczne utrudnianie sędziennych prac ruchów niezależnych - zadań, na których stoi przecież najpoważniejszy dorobek całej opozycji - przez nieustannie podejmowane akcje uliczne, to być może należałoby mówić o braku podstawowego konsensusu w obozie sił demokratycznych co do kolejności i ważności inicjatyw, o tym, że nie ma wystarczającego porozumienia na temat najszerszej strategii ruchu i jej najogólniejszego kierunku.

Jeśli jednak dochodzi do sytuacji, w których normy i obyczaje polityczne opozycji objawiają całą swoją chwiejność, nie znaczy to wcale, że dzieje się tak pod wpływem li tylko kontestacyjnej gorączki. Działają również przyczyny inne, znaczenie poważniejsze. Stało się bowiem lub grozi, że ruchy niezależne, które nigdy przecież nie łączy swoich kłopotów z myślą polityczną, rozkręciły ponad swoje możliwości koniunkturę na własny styl propagandowy, teraz zaś ta nieledwie z przypadku zrodzona ideologia zaczyna określać taktykę i zachowania publiczne tych środowisk a także niebezpiecznie rzutować na ich stosunek do rzeczywistości i całej ich bieżącej polityki.

Oto od dłuższego już czasu ugrupowania niezależne, obok zwykłych swych zajęć jeły poświęcać coraz więcej energii i czasu propagandzie niepodległościowej. Jest to objaw ze wszech miar pożądanym, gdyż troska o imponderabilia jest bodaj najważniejszą ideą regulatywną polityki obliczonej na mobilizowanie szerszej opinii.

Emigracja, która koncentruje wysiłki na podtrzymaniu w zniewolonym kraju narodowej pamięci bywa niekiedy wprost skazana na to, by o nie-



podległości prawie jak najwięcej. Ale także i wtedy zasługi jej rozlicza się na ogół nie według ilości słów, które gdzieś tam, hen, daleko, padły na temat potrzeby przywrócenia wolności, lecz według tego, co dla tej sprawy realnie zrobiono. Zważa się więc wtedy na dzieła, które pomnożyły kulturę narodu i pozwoliły przetrwać niezawisłej myśli, na światłe dysertacje i ruch wydawniczy, finansowe wsparcie, polityczne rady, skuteczne naciąki, jakie zdołano wyrzucić czy to na rządy w kraju, czy na opinię świata, państwa poszczególne.

Podobnie jest w kraju. Tu wszakże, gdy słowo za niepodległością staje się niezbędne, jednak nie wystarcza. A przecież licytacja na postawy i stanowiska niepodległościowe, która rozpętała się w środowiskach ruchów niezależnych doprowadziła do tego, że ktoś, kto pragnie być w zgodzie z epozycyjnym vox populi dziś nie może być za niczym innym, jak tylko za pełną, rychłą i bezwarunkową niezawisłością państwową polskiego narodu.

Skutki takiej niepodległościowej pryncypialności mogą być nieoczekiwane. Wnet przecież zaczyna gromko rozlegać się głoszona, na razie jeszcze niepewna, jeszcze wyciszana, że praca umysłu, twórczość artystyczna, zwykłe codzienne prace a także bardziej umiarkowane działania, realnie przecież powiększające obszar istniejących swobód, wszelkie korzyści cząstkowe i taka taktyka, która bierze w rachubę społeczne nawyki i uwarunkowania sytuacji kraju a mimo to smierza, drogą zmian stopniowych, presji nieustannej, do osiągnięcia coraz wyższego stopnia ubywalności najszerszego ogółu, że zatem wszystkie te wysiłki, starania, są na zbyt poziome, na zbyt rozpraszające siły narodowe, usypiające wolę i energię społeczną i że wręcz stoją na przeszkodzie dążeniom najwyższym, gdyż wyzwoleniym, niepodległościowym.

Duch maksymalizmu - leoz ten zapomniany, hurrapatriotyczny - oto, co się może zrodzić z zaślepionych uczuć, zaklęć wolnościowych, tych formuł magicznych, których nadużywają dzisiaj z całą niewinnością ruchy niezależne. Baczyc zatem trzeba, by ten odradzający się na naszych oczach nowy maksymalizm, nie urzekł swoją swodliwą czarodziejską mocą niezależnych polityków, by ten ciśn, który - obawiać się można - już po trosze zaczyna wypełniać kontury polityki ulicznej naszych sfer opozycyjnych pozostał taki, jaki na szczęście jeszcze na razie jest - chwiejny, chybotliwy, pełgający.

Już teraz, patrząc na mury tego miasta pokrywane się tatuażem hasel politycznych, żywcem z historii przeniesionymi symbolami, dosadnymi sformułowaniami, emblematami Polaki Walczącej, patriotycznymi kotwicami pod antyrosyjskimi i propolskimi sloganami trudno pozbyć się mieszanych uczuć.



Znaki te, wieńce i sztandary, symboliczne groby ofiar komunizmu i wizerunki wielkich przodków narodowej sprawy uprzytamniają, ile odwagi i pamięci przybyło w ostatnich latach w tym mieście i jak głęboko wkrzeniło się ono na powrót w swoją tak brutalnie odjętą, heroiczną przeszłość.

Lecz walka o dusze mieszkańców tego miasta rozpoczęta na Placu Zwycięstwa winna być także toczona w przybytkach bardziej kaneralnych i w innych wymiarach. Bez intelektualizacji opozycyjnego życia politycznego, bez dbałości o poziom kultury politycznej i szerokie horyzonty myślowe, nowe oblicze Warszawy, tego przedziwnego miasta-agory, już na pewno znaczyć będzie pospolitość, duchowa gnuśność i pozbawiony ureków, wysyty szans na barwniejszą przyszłość, stan nerwowej, zgiełkowej i otumaniającej tymczasowości.

## CZYTANIE MIŁOSZA: SUWERENNOŚĆ GŁOSU

W bliskich mi wierszach Miłosza odnajduję wsparcie dla postawy, która nie godzi się na uwięzienie ani w czystym konkreocie, ani w czystej teorii. Starą się odnaleźć miejsce pośrednie, nie zamykające dostępu do żadnego wymiaru rzeczywistości. Ta postawa nie stanowi rozwiązania sprzeczności, rodzi bolesne niedopasowania, realizacja niebezpieczeństwa. Skrajności kuszą przecieć nadal. Miłosz ulegał zwłaszcza platońskiej pokusie /w jej heglowskim wcieleniu/. Objawiał mu się, wstrząśniętemi, Duch Dziejów, który potrząsał aż narzbyt realnymi głowami ofiar. Przemawiał czasem wizją stuleci, cywilizacji zamierzającej ku upadkowi, a czasem sofistatami warszawskiego Fausta, zafascynowanego przemocą, która przetoczyła się przez polskie równiny.

Z ratunkiem przychodziła poezja, buntowała przeciw sofistatom. Wyprowadzała konkretność głosu z oparów abstrakcji. Może to służyło pokusy nadaje momentom zwycięstwa tę nośność; może dlatego mają dla mnie taką wagę, że są dotarciem do rzeczywistości w walce. To jest przykład głosu, który potrafi unieść wieńczące doświadczenia i otworzyć nowe perspektywy, ukazać tyle, ile się da zamknąć w wiernym słowie. Miłosz podejmuje, także za mnie, mozolną pracę: wciąż umacniać władzę mowy, uczyć się języka, aby znał własne granice i własne obowiązki, aby nie narzucał nam obcych praw i konieczności, aby pomagał, a nie przeszkadzał w widzeniu:

Chcę nie poezji, ale dykcji nowszej.  
Bo tylko ona pozwoli wyrazić  
Tę nową czułość, a w niej ocalenie  
Od prawa, które nie jest naszym prawem,  
Od konieczności, która nie jest nasza,  
Choćbyśmy nasze nadalili jej imię.

Z rozbitych zbroi, z cezu porażonych  
Rozkazem czasu i wziętych z powrotem  
Pod jurysdykcję pieśni i fermentów,  
Nasza nadzieja. Tak, połączyć w jedno  
Kosmatość bobra i zapach sitowia  
I zmarszczeni słońca leżącej na dźbanie  
Z którego ścieka wino.

"Traktat poetycki"

Na kartkach książek Miłosza szukałem dykcji nowej, złaczenia w jeden wzór rozproszonych odłamków rzeczywistości. Jego poezja nadaje słowom nowego blasku. Ostatnie, amerykańskie utwory, zobaczone już tu, nad Zatoką San Francisco, mienia się przedziwem bogactwem i trafnością polszczyzny. Jak wyczuła się zmysł języka? Gdzie biją źródła?

— bo nie zrzeczność ręki

Pisze poezję, ale wody, drzewa

I niebo, drogie nam, chociażby ciemne,

Które widzieli nasi rodzice i rodzice rodziców

I rodzice tych rodziców, od prawiaka.

"Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada"

Jak to się dzieje, że oddalenie od ziemi ojczyźnej zazwyczaj prowadzące do obumierania rodzimej mowy, do przyjęcia nowych narzędzi, u ludzi wyjątkowych miewa też wyjątkowe, odwrotne skutki. Wygnanie jest dla pisarza ciosem, ale niekiedy - wiem, są to sytuacje nadzwyczajne - oddalenie wyostreza słuch. "Pisarz umiara z dala od ziemi ojczyźnej", ten frazeo-ostrzeżenie bywa prawdziwy, czasem jednak następują zaskakujące krystalizacje. Nie powinno to dziwić nikogo, kto zna literaturę polską. Tyle jej dzieł zasadniczych powstało na wygnaniu. Słowacki ledwie wszedł w męskie lata, gdy wyjechał na zawsze z kraju. Dojrzały Krasiński bywał w Polsce jedynie rzadkim i niechętnym gościem. Mickiewicz osiągnął na emigracji wielkość i przejrzyistość słowa. Pisarz może być samotnikiem, nie opuszczając granic. Jego duchowy świat różni się od otoczenia. Stara się te różnice utrwalić w słowie, a przez to przekazać innym.

We współczesnej literaturze polskiej dwóch twórców dało mi ze szczególną siłą odczuć, czym jest odwaga i precyzja słowa. Obaj osiągnęli czystość tonu na wygnaniu. Gombrowicz i Miłosz. Pierwszy wyznał czył perspektywy prozie, drugi poezji. Ich książki otwieram, kiedy szukam słowa skusznego. Pomagają mi widzieć świat. Dane mi było spotkanie obu, ale ważniejsze od migawkowych spotkań osobistych były spotkania z dziełami. Wyprawa nad Zatokę San Francisco trwała przecież długo. Podróż wokół mojego Miłosza; saleznie od zamieszkania się perspektywy zmieniało się wzajemne położenie utworów; dzięki czemu mogłem dostrzec ich nowe barwy. Ważna dla mnie podróż, pozwalająca zrozumieć także inne wyprawy, współformująca ich sens. Jeżeli płynąc po Zatoce San Francisco prowadziłem rozmowę od realnej nie mniej realną, jeżeli później tak często zaglądałem do wykluczonego w Berkeley Miłosza, to mi wierszy i szukałem w nim wsparcia, to dlatego, że Miłosza spoty-



każem na swojej drodze od dawna. Od dawna toczyłem z nim długie dyskusje. Od dawna jego wiersze odczarowały mi świat.

Zewnętrzne bariery, które odgradzały mnie od tych książek, były utrudnieniem, ale wcześniej też budziły specjalne zainteresowanie. Pierwsze spotkanie pamiętam dziś jeszcze z przejmującą dokładnością. Było to wiosną 1956 roku. "Zawolony umysł" czytałem przez ramię starszemu bratu. Siedzieliśmy na schodach naszego domu. Zapomnieliśmy kluczy od mieszkania. Miłosa mógłby mieć pretensję do mojej lektury: brat czytał szybciej ode mnie, dwunastolatka, nie czekał z przekładaniem kartek, więc opuszczałem po kilka linijek. Później wracałem do tej książki, kłóciłem się z nią, drażniła mnie demonizacja duchowej mądrości i kapitulacji. Ale pierwsza lektura zrobiła największe wrażenie. I może była najważniejsza. Nie obchodziły mnie literackie porachunki, nie fascynowały przygody dramatu, ani działania Ketzmana. Z metafizycznych zdań dobiegał krzyk rozpacz, nakaz wierności wobec sumienia, pamięci o zmiążdżonych. Rozdział o Bałtach przemówił trwale do wyobraźni.

Trudno się dziwić, że szukałem utworów tego pisarza ze szczególną ciekawością. W rocznikach "Skamandra", ocalałych z przedwojennej biblioteki stryja, natrafiłem na wiersze Miłosa. Wśród nich dwa były mi wyjątkowo bliskie. "Boki", których udrapowany katastrofizm wówczas mnie urzekał. Odnajdywałem tajemnicze połączenie wzruszenia, smutku i chłodu, połączenie, które na bardzo młodą wyobraźnię działa ze specjalną siłą. Ten sam nastrój, oczyszczony, pełniej wykrytalizowany, przemawiał z "Obłoków" /nazywały się wówczas "Przebudzenie"/. W tym wierszu, nadal mi bliskim, odczytuję dzisiaj wiele motywów późniejszego Miłosa - konfrontacja z naturą, raniąca próba dotarcia do kału świata, daremny wysiłek zerwania zasłony skrywającej prawdę łożni:

Obłoki, straszne moje obłoki,  
jak bije serce, jaki żal i smutek ziemi,  
chmury, obłoki białe i milczące,  
patrzę na was o świecie oczami łez pełnemi  
i wiem, że we mnie pycha, pożądanie  
i okrucieństwo, i ziarno pogardy  
dla snu martwego splatają posłanie,  
a kłamstwa mego najpiękniejsze farby  
zakryły prawdę. Wtedy spuszczałem oczy  
i czuję wicher, co przeze mnie wieje,  
palący, suchy. O jakże wy straszne

jestecie, stróża świata, obroki! Niech zasną,  
niech litościwa ogarnie mnie noc.

Przed wszystkim fascynował mnie w tych utworach nowy, odmienny głos, zdobywający się na szczerość wobec siebie, spragniony prawdy o świecie, jakkolwiek trudnej i niedosiężnej. Zapamiętałem ten głos. Szukałem z nim spotkań. Nie było to łatwe. Zdołałem dopaść Miłozza na dłużej jesieni 1960 roku. Poznałem, uczniowie maturalnej klasy, z wycieczką do Biblioteki Narodowej, jeszcze na Rakowicką. Oprowadzano nas po katalogu. Zajrzałem od razu do wiadomego pudła pod literą M. Znalazłem, czego szukałem. Karty nosiły niepokojący stempel. Nie zdradziłem się z odkryciem, tylko spytałem, kto może korzystać z Biblioteki i jakie są ograniczenia w dostępie do zbiorów. Nie ma ograniczeń.

Wróciłem następnego dnia, oddałem legitymację szkolną i z pewną treścią złożyłem rewersy na "Zdobycie władzy" i "Dolinę Issy". Książki otrzymałem. Chodziłem odtąd do Biblioteki odcześnie. Zachowałem mi się zeszyt z notatkami. Wypięane długie fragmenty "Traktatu poetyckiego", cytaty ze "Zdobycia władzy" i ze "Zniewolonego umysłu". Brałem coraz więcej książek. Wróciłem do pierwszego tomu "Dzienników" Gombrowicza, który już znałem, aby przypomnieć sobie polemikę z Miłozsem. Składałem nowe rewersy z coraz bardziej nieprawomyślnymi tytułami. Gdzieś po dwóch tygodniach zauważyłem niechętnie spojrzenia bibliotekarzy. Wreszcie powiedziano mi, że książek tych nie wolno pożyczać i w ogóle po co są mi potrzebne. Zmysliłem, że przygotowuję w szkole referat o poezji okresu międzywojennego i dlatego muszę poznać twórczość Miłozza. Pozwolono mi jeszcze na kilka dni zachować "Traktat Poetycki" i "Światło dzienne". Idylla się skończyła. Co jednak przeczytałem /i przepisałem/, to moje.

Największe wrażenie zrobiło wówczas "Zdobycie władzy". Temat pasjonował, historyzoficzne wywody wciągały i przerażały. Po raz pierwszy zobaczyłem kogoś, komu udało się, zafascynowanego miazdzącą potęgą wschodnich cesarzy. Później udało mi się podejść z dystansem do tej politycznej autobiografii, pisanej pod ciśnieniem wypadków i dziś już zapewne autorowi raczej obcej. Wówczas nie potrafiłem znaleźć właściwych argumentów, nie potrafiłem bronić się nie tyle przed tezami, co przede wszystkim przed wyborem "pola obecności", które zarażony hallowekim ukąszeniem Miłozz narzuca czytelnikowi. Ale już wówczas wypisałem sobie cytaty z "Traktatu Poetyckiego" o potrzebie nowej dykcji, która potrafi przynieść ocalenie "Od prawa, które nie jest naszym prawem, od konieczności, która nie jest naszą, choćbyśmy nasze nadal.

jej imię", cytata, jak sądzę, kluczowy dla zrozumienia duchowego wyzienia Mikołaja.

Dziwny paradoks, choć mniej zaskakujący przy głębszym zastanowieniu: jedyny - po Brzozowskim - poważny pisarz polski, który głęboko przeżył marksizm, to autor "Zdobycia władzy", "Znieswolonego umysłu", także "Rodzinnej Europy" i "Człowieka wśród skorpionów" /ale tylko w pewnej mierze autor "Światła dziannego", "Doliny Isary", "Kontynentów"/. W "Traktacie postyckim" widzę wyraz buntu. Jeszcze hasła zaczerpnięte bywają z heglowskiego słownika, ale wizja jest już cudownie konkretna, objawiająca jedność świata i świadomości:

Duchy powietrza i ognia i wody  
 Bądźcie więz przy nas, ale nie za blisko.  
 Śruba okrętu już od was oddala.  
 Mijamy strażę mewy i delfina.  
 Potem nadzieja, że Neptun z trójzębem  
 Wynurzy brodę, wlokąc orszak nimf,  
 Nie jest spełniona. Nie, tylko ocean  
 Wrę i powtarza: daremnie, daremnie.  
 Tak mocna nicość, że ją zwyciężamy  
 Próbując myśleć o kościach korsarzy,  
 O atłasowych brwiach gubernatorów,  
 Które przebił krab, sięgając mięsa.  
 Raczej nam ścinać metal balustrady,  
 W zapachu farby, mydła i lakiaru  
 Szukać pomocy. Trzeszczy w nitach pudło,  
 Niesie szaleństwo nasze i niejasność,  
 Wiarę ukrytą i brud subiektywny  
 I białe twarze poległych bez domu.

W tekstach naznaczonych heglowskim ukąszeniem raziły mnie napady historycznej pychy /czy historycznego masechizmu, bo to na jedno wychodzi/. Biada tym, którzy nie rozumieją, którzy płyną przeciw prądowi dziejów. Biada grupcom. Nie potrafią dostrzec Wielkiego Mechanizmu, są nie-ufilozoficznieni, spotka ich za to kara. Bolesne urzeczenie tak rozumianą "dialektyką" najwyraźniej doszło do głosu w rozdziale o Tygrysie z "Rodzinnej Europy". To pierwsza książka Mikołaja, którą zdobyłem na własność. Mogłem ją czytać wielokrotnie. Było w niej coś frapującego, ale była też pewna sztuczność tonu. Książka pisana dla Zachodu, ciągle przymierzająca się do tego, jak Zachód ją zrozumie. Przedstawiono Europę nie całkiem rodzinną. Woląłem wysnania Gombrowicza, tak po pańsku swobodnie wobec zachodnich mózów czy anty-móz. Wyczuwałem



czasami w "Rodzinnej Europie" postawę uboższego krewnego, ambitnego, wstydnącego się własnej tradycji i nie całkiem przekonującego ten wstydnący.

Rozdział o Tygrysie czytałam ze szczególnie mocnym wewnętrznym sprzeciwem. Przyglądałam się "heglowskiej truciznie", która tak skutecznie maści nawet dość inteligentne umysły, że nie chcą dostrzec rzeczywistości. Właśnie: pycha, zakłamanie, strach doprowadza do tego, że nie potrafią widzieć otaczającego świata. Zdrowy rozsądek uważają za reakcyjny. Upaja ich /bądź pociesza, to zależy od stopnia zakłamania/, że właśnie oni są w awangardzie dziejów, zrozumieli Wiskę Mechanizm, nie zostali wygnani z Nowej Rzeczywistości. Być wygnaniem to znaleźć się na śmietniku historii. Mikoś pisarz "Rodzinna Europa" na wygnaniu, tym boleśniejsze było rozdarcie. W postaci Tygrysa przedstawił uskrąjcioną wersję pewnej pokazy, to była kuracja odwykowa. A zresztą bronił go przed popadnięciem w zaślepienie intuicyjny kontakt z rzeczywistością, poezja. W wierszach mitologia opadała. Doktrynalne rozumienie dziejów, wprowadzanie ich do jednowymiarowego schematu na tym terenie nie mogło obowiązywać:

Dotychczas mówią twoje usta:  
Rzecz ludzka nie jest zakończona.  
Kto dziejów doskonałość uzna  
Bezbroną śmiercią niechaj skona.  
Odwagi synu. Bierz okręty,  
Na linach śmiesznej floty prowadź  
I mrówczych mocarstw dawne błędy  
Obszarom chmur daj kamienować.  
Dopóki niebo jest i ziemia  
Dla nowych Miast gotuj przystanie.  
Poza tym nie ma wybaczenia.  
Będę się starać, mój dziekanie.

"Do Jonatana Swifta"

Z Mikośszem-essistą toczyłem spór /a i on sam zmagał się ze sobą/. Jego opinie wydawały mi się nieraz jednostronne, uzależnione od antagonisty, będące zbyt spętany negatywnym odbiciem cudzych sądów. To nie była suwerenność głosu, której szukałem. W prozie odnajdywałem ją u Gombrowicza, na kartach "Dzienników". Mikoś-poeta pomagał mi widzieć rzeczywistość w całym jej bogactwie. Jego głos wciąż ulegał oczyszczeniu i wzmocnieniu. Może przeniesienie się do Berkeley i oddalenie od paryskich dysput sprzyjało kryształizacji. Amerykańskie

wiersze pozbawione są politycznej czy ideologicznej tezy. Działają tonem obrazem, ruchem myśli, są przekazem wyobraźni sensownej. Nie da się ich sprowadzić do formuł. Wybrane słowa zdają się konieczne, podtykowane przez Głos. Pamiętam do dziś, z jaką siłą spadły na mnie początkowe linijki "Gucia zaczarowanego", gdy czytałem je we wrześniowym numerze "Kultury" z 1963 roku:

Pochyłe pola i trąbka.

Ten zmierzch i nisko leci ptak i błyśły wody.

Rozwinęły się żagle na brząsk za cieśniną.

Wchodziłem we wnętrze lili. mostem złotogłowi.

Dane być życie ale niedosiężne.

Od dzieciństwa do starości ekstaza o wchodzie słońca

We wczesnych wierszach Miłosza, choćby tak różnych i wspaniałych, jak "Bramy Arsenalu", "Kołysanka", "Powolna rzeka", ironia miesza się z uniesieniem, między słowem a wizją istnieje dramatyczny dysonans - wołanie o zbliżającej się katastrofie, wyrażone w bogactwie tonów, form, obrazów. Słychać zmaganie się wielu głosów. Kiedy katastrofa nastąpiła, głos uległ uspokojeniu, oczyszczeniu, czasem przeradza się w szept o winie tego, któremu dane było przeżyć. Najbliższe mi wiersze powtarzają prawdy elementarne, dotykają ręką cłaczącącego światła, aby uratować się od rozpacz. Słowo ma niezrównaną siłę prostoty pozwalającej trwać mimo klęski:

Od lat, od lat, ta sama, niepojęta,  
Choćbym za zrozumienie całe życie dał,  
Równina pod chmurami niskimi rozpięta  
Smugami pyłów i zbożowych fałd.

Od lat, od lat, ta sama, niepojęta,  
Z gromadami kobiet na kartofliskach,  
Z półkiem, gdzie koniczyzna mieni się niezjęta,  
Z komarów długą akcją przy końskich pyskach.

"Równina"

Po wojnie jakże trudno było umocnić suwerenność głosu. Miłosz podejmował wyzwania współczesności, mował się z ideologią, historią, filozofią. Poezja pozwalała mu wyrwać się spod władzy schematów. Przyносиła nową dykcję, a z nią ocalenie. W amerykańskich wierszach poprzednie doświadczenia nabrały nowego blasku. W późnych dziełach czas i przestrzeń wezwane zostały na służbę poezji pełnej, nie bojącej się czerpać materiału z wielu źródeł. Tyle kontynentów, epok, języków, ludzi, problemów przetworzonych, ale ukazanych z precyzją objawicielskiego szcze-

góru. Poemat "Po ziemi naszej" był chyba pierwszym tak pełnym hymnem na cześć języka, wyobraźni, pamięci /z ciągłym zrozumieniem ich kruchości, kuszącej niedościgniętości/:

A słowo z ciemności wyjątkowa było gruska.  
 Krążyłem dokoła niego podskakując to próbując skrzydzątek  
 Ale kiedy już-już piżem z niego słodycz, oddalało się  
 Więc ja do cukrowki - wtedy kąt ogrodu,  
 zżuszczone białe farba drewnianych okiennic,  
 krzak derenia i szelast przemienionych ludzi.  
 Więc ja do szeptanki - wtedy zaraz pole  
 za tym, nie innym płotem, ruczaj, okolica.  
 Więc ja do ulganki, do bery i do bergamoty  
 Na nie. Między mną i gruszką ekwipaż, kraje.  
 I tak już będą żyć, zaozarowany.

"Kiedy boli, powracamy nad jakieś rzeki"... Późna twórczość Miłosza jest takim powrotem. Nie do krainy nostalgii ani do idealnego domu bezczasowości. Podwójna jest przestrzeń i czas co najmniej podwójny. Powracamy nad Iseę i jesteśmy nad Sacramento. Od "Gucia zaczyna rowanego" /tak lubikiem zagiądać do tego tomiku, aż zginą śmiercią walecznych podczas rewizji - gdzie jesteś, Guciu? czy tęsknisz za twoim panem? Miłosz pamięcią wierną i wyobraźnią precyzyjną buduje własną kraję. Jej obrazem najpełniejszym jest poemat "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada". Ale przecież zarys tego kraju odnaleźć można w "Traktacie poetyckim", a zapewne i jeszcze wcześniej. "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" opisuje duchową ojczyznę, zaprzeszły czas krajów niedokonanych, ich stan obecny i przyszłe perspektywy: "Jest to kraina, o której pewien znamienity alchemik napisał, że znajduje się tam, gdzie ją umieszcza pierwsza i najważniejsza z potrzeb naszego umysłu, ta sama potrzeba, która powołała do życia geometrię i nauki ścisłe, filozofię i religię, moralność i sztukę. Napisał również ów alchemik, a przy tym scjusznik Descartes'a, że nazwa krainy może brzmieć Saana albo Armageddon, Patmos albo Lethe, Arkadia albo Parnassus".

"Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" to komentarz do drogi znad brzegów Niewiaży na brzegi Zatoki San Francisco, drogi prowadzącej przez ludzi, obyczaje, wierzenia, języki - tak, poemat o niezastygłym głosie, o umiarkowaniu władzy mowy, mimo klęsk. Polilog kultur - nazwał go Tomas Venclova. Mieszają się języki, style, proza i mowa rymowana, cytaty z encyklopedii i z Biblii, staropolszczyzna i łacina, Litwa



Ojczyzna i Kalifornijski Dom, obrona słowa i jego bezrafiności:

... ścisną się pasem, męstwo ujął do końca,  
Dlatego tylko że dzień i różnie konia rydzego.

O równiny. Błyskające pociągi mgliste.

Idą dziesi pustkowień, szaro za wioską oczuchońców.

Royza rotmistrz umarły. Mowczan. Wichry gniewliwe.

A złorzeczeństwo niezbożnych bardzo gorzkie jest ukąszenie.

I nigdy już nie uklękne nad rzeką w małym kim kraju

Żeby co we mnie kamienne rozwiązało się,

Żeby nic już nie było prócz moich łez, łez.

.....

Pod granatową chmurą z błyskiem konia rydzego

To co było niejasne poznaje.

Spada odzież mojego imienia

I gwiazdy w wodach maleją.

Znowu tamten mienazwany mówi za mnie

I otwiera znikające senne domy.

Żebym pisał tutaj w pustkach

Ze morzem i ziemią.

Góć zdążam więcej powiedzieć niż to, że w tych słowach, pomniku pamięci i wyobraźni, słyszę głos po Mickiewiczowsku celny? Z pomocą znów przychodzi Miłosz. Jego dwa ostatnie tomy esejów, tworzące dopełniającą się całość, "Ziemia Ulro" i "Ogród nauk", stanowią jakby aneks do poematu "Gdzie wschodził słońca i kędy zapada". Nigdy dotychczas eseistyka Miłosza nie wydała mi się tak szczera i tak doskonała. Choć "Widzenia nad Zatoką San Francisco" zbliżają się do tej postawy wyznania osobistego i prostego. Jeszcze w "Prywatnych obowiązkach" fobie przeszkaniają czasem horyzont, podważają sprawiedliwość sądów, suwerenność głosu. "Ziemia Ulro" jest książką wielowarstwową, oszalania bogactwem treści, a jednocześnie starannością kompozycji. Można ją czytać na wiele sposobów. Miłosz przyznaje się do odmienności tomu. W tej prozie będzie mówił pełnym głosem. "Kim byłem? Kim jestem teraz, po latach, tutaj na Wiedźwiedzin Szczyście, w mojej pracowni nad Pacyfikiem? Długo odkładałem opowieść o niektórych moich duchowych przygodach, napomykając o nich, ale niechętnie i powściągliwie. Aż spotrzałem, że jest późno i w dziejach naszej zmalałej Ziemi, i w dziejach jednego żywota, i że pora byłoby przezwyciężyć tę nieufność do czytelnika, która zawsze dawała mi się we znaki".

"Ziemię Ulro" czytałem przede wszystkim jako autobiografię, opowieść o duchowych przygodach Miłosza: jak walczył o wiarygodność i

suwerenność głosu, jacy mu w tym pomagali przewodnicy. Sankcjam wiadrunku autora, mniej interesowała mnie szlachetność jego opinii o Mickiewiczach czy Blake'u. To są przewodnicy, których można zastąpić innymi, ważniejszy wydaje mi się kierunek wewnętrznych poszukiwań. Ziemia Ulro: świat ludzi bezdomnych, wyzutych z wyobraźni, odciętych od tradycji, nie wierzących w sens przyszłości, ludzi nie potrafiących porozumiewać się prawdziwie, pozbawionych głosu. Przed tymi zagrożeniami Miłosz szuka obrony. Pragnie przedostać się ku innej krainie, gdzie słowo odzyska sens, gdzie przeszłość i przyszłość będą żywe. Nie ku utopii się kieruje, nie ku przeszłości idealnej czy idealnej ziemskiej przyszłości. Czy imię tej krainy brzmięć będzie Landia, Pathmos czy Parnassus? Miłosz nie daje ostatecznych odpowiedzi.

Ziemia Ulro, jak ją rozumiem, to nie konkretna kraina geograficzna ani nazwa konkretnej formacji historycznej, to możliwość duchowego wyjaśnienia obecna stale w życiu zbiorowości i jednostki. Miłosz jest na to niebezpieczeństwo szczególnie wyczulony: "Tragedia mojego życia została mi odcznięta w młodym wieku jako napięcie dwóch równoważnych i przeciwstawnych sił - afirmacja, otwarcie się, dar, przeciwko negacji, wycofaniu się, samokontroli". Dlatego podjęty przez niego wysiłek sensownego zorganizowania duchowej przestrzeni, jego twórczość, jest tak przejmującym przykładem walki o sensowność głosu. "Ziemia Ulro" kreśli genealogię tej walki, genealogię Miłosza.

Opisuje pierwsze urzeczenia wyobraźni, dziecinne spotkanie z potęgą Erosa. Kupiono mu, sześciolatniemu, tanią zabawkę. "Kochać się w drewnianej wiswiórze! A czyż nie kochałem się później w ilustracji, w ptaku, w poecie, w słowach jednej linijki spiętej rytmem?" Na Ziemi Ulro wyobraźnia zamiera. Triumfuje świadomość odcięta od źródeł, pozbawiona dostępu do wartości, pogrążająca się w bezsensie. Reakcja obronna przyjmuje różne formy: "Sądzę dzisiaj, że zwiadziłem niezgorzej, w samym sobie, okropności Ulro. Moim nieszczęściem było zawsze Widmo, czyli bardzo silne ego, zamykające mnie w państwie Urizena, gdzie za ważne wolno poczytywać tylko to, co ogólne, społeczne, statystyczne itd. Biedna moja Urthona czyli Wyobraźnia próbowała mnie wyrwać z więzienia, ale natrafiając wszędzie na zamknięte drzwi ryła podziemne tunele, aż udawało jej się niekiedy, np. w "Trzech zimach", mnie dopaść".

Po ratunek Miłosz zwraca się ku tym, którzy dysponowali możliwie dużą siłą głosu, ku dziełom oświecającym oś z sensotwórczej/współtwórczej/ władzy ludzkiej wyobraźni. Historię kultury traktuje jako żywe dziedzictwo. W okresach dekadencji musiał kierować się ku prze-

szości, bo przeszłość bliżej i głębiej do nas przemawia niż dzieła współczesne. "Literatura w powyższych okresach ma zdolność sięgnięcia do zagadnień dla człowieka podstawowych. W okresach niepomysłowych traci tę zdolność i jakby zapomina, że takie zagadnienia istnieją".

W "Ziemi Ulro" i w "Ogrodzie nauk" szukałem duchowszej autobiografii pisarza, który w sposób wyjątkowo dramatyczny zmagając się z problemem głosu. To są studia o przesileniu władzy mowy w postromantycznej kulturze. Zawierają kilka niezwykle myśli o związku języka z rzeczywistością duchową, o stylu duchowym, ograniczeniu pisarza przez styl epoki. W czterostronicowym szkicu o Mickiewiczu z "Ogrodu nauk" znalazłem na temat historii literatury polskiej więcej rzeczy ważnych niż w wielu grubych tomach. Jakże chciałbym przeczytać rozwinięcie i uszczegółowienie tych pomysłów, napisaną przez Miłosza "Historię polskiego głosu", dzieło literatury z punktu widzenia tego, jak dużo rzeczywistości mogła w danej epoce udźwignąć! Zdobyć głosu nie należy bowiem tylko od nas samych, epoka wyznacza przestrzeń problemów i stylu. Jednostki mogą się poza te ograniczenia wyrwać, ale dzieje się to często kosztem okaleczenia. Chyba że nawiążą do "silnego nurtu" języka. Tutaj tradycja, właściwie odczytana, może być dla nich wsparciem.

Poszukiwanie duchowej genealogii, czyli tworzenie własnej wersji historii literatury, dla pisarza pragnącego wyrwać się z Ziemi Ulro jest szansą ratunku, sprawą podstawowej wagi. Dzieło trwa, jeżeli autor wypracował głos zdolny przemówić do przyszłych pokoleń, jeżeli wybrał siły - kulturonośny - styl duchowy, inaczej jego twórczość jest tylko przemijającym, choć efektownym, wyrazem mody. Artysta przypomina skapca-ciułacza, stara się wpełznąć do materaca jak najwięcej banknotów. Czy zostawi skarb? To nie zależy od działających notowań na giełdzie. "Banknoty nie mają jednak wartości bezwzględnej i jeżeli zostaną wycofane z obiegu, cały skarb jest na nic. Nie muszą być wycofane z obiegu, ale bywają. Kto pisze, idzie za swoim ideałem danej epoki i danej kultury. Nie musi przegrać, ale może przegrać - i wtedy, nawet jeżeli stworzył arcydzieła rytownictwa i kaligrafii będą one wyrzucone na śmietnik, natomiast wysoko cenione będzie to, co dla niego było tande-  
tą".

Polaszczynna Raza, Górnickiego, Kochanowskiego, literacko sprawna, uległa wynaturzeniu w Baroku, który podjął i rozwinął jej wady: słabą modulację rytmiczną, rozwlekłość opisów, makaronizmy. Przełom nastąpił w erze stanisławowskiej. Wówczas wykształcił się język energiczny, trafny, żywy do dziś. To jest "trzecia polaszczynna", źródło, do którego należy wracać. Miłosz rozwija tę tezę w zdaniach wyjątkowo mi bliskich.



"Ta trzecia polszczyzna to Krasiński, Trembecki, Fredro, Mickiewicz - ale już nie Słowacki, który wybiera boczny nurt, odżywiany przez pozostałości Baroku, już nie Krasiński i z pewnością nie Norwid. Sprawdzioną energią języka powinna być proza, ale nie zaryzykuje się wielkiej przesady mówiąc, że trzecia polszczyzna prawie nie owocuje w dziedzinie powieści. Przeciwnie niej działa wszelka stylizacja, a tym właśnie jest gawęda jako gatunek literacki. Wyjątkowo uodolniony językowo Sienkiewicz rozszerza gawędę na całą "Trylogię"."

Młoda Polska jest klęską języka, oddaleniem się od trzeciej polszczyzny. "Wszystko znali, wszystko czytali, i Nietzschego, i Baudelaire'a, i francuskich symbolistów, ale w papkę im się to pod piórem zamieniało. W tej próbie ujęcia nowych intelektualnych treści polski przegrywał, bo dowolnością składni uwiedzeni, wyobraźli sobie, że wszystko wolno. Jakimiś pisarzami byłiby Przybyśsewki, Kasprowiec, Tetmajer, Miciński, Berant, gdyby na miarę swoich uczuciowych napięć i przymysłów zagospodarowali języki /.../ Jest prawo danego języka i jest rzeczywistość, jakakolwiek, duchowa czy fizyczna, która wymyka się nam i stawia opór. Za zdrowy wolno uważać język, jeżeli nie wykraczając poza swoje prawo jest dzielonym zapeśnikiem i stara się tę rzeczywistość uchwycić. Prawda jest jego higieną".

Mickiewicz najpełniej zrealizował ideał polszczyzny. "Pan Tadeusz" jest poematem metafizycznym: jego doskonała harmonijny i przezroczysty styl odcienia harmonię istnienia, ład otaczającej nas rzeczywistości. U Mickiewicza słowo trafia w wizję, obraz pokrywa się z konturem treści. Jak określić tę mickiewiczowską przejrzystość? Wybrane słowo wydaje się jedyne, idealnie zgadza się z zamierzeniem, nie czujemy stylu, dotykamy rzeczywistości. Mickiewicz i Słowacki to dla mnie dwa wzorowe przykłady odmiennego stylu. Kryje się za tym, jak podejrzewam, odmienny stosunek do języka. Słowacki każe się zachwycać słowem, wybrał je wśród wielu możliwych, najpiękniejsze, mieniące się jak tęcza, zwisłone. Słowa komponują się w ciąg impresji, płynne kontury obrazów nachodzą na siebie. Język może tworzyć wiele wizji, ale ich związek z rzeczywistością jest nieostry. Świat nie stawia oporu. U Mickiewicza słowo musi być ściśle związane z rzeczywistością duchową. Wybór słowa łączy się z odpowiedzialnością, istnieją style fakazywe, język, pozostawiony sam sobie, potrafi oszukać.

Bliskie mi są uwagi Miłosza o stylistycznym niedowładzie polskiej prozy. Jaka różnica, językowa i duchowa, między nią a wspaniałą poezją wśród powieści, które były dla mnie objawieniem i formowały widzenie świata wtedy, gdy się ono formuje, gdzieś między dwunastym a osiem-

nastym rokiem życia, nie pamiętam ani jednego utworu polskiego. "Trylogia" razika mnie satysfakcją, nie z powodu braku intelektualnej głębi /co jej krytycy zarzucali/, nie tego szokiem, Dumasa czytalem przecież z wypiekami. Z powodu literackiej stylizacji, całej tej sarmackiej kacińskości. Zgadżam się z Młkoszem w jego opinii o Gombrowiczu: wielkość tego pisarza kryje się w swawierzności i energii stylu. "Cetatecznia trzeba powiedzieć, że Gombrowicz dlatego miał prawo kłócić się z Mickiewiczem, czy nawet sięgać po rząd dusz, że jego polski jest taki, jaki powinien być w prozie język mickiewiczowski". Zgadżam się też, że "Transatlantyk", przy całej wirtuozerii stylistycznej sarmaty, nie należy do kanonu Gombrowiczowskiego dzieła, bo jest pastiszem barokowej gawędy. Dodajmy, że "Klub" także drażni mnie "rubieżniam" mistrzostwa, onirycznego Szekspira. W powieściach, "Pornografii" i "Kosmosie", także pobrzmiewa stylistyczna konwencja, język traci przejrzystość, bywa epętany /chcący w narzuconej swobodzie/. Ale w "Ferdynandzie", w niektórych opowiadaniach słychać już tę siłę i trafność słowa, która stanowi o wielkości "Dzienników". To bez wątpienia najwybitniejsze dzieło Gombrowicza.

Do rozważań o polskiej prozie dodajmy, że w dziewiętnastym wieku raz przynajmniej osiągnęła sprawność i energię zdumiewającą. Nie u twórcy powieści, u pisarza politycznego. Mówię o Mochackim. Jeżeli we wczesnych pracach bywa jeszcze z niemiecka sztywny, to w przedmowie do dzieła "O literaturze polskiej" brzmiał już polszczyzna swawerna, przejrzysta. "Ten będzie odtąd nasz rytm i ta melodia". Formuły Mochackiego zapadają w wyobraźnię, wydają się oczywiste. Nie ayélimy o słowach, bo wskazują nieomylnie na treść. Eto wątpli, czy prozę polską stać na siłę uderzenia, precyzyjny rysunek, swobodę wyrazu, niech wskazuje przeczayta /jeżeli gdzieś dostanie, bo od wojny nie udało się tych dzieł opublikować/ "Powstanie narodu polskiego" i artykuły z okresu emigracji. Mochacki osiągnął zdumiewającą siłę głosu, ale ten rytm i ta melodia brzmiały tylko parę lat, nie zdążyły się pełniej rozwinać i nie znalazły naśladowców.

Refleksja nad własną tradycją jest jedyną ze sposobów wymykania się spod władzy Ulro. Widzi się ograniczenia, lecz istnieje się swobodę. "Mój człowiek więc, wolny bo samotniejszy, gospodaruje sobą ostrożnie, daleki od radykalizmu nicości jak u Becketta, ale też różni się od człowieka Becketta tym, że nie pojawia się snikąd i jest wdzięczny tradycji. Gdyby mnie spytano, skąd pochodzi moja postać, odpowiedziałbym, że z dzieciństwa, a więc z kołęd, z liturgii nabożeństw majowych i niezapornych - jak też z Biblii Gdańskiej, jedynej wtedy dostępnej".

Wdzięczność wobec tradycji, jakkolwiek indywidualnie rozumianej, wdzięczność wobec przewodników: dla Mikosza byli to Blake, Mickiewicz, Oscar Mikosz, Swedenborg, dla innych będą to inni. Jako dziecko Mikosz rysował mapy wymyślonych krajów, ale posługiwał się fragmentami zapamiętanymi z prawdziwych atlasów. Dziś także swoim dziełem szkicuje taką mapę, porządkuje przestrzeń duchową zgodnie z doświadczeniem i wyobraźnią.

Łąda jako przeciwieństwo Ulro! Każdy musi sobie sam odpowiedzieć, jakiej potrzebuje mapy, aby się w świecie odnaleźć. Dzieło Mikosza pozostanie przykładem, że można dotrzeć do rzeczywistości i przekazać ją innym w słowach.



## PRZECIW NICOŚCI

W najważniejszym rozdziale swoich dwutomowych wspomnień, rozdziale zatytułowanym "Pamięć", Nadieżda Mandelstam pyta: "Kraj, w którym ludzie przez pół wieku zajęci byli wzajemnym wyniszczaniem się, nie lubi wspominać przeszłości. Czego możemy spodziewać się po kraju z chorą pamięcią? Cóż jest wart człowiek, który stracił swoją pamięć?" Autorka odpowiada na to pytanie kilkadziesiąt stron dalej, pisząc o znaczeniu Sołżenicyna: "...jego główna zaleta polega na tym, że przywraca nam pamięć. To pierwszy krok konieczny dla odzyskania poczucia człowieczeństwa." Podobny zamiar, a może raczej nieświadomiona intuicja, kieruje również Nadieżdą Mandelstamową: stopniowo, w trakcie pisania pamiętników powraca do niej rzeczywistość, rozzerwane wątki życiowe łączą się znowu, odzyskuje wiarę w klasyczną definicję prawdy jako *adequatio rei ad intellectum*. Autorka nie wybiela przeszłości, nie "poprawia" jej, nie selekcjonuje faktów tendencyjnie. Fakty przestają być fantomami artu, nie manipulowanej ideologii a odzyskują wartość konkretną.

Pierwszy tom pamiętników jest szybko i nerwowo, chodzi o to, aby ocalić od zapomnienia ostatnie lata życia najwybitniejszego poety rosyjskiego XX wieku. W drugim tomie autorka ma już większe zaufanie do siebie, większe poczucie wartości dzieła swojego męża i własnego. Chodzi już nie tylko o to, aby wiernie odtworzyć przeszłość, ale przede wszystkim, aby dać świadectwo o człowieku, który nie chciał być "prostytutką systemu", który za swoją wolę autentyczności zapłacił śmiertelnie. Pamięć staje się gwarantem tożsamości osoby, świadectwem jej integralności, wiarą w obiektywny status rzeczywistości. Stalinizm rozpruł tkanekę historii, Mandelstamowa utkała ją na nowo.

X X X

W cywilizacji śródziemnomorskiej każdy rozdzwiąg między rzeczywistością a językiem jest określany jako kłamstwo. Prawda określana jest jako odpowiedniość rzeczy i słów. Specyfiką totalitaryzmu jest jednak nie tylko przecięcie więzów między słowem a rzeczą. Oderwane od faktu słowo służy do tworzenia nowej rzeczywistości: istnieje nie to, co jest, lecz to, co ma być. Zgodnie z marksistowską tezą o jedności teorii i praktyki owa pożądana rzeczywistość nie jest jednak dowolną fantazją jednostek, lecz wyrazem praw rozwoju społeczno-ekonomicznego.

Język nie jest społecznie neutralny, totalne zawładnięcie słowem staje się istotnym składnikiem prawidłowego funkcjonowania systemu. Powstaje swoista nadrzeczywistość zaludniona widmami. Wspomagane aparatem terrorku decyzje wodza każdorazowo określają prawdziwość koczmarów halucynacji. Obywatel nie ma prawa decydować, co jest a co nie jest kłamstwem, nie on jest panem swojego języka i swoich myśli, język i myśli obywateli to własność Wodza. Stalinizm odrealnia świat. Nietrudno wyobrazić sobie konsekwencje tego stanu rzeczy: wszechwładna instrumentalizacja języka spycha kraj w odmęty nicości. W 1922 roku Mandelstam pisał: "Pozbawić Rosję języka to znaczy skazać ją na rozbrat z historią, wyklęcie z królestwa historycznej konieczności i dziedziczości, z królestwa wolności i celowości. Omleniecie dwóch, trzech pokoleń może doprowadzić Rosję do historycznej śmierci. Wyklęcie z języka jest dla nas równoznaczne z wyklęciem z historii. Dlatego prawdą jest, że historia Rosji toczy się na krawężniku, na brzoisku, nad urwiskiem i w każdej chwili jest gotowa popaść w nihilizm, to znaczy zacząć żyć na klatwę i wyżyć się słowem".

Zrozumienie opisaną powyżej w olbrzymim skrócie natury języka totalitarnego jest niezbędne do zrozumienia ogromu "winy" Mandelstama. Istotne bowiem jest nie tyle to, że w szarym wierszu poeta obraził Wodza, lecz to, że usurpował sobie prawo do języka. Żona poety opisuje pierwsze przesłuchanie Mandelstama na Kubanie i zupełnie szczerze oburzenie czekiisty Christoforowicza jego "zbrodnią": poemat to dla niego "dokument", a pisanie wiersza to "akt terrorystyczny". Charakterystyczne jest to, że "prywatnie" wiersz mógł się Christoforowiczowi i jego mordercom podobać. Wiadomo na przykład, że Jągarda lubił wiersz tak bardzo, że nauczył się go na pamięć i recytował w kręgu przyjaciół. Niedziela Mandelstamowa stwierdza jednak wyraźnie, że niezależnie od upodobań, żaden właściciel ZSRR nie mógłby takiego poety tolerować: autor "Tristii" wyobrażał sobie, że wolno mu bezkarnie posługiwać się językiem, językiem, który winien być wszakże niepodzielną własnością państwa.

Panującej doktrynie języka fundamentalnie zdeprawowanego przeciwstawiał Mandelstam program regeneracji słowa. Poeta sformułował wyprawdzając swoje credo w epozycji do symbolistów i futurystów, jednakże w wyniku przemian rewolucyjnych i zmiany sytuacji kulturalnej jego polemika przebija przede wszystkim balon ideologii totalitarnej. Uratowanie języka, obowiązki wobec mowy, szacunek dla konkretnego - oto powołanie i droga poety. W artykule "Słowo i kultura" /1921/ Mandelstam pisał: "Różnice społeczne i przeciwieństwa klasowe błędą dziś wobec po-

dziesiąt ludzi na przyjaciół i wrogów słowa. Zaiste - baranki i konczy. Odozwem niemal fizycznie kołbi zapach brudu idący od wrogów słowa. W tym wypadku całkiem na miejscu jest argument, który przy każdej poważnej rozbieżności zdań powinien się zjawiać na końcu: mój przeciwnik śmierdzi! W rękach wrogów słowa straciły swój dotychczasowy sens, rozproszone w mgławicy wieloznaczności, a potem skodyfikowane dla potrzeb systematycznego obłądnu, służą do legitymizacji nadrzeczywiałego świata. Przyjaciele słowa przeciwstawiają się tej bezlitośnej eksploatacji, nawiązują do tradycyjnych wartości, do uświęconego przez wielowiekowe użycie a obecnie tępiącego politycznie znaczenia wyrazów.

Zdaniem Mandelstama tylko chrześcijaństwo zdolne jest skutecznie zabezpieczyć kulturę przed degeneracją znaczeń. Chrześcijaństwo stwarza przestrzeń wolności, wzmacnia siłę przekonań. Sztuka powstała z tej inspiracji jest działaniem opartym o wielką ideę odkupienia. Jest to "naśladowanie Chrystusa" nieskończenie różnorodne w swoich przejawach. Jest to wiara, że mimo wszelkie zło, mimo wszelką nieprawość tydzie jest godna radośnej afirmacji. Głębokie doświadczenie religijne pozwoliło poecie stworzyć tak pogodną a jednocześnie tak wyrafinowaną w swym delikatnym rysunku wiersze o ptakach i dzieciach, jak te, które powstały na zesłaniu w Weronieżu, tuż przed powtórny aresztowaniem.

Kiedy się zaczyna uśmiechać dziecko,  
Mieszając w ustach i gorycza i słodycz,  
Krańce uśmiechu stają się ucieczką  
w oceaniczną głębinę swobody.

Więc się uśmiecha błogo i bez słowa,  
Warg kącikami nużając się w światło -  
I mocnym ściąganiem aszywa nid tęcza  
Ciągłe od nowa poznawaną jawę.

Kontynent watał na łapy, wynurzył się z wody -  
Ostrygi ust, zbliżenie, przenikanie -  
I bije w oczy ten blask Atlasowy:  
Chwila, gdy jawnym cudem ta jawa się stanie.

I smak i barwę przestrzeń utraciła,  
Kontynent łukiem grabietu wynurzył się z wody.  
Ostryga ust rozwartych w uśmiechu zaiszcza,  
Ich oba końce tęcza połączyła  
I prosto w oczy bije ten błysk Atlasowy.

/tłum. Stanisław Barańczak/



Te było w styczniu 1937 roku. A w roku 1915 Mandelsztam pisał: "Wzrost sztuki, oddając jej swe ciało, proponując jej zupełnie realny fakt odkupienia w charakterze niewruszonej zasady metafizycznej, chrześcijaństwo nie żądało niczego w zamian. Dlatego kulturze chrześcijańskiej nie grozi niebezpieczeństwo wewnętrznego zubożenia. Kultura ta jest niewyczerpana, nieskończona, ponieważ triumfując nad czasem ciągle gromadzi łaskę w ogromne chmury i napełnia je życiodajnym deszczem. Trzeba ciągle podkreślać tę skoliczność, że swą wieczną świeżość i wieczne kwitnienie kultura europejska zawdzięcza chrześcijaństwu, które jest łaskawie dla sztuki."

Siła poezji - to dla autora "Zeszytów weroneskich" wiara w jej sakramentalny charakter. Poezja jest przewodnikiem łaski. Kontakt z uratowanymi od wynaturzenia słowem budzi uspięne człowieczeństwo, umożliwia zarówno współlność z poetami przeszłości, jak i profetyczne przeczuć przyszłości. Poezja wyłącza nas z teraźniejszości i włącza w ekryształizowaną w kulturze wieczność. Mandelsztam jest anachroniczny w etymologicznym sensie tego słowa. Kronos zawsze pożera swoje dzieci, nie może jednak pożreć tych, którzy się od niego uwolnili, którzy żyją poza czasem. Ta anachroniczność nie wyklucza wcale nienasyconej ciekawości zewnętrznego świata, współodpowiedzialności za jego losy, nie skazuje na wewnętrzną emigrację. Przeciwnie, chrześcijaństwo umożliwia mu wycofanie się z sowieckiej rzeczywistości politycznej, aby tym pełniej załsnąć obecnością w rzeczywistości ludzkiej:

Taka wiara w sakramentalną siłę poezji podtrzymywała przy życiu Nadsiędę Mandelsztam przez dziesiątki lat wygnania. Poszerzający się krąg czytelników Mandelsztama budził z kolei nadzieję na regenerację społeczeństwa. Żona poety podkreśla to mocno na początku drugiego tomu swoich wspomnień: "...zachodzi dzisiaj dziwny proces, ludzie zdawkowo przeglądają tomki poezji i nieświadomie wchłaniają go. Poezja porusza ich odrętwiałe i uspięne dusze, budzi ich i sama zmartwychwstaje ożywiając tych, których dotyka. W tym procesie wespół-przenikania ludzi przychoǳą do siebie i pozbywają się przeklętej inercji. Nie wiem jak jest gdzie indziej, ale tutaj, w tym kraju poezja jest pobudzającym do życia lekarstwem a ludzie nie stracili zdolności do czerpania z niej wewnętrznej siły. Ludzie mogą być tutaj zamordowani za poezję - co jest znakiem nieetychanego szacunku - dlatego, że ciągle jeszcze są zdolni do życia poezją."

Mandelsztam rozbił faktyzwią alternatywy poezji "czystej" i poezji "zaangażowanej". Oczywiście, że poeta jest zaangażowany, ale toczy on walkę o człowieka na planie ontologicznym a nie tylko społecznym. Powolnić słowem ietnieć, walczyć z unicestwieniem języka a tym samym ze

zdegradowaniem kultury i natury ludzkiej, to cel poety. Suwerenna twórczość nie daje sobie narzucić stylu gry przeciwnika. Mandelstam wie, że pozostając na poziomie wroga z góry daje mu zwycięstwo, dlatego rozprawia się ze światem a nie z rywalami. "Nie ma współzawodników. Jest współzudział w episku przeciw pustce i niebytowi. Kochajcie istnienie rzeczy ludzkiej bardziej niż samą rzecz, a swój byt bardziej niż samych siebie", pisze w manifestie "Świt akmeizmu". Sowiecki system polityczny ma z pewnością jakieś miejsce w kolektywnej ekonomii zbawienia. Jednakże zło nie ma bytu, a więc w gruncie rzeczy nie należy brać go pod uwagę, w najgorszym wypadku patrzeć na nie z pogardą. Gdy poeci zmieniają skórę i stają się urzędnikami systemu wypada ich ignorować. Nie należy nazywać pisarzami wszystkich piszących. Dobra literatura ma to przede wszystkim do siebie, że trwa.

W dal odpływają wzdórza głów człowieczych.

Małają tam - już mnie nie dojrzy nikt na świecie,

Ale w zabawach dzieci i w książkach serdecznych

Odżyje, aby rzec, że słońce świeci.

/tłum. Stanisław Barańczak/

### X X X

Dominanty życia i twórczości Mandelstama: wewnętrzna wolność i poczucie słuszności, godność poety i jego rola jako lekarza zbiorowości - wszystkie to uczyniły go bezbronny wobec ciemnych sił totalitaryzmu. Koniec, jaki go spotkał, był nieuchronny. Na parę lat przed aresztowaniem, w 1934 roku, spacerując po Moskwie z Achmatową powiedział jej wprost, że "jest gotowy na śmierć".

Ratwo wpaść w pretensjonalny patos, którego jak ognia wystrzega się żona pisarza. Uderza jej pokora wobec losu, pokora, która jednak dzięki swojemu chrześcijańskiemu zabarwieniu straciła piętno sweiste-go, rosyjskiego fatalizmu, a stała się po prostu zgodą na wyroki Opatrzności. Mandelstamowa nie pocztytuje sobie bowiem za zasługę tego, że uratowała twórczość męża, ani też tego, że jej samej udało się przeżyć i zachować jasność widzenia. Twierdzi, że jeżeli ktokolwiek wyszedł cało z kataklizmu, to nie dzięki przebiegłości lub ostrożności, lecz dzięki czystemu przypadkowi. I nie był to też rezultat przyjęcia obronnej mimikry - każdy skazany był na zagładę: marksistowski aparatczyk i kołchoźniczy chłop, futurystyczny poeta i zwykły robotnik, a jeżeli ktoś przypisuje przeżycie swojej własnej roztropności, to tylko oszukuje sam siebie. Zdarzali się również godni podziwu ludzie, którzy

nie tylko przeżyli, lecz także zachowali się godnie w czasie próby przekładając bezkompromisowość nad instykt samozachowawczy. Autorka nie buduje jednak pomników "w naszym wieku najwyższe pojęcia - odwaga, heroizm, prawda, honor - zostały poniżone i zamienione w oficjalne frazesy do użytku partyjnych demagogów i gazetiarzy. Najbardziej cenię sobie te wypadki, w których ludzie odskakują się od najlepszej strony naturalnie i spontanicznie, bez żadnej pozy i górnolotnych słów."

PDK



Alvin Gouldner, FUTURE OF INTELLECTUALS AND  
 RISE OF THE NEW CLASS, The Macmillan Press  
 Ltd., London, 1979, s. 122

Apostat "socjologii krytycznej" nie poprzestał na wiaszczenia końca socjologii. W najnowszym tomie z serii Critical Social Studies ponasłrościł laurów Markowi występując z orzrmy w rodzaju Manifestu Komunistycznego intelektualistów. 16 tez rozbitych na numerowane podpunkty à la Wittgenstein stwarzają wrażenie nieubkaganego wywołu logicznego. Wynika z nich, iż Nowa Klasa złożona z intelektualistów i inteligencji technicznej może już w niedalekiej przyszłości osiągnąć po władzę na Wschodzie i na Zachodzie wrząc więzy zależności od Starej Klasy /burżuazja pieniężna/, bądź biurokracji partyjnej. Złożona respektowaniem reguł tzw. kultury krytycznej dyskusji Nowa Klasa stanowićca w istocie rzeczy burżuazję kulturalną stworzyła ideologię socjalistyczną w imię swoich egoistycznych interesów. W warunkach egalitaryzmu ekonomicznego kapitał kulturalny /wiedza/, którym dysponuje i który kontroluje, pozwoli jej sprawować władzę oraz osiągnąć wysokie dochody. Intelektualiści stali się już siłą rewolucyjną w krajach słabo rozwiniętych, gdzie narzucają swą wolę za pośrednictwem partii awangardowych. Na Zachodzie scenariusz będzie inny. Aliancja, której podlega Nowa Klasa zostanie przeswycięzona, kiedy jej przedstawiciele odrzucą skłudzania obiektywizmu i przyjmą marksizm jako swą ideologię. Ponadto książka Gouldnera zawiera ciekawą polemikę z ujęciami intelektualistów w pracach Chomsky'ego, Habermasa, Parsonsa. Zwięzłość wywodów nie sprzyja niestety pogłębionej analizie przedstawionej problematyki.

Jacques Julliard, CONTRE LA POLITIQUE PROFES-  
 SIONNELLE, Editions du Seuil, Paris 1977, s. 164

Polityka stała się wyłączną domeną zawodowców, których interesy i cele w małym stopniu pokrywają się z interesami jak i sferą wartości społeczeństwa obywatelskiego. Zakamają się subtelny mechanizm transmisji interesów. Między tym, co postulują poszczególne grupy,

a tym, co w ich interesie się mówi, powstawała niepokojąca przepaść. Scentralizowane państwo opanowane przez biurokratów i zawodowych polityków zaczyna być obce, a nawet wrogie społeczeństwu. Czas jest na to, by zmieścić chowiąsujące dotąd reguły gry. Trzeba na powrót poddać sferę polityki kontroli ze strony społeczeństwa obywatelskiego, należy stworzyć miejsce, w którym będzie bezpośrednio słyszalny głos samych obywateli. Już teraz obserwuje się pierwsze nieśmiałe próby uprawiania polityki przez niezawodowców. Zajmują się nią obrońcy środowiska naturalnego, ochrony konsumenta, stowarzyszenia intelektualistów występujące w obronie praw więźniów, chorych, Amnesty International, paryski komitet matematyków. Politykę nieprofesjonalną uprawiają też grupki opozycyjnych intelektualistów w krajach rządzonych przez komunistów.

Juillard nie jest pewny czy chodzi tu o ograniczenie sfery polityki zawodowej czy też o zastąpienie jej przez politykę niezawodową. Ciekawe jest przede wszystkim to, że przynajmniej część socjalistów odrzuciła tradycyjną koncepcję władzy, w której wyłączna nisza inicjatywa leżała w rękach państwa. Dostrzegają groźbę centralizmu i dominacji polityki. I właśnie w tym spotykają się z konserwatystami i tradycyjnymi liberałami.

Samuel Hynes, THE AUDEN GENERATION. Literature and Politics in England in the 1930s., The Viking Press, New York 1977, s. 430

Urodzili się w początkach naszego wieku. Ominęła ich wielka przygoda: wojna, która, w ich wyobraźniach, mogła dać im poczucie spełnienia. Wkraczali do literatury, zdobywali pozycję w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego, załamania ustroju demokratycznego w wielu krajach Europy. Mieli przekonanie, że dotychczasowe wartości straciły swoją aktualność; trzeba wyrzucić w nieznane, trzeba działać, walczyć. Początkowo poczucie kryzysu mogło ich doprowadzić tak do lewicy, jak i prawicy. Sytuacja zmieniła się radykalnie po dojściu Hitlera do władzy. Nastąpiła epoka polityki,

a z nią potrzeba przewartościowania tradycyjnych wzorów uprawiania literatury. Poezja miała odtąd służyć rewolucji. Wybuch wojny domowej w Hiszpanii przyniósł ulgę, że to, co było tylko retorycznym i profetycznym konfliktem spełniło się. Dziesiątki pisarzy i dziennikarzy udało się na pole bitwy. Powstała wiele reportaży i powieści, poematów. Ale z każdym dniem ujawniała się przepaść między ideologią i ofiarą wojny. Oczko łączące tych zabitych z abstrakcyjnymi ideami? - pytał jeden z pisarzy. W latach 1938 i 39 dominowało poczucie, że przybliżyła się najgroźniejsza dla Europy chwila. Nadchodząca wojna zadecyduje czy zwycięży faszyzm czy tradycyjna kultura. Odtąd konflikt przebiegał nie między burżuazją i proletariatem, ale między Europą i hitleryzmem. Kończy się epoka heroiczna. Komunizm przestaje być nieuchronnością, traci swoją zbawczą siłę. Duch Europy na powrót okazuje się duchem liberalizmu.

Rok po roku Samuel Hynes prowadził bohaterów swej książki: Orwella, Spendera, Audena, Day Levisa, Iachrowoda. Pokazują ewolucję ich poglądów, ich zmieniający się stosunek do literatury, do świata. Jest to książka fascynująca. Obala narosłe mity wokół pisarzy lat 30-tych. Pokazuje bowiem Hynes jak trudny był to okres i jak tragicznych wyborów wymagał.

LE POUVOIR, Rencontres Internationales de Genève 1977, Editions de la Baconnière, Neuchâtel, 1978, s. 347

W tomie tym zawierającym sprawozdanie z dwudziestych siódmych Rencontres Internationales de Genève znajdują się referaty m.in. Lewa Kowarskiego, Jean Starobinskiego, Jeanne Hersch, Pierre Nore i Julien Freund. W symposium uczestniczył także Bronisław Baczko, a Jerzy Jedlicki, który nie mógł wziąć udziału w obradach, bo nie otrzymał paszportu, w liście do organizatorów zwrócił uwagę, że fakt ten "stanowi może interesujący wkład do obrad" prowadzonych na temat "uczony a władza". Cały tom jest wyjątkowo ciekawy, jak na tak często chybilne zbiorowe wydawnictwa, a w szczególności relacje z konferencji i sympozjów. Zaś szczególnie interesującym jest piękny esej Jean Starobinskiego na temat pro-



blanu władzy we "Włocie znaczerwanym" Mozarta. Starobniaki omawia związki między operą a wiekiem Oświecenia i z gorzkością przypomina, że wciąż nie nadzradk ten złoty wiek, kiedy to - jak marzył Mozart - światło dnia i rozum natrysnąfuje nad nocnym i zroczyym istnieniem przemocy i gwałtu.

Peter Steinfels, THE PROCONSERVATIVES, The Men who are changing America's politics, Simon and Schuster, New York 1979, s. 335

Nastąpiło obecnie zupełne wyjąkowanie myśli lewicowej. Po burzliwych latach 60-tych, po wytapianach studentów na ulicach Paryża, Warszawy, Rzymu, po wielkich manifestacjach w USA ruch lewicowy zdaje się być w zupełnym odwrocie. Coraz poważniejszą pozycję zdobywają tradycyjni liberałowie: Hayek i Friedman; wydaje się wielotomowe dzieła Isaiaha Berlina. Powstaje moda na Burke'a i de Tocqueville'a. Dlatego też warto przyrznać się dokonaniom neokonserwatystów, ludzi, którzy zmieniają dziś, jak twierdzi Steinfels, obraz amerykańskiej polityki. Są wśród nich profesorowie socjologii, politologii, politycy: Nathan Glazer, James Wilson, Seymour Martin Lipset, Daniel Bell, Irving Kristol, Robert Niebet.

Jest to w znaczej mierze grupa pokoleniowa. Przed wojną, w okresie wielkiego kryzysu zblizyli się do socjalizmu, zachowując przy tym zdecydowanie antystalinowską pozycję. W okresie zimnej wojny odgrywali znaczną rolę w American Committee for Cultural Freedom, w paryskim Komitecie wolności i w redagowaniu "Encounter" /Steinfels z antysfakcją wspomina o powiązaniach "Encounter" i komitetów wolności z CIA/. W trakcie wojny wietnamskiej ostro krytykowali nową lewicę i ruchy pacyfistyczne. Dziś związani z wielkimi fundacjami, uniwersytetami i rządem neokonserwatyści, zdaniem Steinfelsa, wywierają nieproporcjonalnie duży wpływ na politykę krajową, co "zagroza obywateli amerykańskiej demokracji".

Neokonserwatyści popierają welfare state, ale krytykują paternalistyczne państwo; zachowali znaczne zaufanie do mechanizmów rynku ekonomicznego; doceniają tra-

dycyjną wartość i instytucje: religię, rodzinę, Kościół. Krytykuje kontrkulturę jako rachunek antykulturowy: niechętnie odnosi się do polityki egalitarnej w dziedzinie ekonomicznej i społecznej; wierzą wręcz w demokrację amerykańską i jej zbawiający wpływ na politykę światową.

Bohaterami książki są Irving Kristel - może najbardziej zdecydowany wśród nich krytyk Walfare State i kontrkultury, niegdyś wydawca "Encounter", a obecnie "Public Interest", Moynihan - wpływowy polityk amerykański i Daniel Bell - socjolog i moralista. Autor scenografii Steinfels, postępowy pisarz katolicki, wzmożenie analizuje prace poszczególnych reprezentantów nurtu neo-konserwatywnego, omawia ich poglądy na temat intelektualistów /"nowej klasy"/, egalitaryzmu i zagrożeń wynikających z nadmiaru demokracji.

Na końcu książki można znaleźć listę zasług i wad neo-konserwatystów. Po jednej stronie są: krytyka sentymentalizmu w polityce, docenienie wartości kultury. Po drugiej /lista wad jest dłuższa/: nieobecność pozytywnego programu, niedocenianie mechanizmów socjo-ekonomicznych, brak szacunku dla swych przeciwników itd.

Książka została poddana bardzo surowej ocenie przez samych zainteresowanych. Zarzucono jej nierzetelność, uprzedzenia, ale jest to pierwsze, jak na razie, sondaż grafia tego wielce interesującego zjawiska, jakim jest amerykański neokonserwatyzm.

**w poprzednim numerze:**

WIDZIANE Z WARSZAWY • WYRWANE Z  
DZIENNIKA • POECI I MORALNOŚĆ • KI-  
SIELIZM JAKO DUCHOWA FORMA ŻYCIA  
• Z DOŚWIADCZENIEM W PRZYSZŁOŚĆ •  
MICEWSKI PRZECIW AMNEZJI • STANO-  
WISKA: Pat • ZYGZAKIEM PRZEZ PRA-  
SĘ • TEMATY: Czytanie Miłosza: "Ziemia  
Urlo" • Po stronie pamięci • Zjazd history-  
ków • Zygmunt Hertz • NOTY O KSIAŻ-  
KACH